

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

107

Wisława

SZYMBORSKA

REDAKCJA:

Krzysztof Myszkowski – redaktor naczelny

Barbara Laskowska – biuro redakcji

ZESPÓŁ:

Adam Bednarek, Jan Błoński (1931–2009), Stefan Chwin, Aleksander Fiut,
Michał Głowiński, Marek Kędzierski, Julian Kornhauser, Leszek Szaruga

THÉODORE AGRIPPA D'AUBIGNÉ	3	Poema tragiczne (fragment) przełożyła Wisława Szymborska
THÉOPHILE DE VIAU	4	Przyśniła mi się Filis
	5	Oda
	6	Wdzięk twój, Izis • Ta pani z Troi
	7	Śmieszą mnie • Pan Jakub wie przełożyła Wisława Szymborska
JEAN RACINE	9	Berenika (fragment) przełożyła Wisława Szymborska
ALEKSANDER FIUT	13	Szymborska zagłada w barok
SEBASTIAN KUDAS	23	Wisławy Szymborskiej PORTRETY Z PAMIĘCI
WISŁAWA SZYMBORSKA	39	List do Ryszarda Krynickiego
RYSZARD KRYNICKI	42	Przypisy
KRYSTYNA RODOWSKA	43	Lekcja
	44	Nisze • Napięcie
LEOPOLDO CASTILLA	45	Banian
	46	Zmarły • Krajobraz niewidomego
	47	Stara fotografia
	48	Sytuacja *** (<i>Zstąpiliśmy między gwiazdy...</i>) przełożyła Krystyna Rodowska
ANTONI LIBERA	49	Bohater Jerzego Pilcha: bohater naszych czasów
ANTONI LIBERA	58	Liryki lozańskie wariacje na temat Jerzego Pilcha

EWA SONNENBERG	82	Snajper rzeczywistości
	83	Univers
SAMANTHA KITSCH	84	morze za pożaryskiem
	85	Nowa zabawka Guillaume'a
ANNA MATYSIAK	86	Rozcięta • O największej miłości
		Stłumienie
	87	Miłość w czasach wielkich zderzaczy

VARIA

STEFAN CHWIN	88	Korona-dziennik 2020
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	97	Fragmety murów obronnych (4)
LESZEK SZARUGA	106	Orfickie wybrzmienia
PIOTR SZEWC	114	Z powodu i bez powodu (59)
ARTUR SZLOSAREK	117	Notatki do zapomnianych podróży (4)

RECENZJE

LESZEK SZARUGA	122	Poezja jako grunt pod nogami
PAWEŁ TAŃSKI	126	Podróż Kapitana X
KRZYSZTOF SIWCZYK	128	Spójrzcie w Nic

NOTY O KSIĄŻKACH

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	133	Ruiny, popioły i blask
JAKUB BECZEK	137	Kalambury i rozbieranie świata
BOGUSŁAW KIERC	140	To, co naprawdę
NOTY O AUTORACH	143	
NOWE KSIĄŻKI	146	

THÉODORE AGRIPPA D'AUBIGNÉ

przełożyła Wisława Szymborska

Poema tragiczne

Jeżeli komu nie w smak jest moje poema,
Że prócz krwi, klęsk i rzezi nic nadto w nim nie ma,
I tylko trucicielstwa, zdrady, nieprawości
I nic oprócz boleści, i nic prócz wściekłości,
Odpowiem: Przyjacielu, nie szukaj w tym skazy,
Takie mi sztuka dzisiaj dyktuje wyrazy.
Lepsi, myślisz, poeci, co w zмовie z Kupidem
Śpiewają grzechy własne, pawią się bezwstydem,
W głowie im tylko śmiechy, igraszki, miłości
I młodość rozdrobiona na próżne błahostki?
Kiedy byłem szczęśliwy (tym szczęścia sposobem,
Co śmieje się stojące nad swym własnym grobem,
Co rozkosze w obłądnej pustocie wybiera,
Zacnym gardząc pożytkiem, trądem mózg wyżera,
Nieczułe, a patrzące zewsząd jeno zysku,
Ślepe zaś na kraj w hańbie i braci w ucisku),
O, wonczas i ja wilem słówek wianki wonne,
Czas cenny marnotrawiąc na uciechy płonne!
Dziś wiek inny, świat inny gorzkie frukta rodzi,
A przeto nowym stylem pisać nam się godzi.

(Księga II, *Księżęta*)

THÉOPHILE DE VIAU

przełożyła Wisława Szymborska

Przyśniła mi się Filis

Przyśniła mi się Filis z zaświatów zjawiona,
W tej samej co za życia promiennej piękności,
I prosiła dla widma uścisku miłości,
Kusząc mnie tak jak chmura kusiła Iksjona.

Marą nagą wślizgnęła się w łóżko i rzekła:
„Kochanku mój najmilszy, otom znów przy tobie.
Przyznaj, że wypiękniałam w swoim smutnym grobie,
W którym los mnie niewolił, ałem mu uciekła.

Raz jeszcze cię utulę, raz jeszcze posiędę
I raz jeszcze umierać w twych ramionach będę”.
Tedy spłonąłem ku niej – a gdy rozedniało,

Powiedziała mi: „Żegnaj, iść do zmarłych muszę.
Chętnie się, że moje obłapiałeś ciało –
Chętnie się teraz, że moją obłapiałeś duszę”.

Oda

Przede mną kracząc kruk ulata;
Jadę na oślep przez ciemnice;
Dwa hyże lisy, dwie łasice
Bieżą w ślad za mną w środek świata;

Mój koń potyka się co kroku,
Pachołek spada w czeluść mroku,
Rozkołatany grom się niesie;
Jakowyś duch majaczy w cieniu,
Charon mnie woła po imieniu,
Tak otom ujrzał się w Hadesie.

Tu wstecz do źródła splywa rzeka,
Tu włazi wół na dach dzwonnicy,
Żmij płodzi młode w niedźwiedzicy,
Żywa ze skały krew wycieka;
Gdzie sterczy wieży szczyt zmurszały,
Wąż szarpie sępa na kawały;
Buzuje płomień w zimnym lodzie,
Czernieją w słońcu boskie lica,
Wisi na włosie tarcz księżycy,
A drzewo chodzi na swobodzie.

Wdzięk twój, Izis

Wdzięk twój, Izis, narobił w naturze zamętu:
Przez ciebie oślepl Amor, gdy zajrzał ci w oczy,
Poniechany przez bogów świat jak chce się toczy,
Ci zaś jeno o tobie myślą z firmamentu.

Na widok słońca, które wzór z twych spojrzeń wzięło,
Serca bogom najwyższą tęsknotą zabiły;
Gdyby gwiazdy do nieba ich nie przygwoździły,
Zaraz by tutaj zesli oglądać swe dzieło.

Wierz mi, w tym ambarasie niewiele się troszczą,
Czy ziemscy kochankowie swawolą, czy poszczą;
Nikt miłowaniu twemu nie stanie na zdradzie.
Możesz tedy bezkarnie w łożu ze mną legać –
Czegóż bać się, gdzież taki bóg w bogów gromadzie,
Co by nie chciał dla siebie o twój grzech zabiegać!

Ta pani z Troi

Ta pani z Troi przykład bierze:
Zacni chcą zdobyć ją rycerze,
Od lat dziesięciu szturm odpiera,
Aż wpuści, w jedną noc, ogiera.

Śmieszą mnie

Śmieszą mnie owi zalotnicy,
Co nie śmia swej obłąpać pani;
Mizdrzą się jeno po próżnicy
Dufając, że są miłowani.
Daremno schlebiać, cmokać, gruchać...
Nie szkoda to zachodów tyłu?
Nadąwszy się, w puszczalkę dmuchać,
Nie słysząc w zamian ani trylu?

Pan Jakub wie

Pan Jakub wie, co piszczy w trawie,
Woli nie gadać w mojej sprawie
Ani mnie widzieć w żadnej porze.
Chwali on sobie moje listy,
Mniema, że duch je spłodził isty,
A duch widzialnym być nie może.

* ~~Wiersz~~ Wiersz

Beztępoty, wielowiekowy ucni stobadujący dawno
mócił i moinie imieniem, moini i Twojej rozody
kto kiedy nauka, kiedy musiał być tam już dale bliżko,
on pomyślał, spojniał, obciął. I pomyślało wszystko.

Ustań przed Tobą wiatki, w jasnym głowie snia
to moinie ~~mo~~ i moinie Rzymu, gdzie redka, rymuina
Judza przedta z jukim, leca pierwsi ofiary
był intonyi Antiocha, moini wy ucarnia,
Nawala ~~szary~~ ~~szary~~ ~~szary~~ ~~szary~~ ~~szary~~ ~~szary~~ ~~szary~~ ~~szary~~
Usta i tu opowiada i grola na litości
obroniada mi moinie o mojej misiości
Obiawia miliciumi. ~~Przy~~ ~~prze~~ ~~prze~~ ~~prze~~ ~~prze~~ ~~prze~~
leca dli's upina, moinie pita ~~szary~~ moinie
i moinie moinie to z ut moinie moinie upina
moinie moinie, i moinie moinie moinie moinie

ale, nie moinie o Tenu, moinie

Wielokrotnie moinie moinie

powied mi moinie dalej. ~~Wielokrotnie~~ ~~Wielokrotnie~~ moinie moinie.
I legionami upina upina i ~~szary~~ ~~szary~~ ~~szary~~
i moinie moinie i moinie moinie, moinie moinie moinie
kto moinie moinie i moinie moinie moinie
upina i moinie moinie i moinie moinie
szary ~~szary~~ ~~szary~~ ~~szary~~ ~~szary~~ ~~szary~~ ~~szary~~ ~~szary~~ ~~szary~~
moinie mi moinie... Wielokrotnie moinie moinie
Proica ~~Wielokrotnie~~ ~~Wielokrotnie~~ ~~Wielokrotnie~~ ~~Wielokrotnie~~ ~~Wielokrotnie~~
Tytu moinie moinie moinie moinie moinie moinie
Moinie moinie moinie moinie moinie moinie
tak, moinie moinie moinie moinie moinie moinie
on, moinie moinie moinie moinie, moinie moinie o to
on moinie moinie moinie moinie, moinie moinie moinie
moinie moinie moinie moinie moinie moinie moinie
ja moinie moinie moinie moinie moinie moinie moinie

JEAN RACINE

Berenika

(fragmenty)

przełożyła Wisława Szymborska

Brat twój życzliwych uczuć składając dowody
mówił w moim imieniu, prosił twojej zgody
nagle, kiedy szczęścia byłem już tak blisko,
on przyszedł, spojrział, olśnił. I przepadło wszystko.
Stanął przed tobą wielki, cały w glorii męża,
co niesie zemstę Rzymu, gdzie zechce, zwycięża.
Judea padła z jękiem. Lecz pierwszą ofiarą
był żalosny Antioch, nierówny cesarom.
Usta twe ogłosiły wyrok bez litości
zabroniłaś mi mówić o mojej miłości
Obiecałem milczenie. Przyrzekłem wbrew woli
lecz dziś wyznam, zrywając pęta tej niewoli
że wbrew słowu co z ust mi zostało wyrwane
przysiągłem, że cię nigdy kochać nie przestanę
Ach, nie mów o tem, proszę

Milczałem lat tyle
pozwól mi mówić dalej. Umilknę za chwilę.
Z legionami rywala wyruszyłem w pole,
żeby prócz łez krew przelać, zakończyć niedolę
lub żeby moje imię w szczęśliwym rozgłosie
wyprosiło u ciebie zmianę w moim losie
Ufałem, że się niebo zlituje nade mną
śmierć mi ześle... Niestety, wszystko nadaremno
Próżno się narażałem na niebezpieczeństwa
Tytus męstwem zaćmiewał blask mojego męstwa
Tak, muszę sprawiedliwość oddać jego cnotom
on, przyszły władca Rzymu, jakby nie dbał o to

onie brało mi nadziei, do innych odwróty
 nie brałam... Jaki miesiąc, że i wzięto
 Nudna dłoń, gdy udaję o kłamstwach młodo
 Ta to nie są przekazy uczeni, niechamie,
 ubrałam mi spróżki, między tylko dla mnie.
 Przynośłam ci dnie, myślałam Tęskni
 bukatka u siebie kładę Twoje stopy na ziemi
 a myślałam Tęskni i rozpaczy idący
 skierowała do Rzymu niekiedy dłoń
~~Tęskni niekiedy ugrzesz wstępną grzesz~~
 Tęskni to mi myślałam niekiedy grzesz
 Tęskni mi myślałam przed Twoją obłąka
 Nudna randkować. Nudna was oboje
 a niekiedy poroneli mi niekiedy moje
 Ten może zapadła bóg ^{niekiedy} swiara
 i waśni miłaję trafi na miłaję słowa.
 Myślałam, że się Tęskni wnie przed rodzicem.
 Dnieśi serpowanie i grobie, udaję myślałam dnieśiś.
~~Nudna~~ Nudna było wnie na ożeniu mój?
~~Nudna~~ Nudna julec było wnie dalece łowy
~~Nudna~~ Nudna Nudna Nudna
 Przynośłam nadzieję. Mnie ona odjęta.
 Dnieśi miłaję dnieśi miłaję radożony miłaję
~~Nudna~~ Nudna Nudna Nudna
 Nudna Nudna Nudna Nudna
 ja niekiedy dodać tylko się iabymie ich
~~Nudna~~ Nudna Nudna Nudna Nudna Nudna
 Nudna Nudna Nudna Nudna Nudna Nudna
 rad julec, że tej miłaję Nudna Nudna
 i niekiedy julec miłaję przed siebie Nudna
~~Nudna~~ Nudna Nudna Nudna Nudna Nudna
 Nudna Nudna Nudna Nudna Nudna Nudna
 Nudna Nudna Nudna Nudna Nudna Nudna
 Dnieśi gdy z Nudna Nudna Nudna julec miłaję
 julec miłaję Nudna Nudna - nie to nie do miłaję
~~Nudna~~ Nudna Nudna Nudna Nudna Nudna

on wielbiony przez wszystkich, kochany przez ciebie
potrafił igrać z śmiercią w najcięższej potrzebie
ja czyniłem tak samo, lecz nie ma w tym cnoty
wszak brakło mi nadziei, do życia ochoty
Nie kochany... Już mocniej serce ci zabiło
słuchasz chętnie, gdy mówię, o kim słuchać miło
za to żem go pochwalił uczciwie, niekłamnie,
wybaczasz mi opowieść, smutną tylko dla mnie.
Przyzywałem cię duszą, myślami tęsknemi,
szukałem wszędzie śladów twoich stóp na ziemi
aż spalony tęsknotą i rozpaczą zdjęty
skierowałem do Rzymu królewskie okręty
Tutaj los mi zgotował najsroższe gorycze
Tytus mnie zaprowadził przed twoje oblicze
Udawałem serdeczność. Zwiodłem was oboje
a wyście powierzali mi uczucia swoje
lecz zawsze łagodziła ból niejasna wiara
że wasza miłość trafi na sprzeciw cezara.
Myślałem, że się Tytus ugnie przed rodzicem.
Dzisiaj Wespazjan w grobie, mój rywal dziedzicem.
Nie trzeba było czekać na ostatnie ciosy?
Śledziłem jakie będą wasz dalsze losy
Pozyskałaś nadzieję. Mnie ona odjęta.
Będziesz miała dość świadków radosnego święta.
Weseli niechaj wam uświetnią wesele
Ja mógłbym dodać tylko łez żałosnych wiele
Miłując zbyt wytrwale i zbyt nieszczęśliwie
rad jestem, że tej skargi słuchałaś cierpliwie
że wiesz jakiej niedoli przez ciebie zaznałem
żegnam kochając więcej niż przedtem kochałem.
Nie, to nie do pojęcia. Skamieniała stoję
Dziś gdy z życiem cezara mam powiązać swoje
jakiś nędzny śmiertelnik – nie to nie do wiary –
wtajemnicza mnie [w] swoje miłosne zamiary.

Joanna Helander



ALEKSANDER FIUT

Szyborska zagląda w barok

Dlaczego poetka, która pełną garścią czerpie z poetyki baroku, bodaj ani jednym wierszem nie nawiązuje do polskiej poezji tego okresu? Wisława Szyborska odróżnia się pod tym względem od całej plejady poetów kilku generacji, którzy toczą własne dialogi z Sępem, Naborowskim, Morsztynem, Twardowskim czy Baką. W wierszach Miłosza, Łobodowskiego, Grochowika, Harasymowicza, Rymkiewicza i Brylla barok odsłania swoje coraz to inne oblicze: metafizyczne, turpistyczne, sarmackie. Całą tę tradycję Szyborska pomija. Trudno się zresztą dziwić, bo czy miłośniczka Montaigne'a miałyby zachwycać się Baką? Niektóre estetyczne cechy barokowego malarstwa budzą w Szyborskiej wyraźny niesmak. Na przykład tam, gdzie znawcy sztuki Rubensa dopatrywali się erotycznie zabarwionej, zmysłowej, cielesnej świetlistości, poetka dostrzega jedynie „tłuste dania miłosne"! Ale tym sposobem składa równocześnie hołd epoce, którą na pozór ośmiesza! Służy temu koncept, oparty na zderzeniu doznań kulinarnych i doznań erotycznych. Przy czym gdy zgodnie z długowieczną tradycją doznania te ze sobą harmonizowały i wzajemnie się wzmacniały, poetka wprowadza w ich zestawienie estetyczny dysonans.

Na temat języka poetyckiego Szyborskiej, także jego dialogu z tradycją barokową, sporo już napisano. Zwracano między innymi uwagę na częste paradoksy, enumeracje, antytezy, na fakt, że „barokowa dialektyka prawdy i pozorów zostaje tu jednak poddana zabiegom ironizującym”, czy na wspomnianą predylekcję poetki do posługiwania się konceptem. Wystarczy przywołać choćby takie formuły, jak „słowne wyrafinowania i gust do konceptu”, „ironiczny konceptyzm”, „rzeczowość i konceptyzm”. Szyborska, wypada przypomnieć, mogła się tych chwytów uczyć nie tylko od polskich poetów, ale także od poetów francuskich epoki przełomu między renesansem i barokiem, katolicyzmem i protestantyzmem, których znakomicie tłumaczyła w opracowanej przez Jerzego Lisowskiego *Antologii poezji francuskiej*. Ten trop prowadzi jednak znacznie dalej. Poza lekcją poetyckiego rzemiosła nie bez znaczenia okazuje się bowiem wybór tematów.

Nie przypadkiem Szymborska, najwyraźniej się bawiąc, ustami kochanka-poety demaskuje kłamstwo wierszy, które „nochal siny i garbaty, ślepią wpadniętą i uśmiech szczerbaty” wychwalają w „podniebnych wzlotach” (Pontus de Tyard, *W iluż to wierszach*). Za Rémy Belleau, w wierszu pod wymownym tytułem *Z bukietem w Środę Popielcową danym*, zachęca:

Zanim ręką nieproszoną
Starość twoje zmarszczy łono
I drętwość wrazi w kości,
Nie odrzekaj się ochoty
Do baraszków i pieszczoty,
Folguj szczątkom swej młodości.

Za Guillaumem de Salluste du Bartasem, autorem wiersza *Siedem dni, czyli stworzenie świata*, przybliży moment sprzed Genesis:

Gdzie wionęły czeluście ponad otchłaniami
Gdzie w srogim zatrzęsieniu wszelkie elementy,
Beźładnie wymieszane wiodły bój zacięty.
Wrzące z zimnym spór miało, odległe z pobliskim,
Wilgotne zasię z suchym, a wysokie z niskim.
[...]
Była tylko materia, nieruchoma, głucha,
Bez urody, bez miary, bez iskry, bez ducha.
Jeszcze swej osobliwej nie znały natury
Ni ziemia, ni ocean, ni płomień, ni chmury.

Za Théodorem Agrippą d'Aubigné, kreślącym w *Poemach tragicznych* obrazy wojennych okrucieństw i rzezi, empatycznie utożsamia się z ich ofiarami, które „Muszą chronić głowy / Po kniejach, po ostępach, w nory i parowy”, sypiąc przy tym konceptami. Oto ci, co znają sekret, „jak do wina wsączać zgubne jady”, wiedzą, że można „Życie odbierać strawą, która życiu sprzyja, / Śmierć przebrać za kucharza, co karmiąc zabija”. Sama zaś ziemia bywa „miejszem kaźni i pierwszą kołyską / Dla żywcem pogrzebanych, a miłszych nad wszystko”.

Do tych cytatów łatwo odnieść cały szereg wierszy Szymborskiej. Temat rozbieżności słowa poetyckiego z rzeczywistością, ale także jego mocy sprawczej pojawia się między innymi w takich wierszach, jak na przykład *Radość*

pisania, Recenzja z nienapisanego wiersza, Właściwie każdy wiersz, Pomysł. Do tematu miłości, w jej wielu subtelnych odcieniach i mrocznych nieraz odsłonach, poetka powraca wielokrotnie, by wspomnieć choćby *Zakochanych, Klucz, Pierwszą miłość, Jawność, Złote gody, Na wieży Babel.* Podobnie rzecz się ma z motywem wanitatywnym, czyli poczuciem marności i znikomości istnienia, o czym traktują takie wiersze, jak *Nic dwa razy, Wizerunek, Wszelki wypadek, Życie na poczekaniu, Śmierć bez przesady. Obmyślam świat* można czytać jak polemiczne uzupełnienie wiersza *Siedem dni, czyli stworzenie świata* – swego rodzaju *Genesis à rebours.* Ponadto Szymborską, jak wiadomo, nieustannie poraża, a zarazem zachwyca wielokształtność istot, bujność form i wielorakość wszechświata, by wspomnieć choćby *Urodziny, Nieuwagę, Tarsjusza, Psalm, Mikrokosmos, Otwornice.* Szczególnie wrażliwa pozostaje na los pojedynczych osób, cierpiących z powodu prześladowań politycznych, pisząc *Tortury*, a także ofiar wojny, kreśląc poruszające obrazy w wierszach *Jeszcze, Obóz głodowy pod Jasłem, Wietnam, Koniec i początek, Jacys ludzie.* Oczywiście ta krótka, dosyć pobieżna lista tematów problemu nie wyczerpuje. Ale sam trop wydaje się ważny i pośrednio zbliża do odpowiedzi na postawione na wstępie pytanie. Może poetka, poza najbliższą, narodową tradycją, sięgnęła bezpośrednio do jej źródeł europejskich?

*

W swojej antologii *The Baroque Poem*, obejmującej sto pięćdziesiąt wierszy poetów z rozmaitych kręgów kulturowych i obszarów językowych, w tym także poetów polskich, Harold B. Segel wymienia szereg powtarzających się uporczywie tematów, które są ściśle ze sobą splecione. Są to: Niestalość i przygodność ludzkiego życia. Ulotność i przemijalność zarówno tego, co jest marnością, jak i tego, co sprawia rozkosz. Uznanie bytowania na ziemi za zjawisko iluzoryczne, przypominające sen. Medytacja nad czasem. Przesunięcie akcentu z życia ziemskiego na życie duchowe, czyli skupienie uwagi na śmierci, a zarazem na problematyce religijnej i mistycznej. Przedstawienie konfliktu ciała z duszą: z jednej strony poezja podkreśla próżność przywiązania do ulotnych przyjemności materialnej egzystencji, z drugiej dba o przedstawianie ich w całej zmysłowej konkretności.

Chyba się nie pomylę, stwierdzając, że wymienione tematy nader łatwo odnaleźć – oczywiście w wersji przetworzonej i oryginalnie ujętej – w wierszach Wisławy Szymborskiej. Co więcej, zastanawia ich szczególne nagromadzenie w obrębie jej świata poetyckiego.

W barokowej poezji o tematyce religijnej szczególnemu wyostrzeniu uległo fundamentalne napięcie pomiędzy człowiekiem, gnębionym przez poczucie wewnętrznego rozdarcia, a „Bogiem ukrytym” w porażającym grozą wszechświecie, Bogiem niedosiężnym oraz niedocieczonym w swej istocie. Bóg się wprawdzie ukrył, lecz nikt nie kwestionował Jego istnienia. Był. Co nie ulegało żadnej wątpliwości. Ostatnie stulecia ogłosiły, za Nietzschem, Jego śmierć lub zamieniły Go, według Derridy, w „Boga słabego”. A jak jest u Szymborskiej?

W jej wierszach, czerpiących inspiracje z odkryć nowoczesnej nauki, barokowe napięcie ulega zaostrzeniu i wzmocnieniu. Istota ludzka, słaba i bezbronna, pozbawiona przywileju „korony stworzenia”, cierpiąca na pograniczność czy nawet problematyczność swojej natury, zostaje wtrącona w niedające się ani zbadać, ani objąć najśmielszą wyobraźnią, zimne, obojętne, kosmiczne otchłanie. Ale czy to oznacza, że Bóg całkowicie znikł? Bynajmniej. Barokową postać „Boga ukrytego”, niedostępnego, milczącego zastępują dwa wizerunki: w *Nocy* i w *Streszczeniu* obraz Boga odsłoniętego, zdemaskowanego w obojętności, a nawet okrucieństwie. W *Niebie Elli* – Stwórcy pełnego dobroci i poczucia humoru, który zaprasza Ellę Fitzgerald do nieba słowami: „sprawisz mi radość przybywając do mnie, / pociecho moja czarna, rozśpiewana kłodo”.

Wybór przypowieści o ofierze Izaaka w *Nocy* oraz Księgi Hioba w *Streszczeniu* nie jest przypadkowy. Mają one podobny schemat fabularny: Bóg przygląda się decyzjom człowieka, który został przez Niego poddany ostatecznej próbie. Gdy człowiek potrafi jej sprostać, zostaje sownie nagrodzony. Poetka tę buchalterię metafizyczną jednym pociągnięciem pióra kwestionuje w imię bólu pojedynczej istoty, którego nic nie zmniejszy, nic nie usprawiedliwi, nic nie będzie w stanie wynagrodzić. Nawet na myśl o wskrzeszeniu odczuwa „mróz strachu”. Z całą mocą i determinacją opowiada się po stronie niewinnie cierpiących oraz oskarża Boga, który w *Nocy* na „balkonie chmur” spogląda na to, czy się pod Izaakiem „ładnie, czy się równo stos zapali”, w *Streszczeniu* „na wozie wichru [...] Przed otwartym do kości chwali dzieło swoje”.

We wstępie do Księgi Hioba, w przekładzie Czesława Miłosza, ksiądz Józef Sadzik zauważa, że „cierpienie odrzuca lub łączy z Bogiem, jego rola w tym zakresie jest r e l a t y w n a [...]. Natomiast w ogóle cierpienie jest s k a n d a l e m. Zwłaszcza cierpienie niezawinione, »czyste«, jak cierpienie męża z ziemi Uz, cierpienie dzieci oraz – dlaczego nie? cierpienie zwierząt”. Z tym, że cierpienie jest skandalem, także cierpienie zwierząt oraz innych istot, Szymborska pewnie by się zgodziła, w czym podobna jest do Miłosza. Gorzej natomiast

z akceptacją roli cierpienia w relacjach z Bogiem. Ksiądz Sadzik dowodzi, że Księga Hioba nie jest „eksplikacją” problemu cierpienia i zła. „Jest – jak pisze – przemożną lekcją godności ludzkiej, postawy człowieka dotkniętego bólem, jest lekcją wierności Bogu w cierpieniu”. W tym wywodzie wierność ma ten sam źródłostów, co wiara. Samo zaś przeżycie wiary biblijnej jest „warunkiem *sine qua non* pojmowania czegokolwiek w Piśmie”. Do niej właśnie trudne, a może niemożliwe jest zbliżenie się współczesnego człowieka. Sadzik przypomina kilku komentatorów, którzy zmagali się z tym problemem, jak Kierkegaard, który nazwał tego rodzaju doświadczenia wiary „kategorią próby”, wyjaśniając, że jest to kategoria transcendentna, „stawia bowiem człowieka w sytuacji radykalnej opozycji w stosunku do Boga”. Dodając, że sytuacja ta „nie może zostać opisana czy wyjaśniona przez drugiego człowieka”. Simone Weil z kolei, starannie odróżniając ból od nieszczęścia, które uznawała za „wielką zagadkę życia ludzkiego”, dodawała: „Ułożenie Księgi Hioba jest szczególnym wypadkiem cudu uwagi udzielonej nieszczęściu”. Można też, jak René Girard, uznać Hioba za „kozła ofiarnego”, który konsoliduje grupę społeczną.

Cała ta wielowiekowa debata Szymborskiej jak gdyby w ogóle nie interesuje, a przynajmniej poetka bierze ją w nawias. Podobnie jak komentarze, które towarzyszą opowieści o ofierze Izaaka. Można odnieść wrażenie, że Biblia zostaje w cytowanych wierszach uznana wyłącznie za jeden z tekstów kultury, trudny nieraz do zrozumienia czy zaakceptowania przez człowieka XX wieku, nade wszystko porażający okrucieństwem, które przedstawia. W *Nocy* narratorem jest dziewczynka, dzieląca się w myślach z katechetą zasadniczymi wątpliwościami, wstrząśnięta do głębi faktem, iż Abraham mógł zgodzić się na złożenia ofiary z własnego dziecka, które niczym nie zawiniło. Umieszczając się na miejscu Izaaka, stwierdza z przerażeniem, że gdyby jej ojciec, w „konszachtach” z Bogiem powtórzył decyzję biblijnego bohatera, ostatecznie utraciłaby wiarę w dobroć, ufność i miłość, a także wolałaby, pełna nienawiści do świata, raczej umrzeć, niż zostać ocalona. Tymczasem w *Streszczeniu Hiob*, pomimo że Bóg „mówi nie na temat”, „pośpiesznie korzy się przed Panem”, godzi się, by skóra obrosła „jego wyszczerzoną czaszkę”, bo „nie chce psuć arcydzieła”.

Na pozór cytowane wiersze opowiadają o utracie wiary przez Szymborską w okresie dzieciństwa oraz o jej ateizmie. Czy jednak na pewno? Jak zatem traktować wyraźny dystans autorki wobec poetyckich bohaterów? Dlaczego obraz Boga jest tak dalece infantylny? Raz, zgodnie z wyobrażeniem dobrego

ojca, głaszcze dziecko po głowie, przygląda się, jak radzi sobie ono w trudnej sytuacji. Innym razem potrafi być zagniewany, obojętny, pyszny, a nawet okrutny. Występują tutaj zatem dwie, wpisane także w Stary Testament, antytetyczne figury ojca: zarówno dobrotliwego, jak i bezlitosnego. Trudno się oprzeć wrażeniu, że Szymborska, chyba świadomie, ograniczyła się do wyobrażeń z lekcji religii w szkole podstawowej, wiedzy czerpanej wyłącznie z katechizmu. Czy nie jest tak – zdaje się sugerować poetka – że jedynie dziecko, dzięki swej prostocie, naiwności oraz spojrzeniu, niezmaconym wątpliwościami, które podsuwa rozum krytyczny, potrafi, samą intuicją, wskazać na wagę antropocentrycznego upostaciowania Absolutu? Bo przecież Bóg ma postać ludzką! Może jedynie w dzieciństwie udaje się dotrzeć odruchem serca, spontaniczną niezgodą na śmierć i cierpienie do istoty fundamentalnych dylematów, które przez wieki były tematem teologicznych i filozoficznych roztrząsań, przeglądając się również swoiście w poezji baroku?

W cytowanych tekstach uderza ostentacyjne uproszczenie oraz banalizacja treści źródłowych tekstów biblijnych. I to wbrew świadectwu, że zostały one przez poetkę uważnie przeczytane! Dowodzą tego nawet drobne napomknięcia – w *Nocy* przypomnienie, że Bóg przybrał postać anioła, w *Streszczeniu* wzmianka o Behemocie i Lewiatanie. Poza banalizacją treści następuje gwałtowne, nieraz brutalne zderzenie stylizacji na wzór biblijny z prozaizmami i frazeologizmami, które odbierają mowie świętej jej sakralny charakter. Dziewczynka zadaje pytanie: „Gdzie się skryję, / gdy biblijne oko boże / spocznie na mnie / jak spoczęło na Izaaku?”, zaś po otwierającym *Streszczeniu* zdaniu: „Hiob, doświadczony na ciele i mieniu, złorzeczy doli ludzkiej”, następuje lakoniczny, wyraźnie zabarwiony ironią komentarz: „To wielka poezja”. Dalej mowa o tym, że „Teraz wypadki następują szybko. Hiob odzyskuje osły i wielbłądy, woły i owce dwakroć przyczynione”. Przypomina się w tym miejscu *Jonasz* Herberta, gdzie podniosłe cytaty z Wujka przerywają prozaizmy w rodzaju: „potem były rzeczy wiadome”. Zarówno u Szymborskiej, jak i Herberta podobny jest ton, jawnie lekceważący sakralny charakter biblijnego przekazu.

Monolog w *Nocy* kończy znamienne wyznanie: „Od tej nocy / ponad miarę złego snu [...] zaczął Pan Bóg / pomalutku / przeprowadzkę z dosłowności / do przenośni”. Jak to rozumieć? Sformułowanie, które najwyraźniej przekracza horyzont umysłowy dziecka, zdaje się sygnalizować, że tutaj mogła przemówić sama autorka. Dosłowność oznacza lekturę Pisma pobieżną, niewrażliwą na jego wymiar sakralny, bez którego Biblia staje się właściwie w swej istocie

mało rozumiała, jest oznaką lektury naiwnej, prostodusznej, niedostrzegającej palimpsestu znaczeń i ruchomych kulturowych kontekstów. Tymczasem przerośnięta, warto przypomnieć, niekoniecznie wskazuje jedynie na zabieg poetycki, skoro była również główną formą przekazu biblijnych treści. Formą słów Boskiego przesłania, które w intencji autorów mogło być przybliżone jedynie pośrednio, ułomnym ludzkim językiem. Zatem sugerowana przez poetkę droga winna wieść od lektury naiwnej do lektury rozumiejącej, od lektury inspirowanej przekonaniem religijnym do lektury analizującej utajone w biblijnych przekazach znaczenia kulturowe?

Dla teologicznych i filozoficznych egzegetów opowieści o Abrahamie i Jakubie oraz o Hiobie mają sens głęboki, wielowarstwowy, odsłaniający się w hermetycznej lekturze za każdym razem inaczej, nieustannie inspirujący i zachęcający do coraz nowych odczytań. Przerośniętą, o której mówi młodociana bohaterka *Nocy*, wolno zatem rozumieć także jako zachętę do odczytywania tekstów biblijnych we współczesnym kontekście. Być może Szymborska, podobnie jak Herbert w takich wierszach jak *Jonasz* czy *U wrót Doliny*, pragnie poprzez takie ujęcie przedstawić pośrednio sposób widzenia ukształtowany przez świat „odczarowany”, zdesakralizowany, postchrześcijański. Świadomość, dla której problem wiary, nawet w formie zjawiska kulturowego, wydaje się trudno zrozumiałą, natomiast opowieści biblijne, nawet w szczątkowej, uproszczonej formie, nie dają się wymazać, budzą żywe reakcje, choćby w formie dziecinnego, ostrego sprzeciwu natury moralnej.

*

We wstępie do przełożonej oraz ułożonej przez siebie *Antologii angielskiej poezji metafizycznej XVII wieku* Stanisław Barańczak zwraca uwagę, iż „im bardziej dojmująca staje się w tej liryce niedostępność Boga Ojca, tym większej konkretyzacji i uobecnieniu podlega postać Chrystusa – Tego, który stanowi z jednej strony obraz wielkości i zarazem nędzy ludzkiej, z drugiej zaś jest zarazem obrazem nieskończonego miłosierdzia Bożego”. Chrystus zostaje ukazany „od tej najbardziej ludzkiej strony, jaką stanowi fizyczne doznanie Męki. Męka zaś jest przejawem Miłości i obietnicą Zmartwychwstania”. W poezji Szymborskiej postać Chrystusa w ogóle się nie pojawia! Co zaskakuje tym bardziej, że Męka Ukrzyżowanego z pewnością mogłaby wzbudzić odruch współczującej empatii u poetki, która jest tak uwrażliwiona na wszelkiego rodzaju cierpienie. Jednakże jej wyobraźnia religijna obraca się wyłącznie i konsekwentnie w kręgu Starego Testamentu. Szymborska różni się pod tym względem od

Zbigniewa Herberta, który przywołuje postać Chrystusa jako człowieka cierpiącego, obnażającego ludzką słabość, strach przed bólem i śmiercią, który „został sam / bez alternatywy / ze stromą / ścieżką / krwi” (*Domysły na temat Barabasa*). Dokładniej mówiąc, postać Chrystusa w ogóle się nie pojawia. Określany jest jako „mało groźny Galilejczyk” czy „Nazarejczyk”. Takie wiersze, jak *Na marginesie procesu, Męczeństwo Pana Naszego malowane przez Anonima z kręgu mistrzów nadreńskich, Hakeldama* czy *Domysły na temat Barabasa*, tylko poprzez świadectwa pośrednie przedstawiają okoliczności towarzyszące Ukrzyżowaniu, a nie samego Ukrzyżowanego. W *Rozmyślaniach Pana Cogito o Odkupieniu* Herbert powiada, że Bóg pojednał się z człowiekiem, przysyłając Syna. Było to jednak „najgorsze pojednanie”, skoro „zbyt wielu widziało / przebite dłonie syna / jego zwykłą skórę [...] zbyt wiele nozdrzy / chłonęło z lubością / zapach jego strachu”. Ograniczenia ludzkiej natury przesłoniły boskość Chrystusa. Poeta formułuje pod adresem Boga poważne zastrzeżenie: „nie wolno schodzić / nisko / bratać się krwią”. Oraz radę: „nie powinien przysyłać syna / lepiej było królować / w barokowym pałacu z marmurowych chmur / na tronie przerażenia / z berłem śmierci”.

Dla Szyborskiej nie ma miejsca nawet na takie „najgorsze pojednanie”, na pośrednictwo Syna pomiędzy Ojcem i Jego stworzeniem. Ale równocześnie ostrzega: w świecie, który zakwestionował istnienie Boga, może pojawić się Jego groźna i trywialna karykatura – człowiek-bóg. Za jedno z jego upostaciowań wolno uznać bohatera wiersza *Terrorysta, on patrzy*. Podobnie jak Bóg Ojciec, z bezpiecznego dystansu obserwuje zachowanie niewinnych ofiar, które poddał ostatecznej próbie. Nie jest ona jednak próbą żarliwości wiary, za przejście tej próby nie przewiduje się żadnej nagrody. Co więcej, ofiary nie wiedzą, że są jej poddane. Terrorysta, który umieścił bombę w barze, nie pragnie zmieniać świata – czy to zgodnie z jakąś ideologią, czy na modłę religijną. Jest pozbawiony jakiegokolwiek empatii. Staje się emanacją czystego zła, nawet nie tyle „banalnego”, za którym kryły się przecież uprzedzenia rasowe i obłąkańcza ideologia, co zła trudnego do zrozumienia, drzemącego w sferze ciemnych, okrutnych instynktów, które skłaniają do zadawania cierpienia oraz nikczemnego napawania się widokiem skazańców. Wyrazem tego właśnie zła jest zimny cynizm oraz, jak pisał Jerzy Kwiatkowski, „prostactwo terrorysty, umysłowe, jego tępą amoralność”. „Stylizacja – dodaje – służy tu celom artystycznym, w znaczeniu trafności realistycznej (ubóstwo składni i słownictwa, nadużywanie zaimka osobowego »on«), a jednocześnie wyraża sąd poetki o terroryście-debilu”. Wystarczy jeden przykład:

Trzynasta siedemnaście i czterdzieści sekund.
Dziewczyna, ona idzie z zieloną wstążką we włosach.
Tylko że ten autobus nagle ją zasłania.

Trzynasta osiemnaście.
Już nie ma dziewczyny.
Czy była taka głupia i weszła, czy nie,
to się zobaczy, jak będą wynosić.

Niczym starotestamentowy Bóg, terrorysta rozkoszuje się swoją wszechwładzą, bo decyduje o czyimś życiu i śmierci, oraz wszechwiedzą, bo dokładnie zna chwilę wybuchu. Zdaje się także władać czasem, skoro moment eksplozji sam wyznaczył, na określoną godzinę nastawiając zapalnik oraz śledząc upływ kolejnych minut. Ale wszechwiedza i wszechwładza terrorysty tam się kończy, gdzie wkracza nieprzewidywalne. Czym ono jest? Jego na pozór nieograniczona potęga zostaje ograniczona przez wolny wybór tych, których losem zdaje się władać. Nie może przecież wpłynąć na to, która z osób, potencjalnych ofiar, zdecyduje się wyjść, a która pozostać w barze. A bywa i tak, że ktoś, w ostatniej chwili przed wybuchem, wróci „po te swoje marne rękawiczki”, w ten sposób przypieczętowując swój los. Prawdziwa egzystencjalna ruletka! Wolny wybór okazuje się pozorem, bo jest zupełnie nieświadomy swej siły sprawczej. Staje się w istocie instrumentem ślepego przypadku.

Iście barokowe sprzężenie paradoksów! Równocześnie – pośrednia polemika z zasadą wolnej woli oraz egzystencjalistyczną koncepcją wyboru w obliczu absurdu istnienia. Jak daleko odeszła poezja Szymborskiej od poezji tamtej epoki! Od jej wizji „Boga ukrytego” dotarła do obrazu ukrytego terrorysty, cynicznego uzurpatora boskiej potęgi, występującego w jaskrawym świetle nihilizmu. Od wyborów moralnych podejmowanych w perspektywie Boskiego osądu – do wyborów, których dalekosiężnych skutków nikt nie potrafi przewidzieć, a które mogą zależeć od decyzji jednego człowieka. Od świata, którego aksjologiczne fundamenty mocno się zachwiały, ale nadal przetrwały – do rzeczywistości, w której tych fundamentów brak lub po których pozostały, zwłaszcza w literaturze, nieliczne zatarte ślady.

Szymborska, być może także dzięki uważnej lekturze poetów francuskich, poruszając się w kręgu najważniejszych dla baroku tematów, dotarła poza najbliższą, polską tradycję – do samego rdzenia religijnego światopoglądu. Z przenikliwością ukazała, jak dalece widzenie świata w tamtej epoce, z którą

wiele nasze stulecie spokrewnia, zostało do cna przeniecone przez racjonalną nowoczesną świadomość, wielokrotnie opatrzone szeregiem znaków zapytania oraz zasadniczych wątpliwości. Jest to zatem barok jak gdyby przeniesiony na inny poziom znaczeń, na którym gra kontrastów, nieustanne podważanie tez i hipotez oraz wielokierunkowość i wieloaspektowość oglądu stają się już obowiązującą, a nawet bliską samounicestwienia normą. Jednakże stawiane w tamtej epoce fundamentalne pytania dotyczące ludzkiej kondycji nic nie tracą na niepokojącej, nieusuwalnej aktualności, zaś tam, gdzie poeci barokowi umieszczali „Boga ukrytego”, Szymborska postawiła znak zapytania.

Wisławy Szymborskiej
PORTRETY Z PAMIĘCI



WARSZAWA, 30 listopada 1953 r.

Droga Koleżanko Wiślawo —

Radość sprawił mi list podpisanym Pani nazwiskiem.

Życzę Pani w pracy poetyckiej bardzo, bardzo wszystkiego dobrego —

zatręcam „Szkice liryczne”.

Jednocześnie proszę uprzejmie o zamieszczenie na któreś ze stron Waszego # jubileuszowego podobizny nizej podpisanego w świetnym wykonaniu Jerzego Zaruby.

Ręce Pani całuję: K. I. Gałczyński

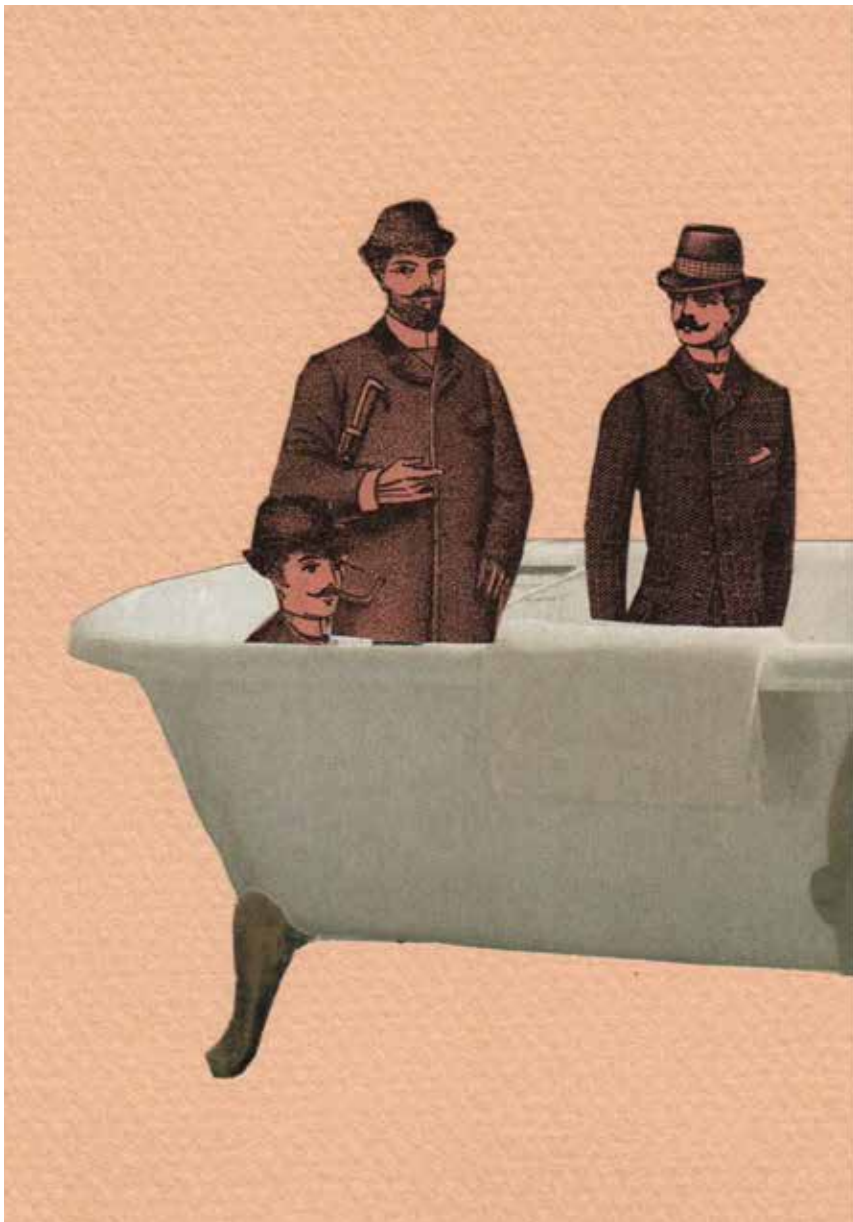
List Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego do Wiśławy Szymborskiej, listopad 1953 r.



Władysław Broniewski, Wanda Broniewska, Stanisław Grochowiak,
Wisława Szymborska, Artur Międzyrzecki i Ziemowit Feddecki, ZSRR, 1960 r.



Jacques Borel, Julian Przyboś, Wisława Szymborska i Zbigniew Herbert,
Paryż, 1967 r.



Wyklejanka z archiwum Fundacji Wisławy Szymborskiej (po 2000 r.)





Wisława Szymborska i Anna Kamieńska, Baranów, 1979 r.



Wisława Szymborska i Kornel Filipowicz, 1985 r.

Umanei - Tero mi noli is kotu

U jak ma noli kotu

u noli mi noli kotu

Wdrożeni is mi siary.

oicni misdy mublani.

Nic is tu nie noli is

a jedynki is noli is

Nic is nie noli is

a jedynki is noli is

z lampy noli is

z lampy noli is

Sigurni noli is

ale to mi te

za Polska, ~~u~~ ^u wladie noli is

~~u~~ ^u noli is

Talni mi ta u wladie.

Lo's is tu nie noli is

o mojej pare

Lo's is tu nie noli is

jakie noli is

ktos tutaj u i u

a pot em noli is

i noli is

i noli is

i noli is

Do noli is

nie noli is

W noli is

Noli is

Noli is

Talni noli is



Redakcja „Pisma”: Jerzy Kwiatkowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska,
Kornel Filipowicz, Jan Pieszczachowicz, Marta Wyka, Tadeusz Nyczek,
Bronisław Kurdziel, Julian Kornhauser, Kraków, luty 1982 r.



Wisława Szymborska, Karl Dedecius i Stanisław Barańczak, Kraków, 1993 r.



Wyklejanka Wisławy Szymborskiej (ze zbiorów Sebastiana Kudasa (po 2000 r.)



Wisława Szymborska z Czesławem Miłoszem w Wilnie, 2000 r.
(fot. Michał Rusinek)

Czesław Miłosz
p.s. Kultura, 91
Avenue de Poissy
Maisons-Laffitte
(Seine et Oise)

19 lutego 1957

25 lut. 1957

Szanowna Pani,

Dziękuję za list z dn. 31 stycznia 1957, który przesłał jakoś długo.

Nie zajmuję się systematycznie tłumaczeniem poezji amerykańskiej, robiłem dotychczas przekłady głównie wtedy, kiedy potrzeba mi było ilustracji do artykułów o sprawach poezji współczesnej. Dlatego nie mogę spełnić prośby "Życia Literackiego".

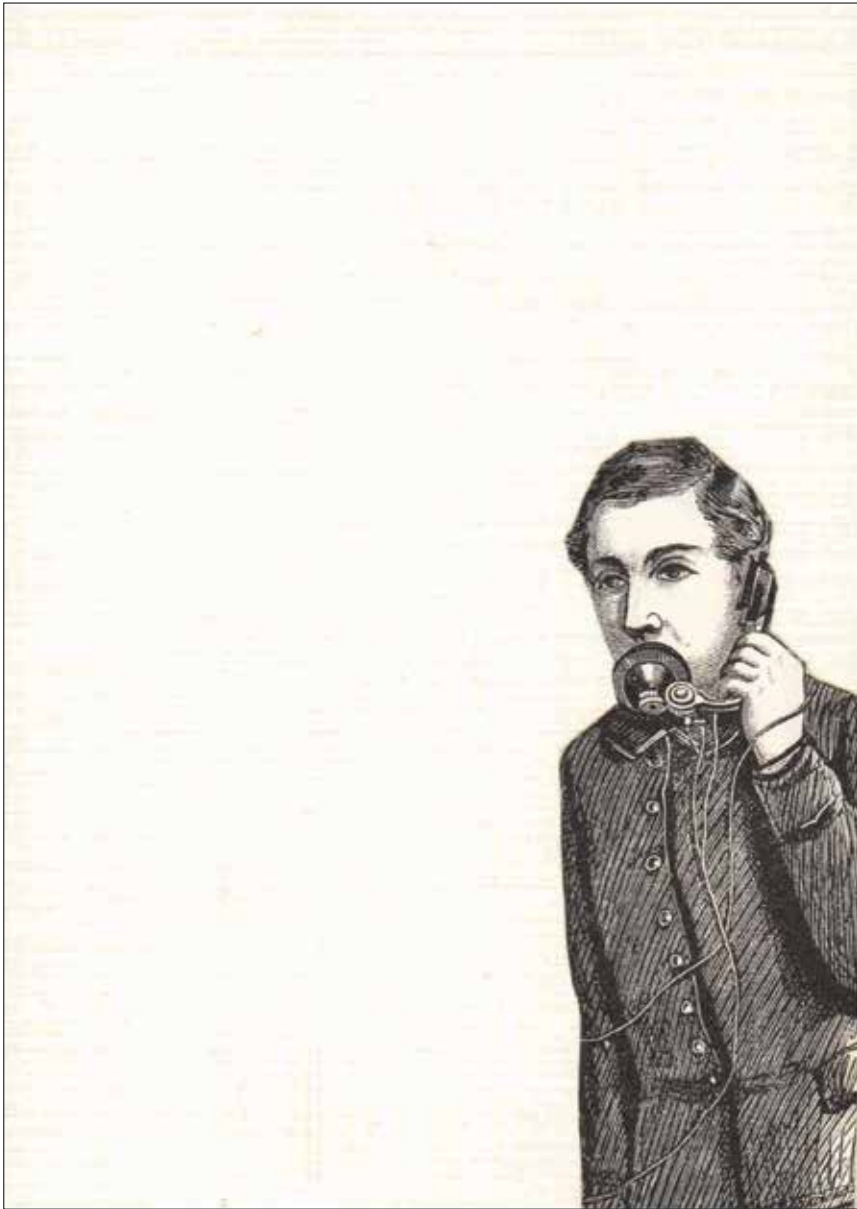
Poezja amerykańska wydaje mi się godna tłumaczenia na polski, jednakże obawiam się pewnych złudzeń perspektywy, które powstają wskutek rozpowszechnionej w Polsce tendencji do poszukiwania "stolicy" kulturalnej. Najprawdopodobniej, jeżeli chodzi o literaturę, takiej stolicy czy centrum dalszej wogóle nie ma, co wynika z "rozszarzenia się" świata, przez długi czas wytyczonego punktemi Paryż-Monachium-Wiedeń.

Natomiast znajdują właśnie w swoich psierach przekład wiersza Nuchima Bomsze, poety pochodzącego z Galicji Wschodniej, który umarł parę lat temu w New Yorku. Niewątpliwie niektórzy lwowianie pamiętają tego młodego przed wojną i skromnego poetę. Wiersz był opublikowany w "Kulturze" (lipiec 1955). Sądzę, że przypomnienie o dorobku literackim i artystycznym Żydów polskich może być skutecznym środkiem walki przeciwko antysemityzmowi.

Łączę pozdrowienia

PS Uprosiłem proszę o podanie że jest to przedruk z Kultury.

Czesław Miłosz



Wyklejanka z archiwum Fundacji Wisławy Szymborskiej (po 2000 r.)



Wisława Szymborska (fot. Kornel Filipowicz, lata 80. XX w.)

Wkładkę przygotował Sebastian Kudas. Wszystkie zamieszczone materiały pochodzą z archiwum Fundacji Wisławy Szymborskiej i Sebastiana Kudasa.

WISŁAWA SZYMBORSKA
List do Ryszarda Krynickiego

Kraków 9.12.90

Kochany Ryszardzie,

nieka to była dla mnie
radość, że mogliśmy sobie
trochę pogadać. Mam nie-
ustające wrażenie, ile
mamy bodźców*) w Krakowie!

*) albo bodźców

Do Baranichowa napisałam -
kierując się maksymalnym
jedynym tekstem.

Kiedy bodźców już wóś niedział
o losach wierzmy Korucela,
napisam! Ścisłam się i
twój tonus też! Vivanam

Kraków 9.12.[19]90

Kochany Ryszardzie,

wielka to była dla mnie radość, że mogliśmy sobie trochę pogadać. Masz nieustające zaproszenie, ile razy będziesz*) w Krakowie!

Do Barańczaka napisałam – książkę przeczytałam oczywiście jednym tchem.

Kiedy będziesz już coś wiedział o losach wierszy Kornela, napisz! Ściskam Cię i twoją Panią też!

Wisława

*) albo będziecie

Kraków, 9.12.90

Ściskam Was Obydwoje kocham
Wisława

Kochany Stanisław! Rzymo kusiłki przeprosił
mi twoje „Książki mój dom”. Wzobrazi sobie,
zjadł się dotąd nie czytalam, książkę, bez
prawy zmian LITERATURZE osnawione
niepodobnie! Po tych faktach, któreś kłama
na mumble, któraś śladu mi będzie, ale twoje
tekstowy będą tamty. Absolutnie malomocnie
zawzięci się z Tym Müllerem. Tacy teraz barają
po literaturze śladami. O melwurdie twoim
Hamleta się nie powiem od siebie. moja siostra
oszczędzają, że narodził się o czym się tam mówi.



To zagadkowe

Przypisy

„Do Barańczaka napisałam – książkę przeczytałam” – zobacz: Wisława Szymborska, Stanisław Barańczak: *Inne pozytywne uczucia też wchodzą w grę. Korespondencja 1972–2011* (Wydawnictwo a5, Kraków 2019), strona 66, list nr 48.

Książka, o której mowa, to pierwsze oficjalne, rozszerzone wydanie wyboru felietonów i rozpraw krytycznych Stanisława Barańczaka *Książki najgorsze i parę innych ekscesów krytycznoliterackich* (Wydawnictwo a5, Poznań 1990).

„wierszy Kornela” – podczas naszego spotkania w Krakowie zapytałem Wisławę Szymborską, czy możemy wydać wiersze Kornela Filipowicza z czasów stanu wojennego, które zrobiły na mnie wielkie wrażenie. Ostatecznie tom *Powiedz to słowo* (wydany wcześniej w podziemiu w roku 1984 oraz 1985) wydaliśmy wiosną 1992 roku. Poetka napisała do niego krótką notę redakcyjną; dzięki niej mogliśmy też na okładce zamieścić rysunek Jerzego Nowosielskiego, który nam później podarowała.

Cyfra 1 w dacie listu Wisławy Szymborskiej do Stanisława Barańczaka nie jest dopisana, jak sądziłem, tylko skreślona; zamiast: 19.12.[19]90 powinno być oczywiście: 09.12.[19]90.

R.K.

KRYSTYNA RODOWSKA

Lekcja

*darowanemu koniowi
nie zagląda się w zęby*

nie tego pragnęłaś
co samo przychodzi

z góry albo z dołu
z przywidzeń z podszeptów

darowane z groźbą
(zęby mogą ugryźć)

darowanemu (przez kogo? co? po co?)
pozwoliłam się wcielić

w moje słowa intonacje
cisze zabierać mi głos

bez pytania wrastać
w moją skórę

bo ciało słowem się staje
częściej niż odwrotnie

aż z którymś niezapisanym
w porę oddechem

poniesie cię z toru mowy
twój spłoszony koń

Nisze

chwile pod powiekami
przedporanne
nisze dla ćwierćbycia

wprowadzają się tam czasy
przenikają obrazy
drzew poskręcanych
branych na tortury
przez mistral i pędzel van Gogha
dochodzi cichnący odgłos
rozpędzonej karetki na sygnale
podczas gdy rozchyła wciąż wargi
niewiedząca nic o sobie
zadumana a może bezmyślna
dziewczyna z perłą
pochłania wszystko senny
zapach deszczu za oknem
szczekanie psa przez ścianę jakby nigdy
nie miał wyjść z domu na otwartą przestrzeń

Tam nic nie jest śmiertelne
trwa kojąca przerwa
w biegu z przeszkodami

Napięcie

„wyprostowana jak struna”
w luźnej gotowości spoczywam
(ale to jeszcze nie *odpoczywanie*)

zanim struna się zerwie
zdążę
wydać dźwięk?

LEOPOLDO CASTILLA

przełożyła Krystyna Rodowska

Banian

Spośród innych sławię Ganescha
boga z głową słonia

Posiada on mądrość
tego co poznaje własnym ciałem
Dopełnił się w nim cykl przemian
(zawsze to co niewiarygodne
jest najprawdziwsze)

Południa
wspierają się
na motylu

pajęczyna jest w stanie
ujarzmić wiatr
albowiem on
niezmierzony
tańczy na jednej nodze.
I odtąd
to co zwiewne
dźwiga na sobie firmament.

Jak wiatr
jesteśmy my wszyscy
falowaniem
dostojeństwa i strachu.

Kto wytrzyma
ciężar własnych snów

jeśli nie zwlecze swego kształtu
z siebie?

Ktoś poczęty dopiero w głębi siebie
– to nie jesteś ty! –
ktoś kto zjada cię po kawałku

Tylko ten kto rozpozna swe nieznanne zwierzę
może sprostać świętości

Zmarły

Już odszedł z tego świata
Wyzionęły ducha ubranie i okno
dom i lustro
otoczyło go wszystko
co go jeszcze trzyma

Już Boga widzi po ciemku,
osaczony przez to, co poza nim,
jak człowiek co zgaduje wysokość kolumny.

Z dala od siebie istniejesz

teraz
pytanie jest twoim domem

Krajobraz niewidomego

Niewidomy mówi „drzewo”
lecz nigdy nie widział drzewa
to słowo
stwarza mu pojęcie
które zakłóca przestrzeń

nie może w nią wejść
wie
że dotyk pozbawia nas miejsca
więc tylko mówi „drzewo”
jego głos wschodzi jak księżyc

jego pies może mu być całym niebem

Stara fotografia

Na zdjęciu widać mężczyznę i morze i dzień

mężczyzna umarł
dzień trwa
morze wciąż toczy wody
i zasłania cień tego mężczyzny
nie naruszając go

obok niego są trzy osoby
te trzy już umarły
ale ciągle tam są
uśmiechając się
tylko po to aby on dobrze wyszedł na zdjęciu

dzień jest piękny
tam
mewy skrzeczą ale nie słyszą siebie

są wszyscy on także
nie ma go
wiatr nie porusza ubraniami

Sytuacja

Ciało jest zawsze gdzie indziej

ona jest moim stanem duszy
jej głowa buty jej usta
kształtują się na ulicy w mojej głowie
chodzą w moich butach
wołają mnie z moich ust

aż wreszcie
staję się kobietą
którą pokochałem

Zstąpiliśmy między gwiazdy
jedni z nas byli ludźmi
inni stali się świetlikami

i wieczność straciliśmy po drodze
która zawiodła nas do początku

*Teraz albo nigdy
I nigdy było teraz*

masz tylko minutę
by podtrzymać
całą rozpacz świata

minutę
co podtrzymuje mutacje owadów roślin i ryb
(nieświadomych tego że wciąż jeszcze
są aniołami
znikomym falowaniem
nieskończoności)

ANTONI LIBERA

Bohater Jerzego Pilcha: bohater naszych czasów

Odejdźcie pisarza skłania do podsumowań, choćby była to tylko wstępna ocena jego dorobku. Co mu się naprawdę udało? Gdzie trafił w sedno? Co być może stanie się symbolem czy emblematem jego pisarstwa dla potomnych?

Otóż ja wyróżniłbym kilka książek z pierwszego okresu jego twórczości: debiutanckie *Wyznania twórcy pokątnej literatury erotycznej* (1988), za które otrzymał Nagrodę Kościelskich; następnie *Spis cudzołożnic* (1993), na podstawie której powstał dowcipny film z Jerzym Stuhrem w roli głównej; i wreszcie *Inne rozkosze* (1995) oraz *Tysiąc spokojnych miast* (1997).

W tych czterech rzeczach Pilch objawił przede wszystkim swój charakterystyczny, rozpoznawalny od pierwszego zdania styl, będący z jednej strony nowatorską wersją stylu heroikomicznego, a z drugiej, osobliwym pastiszem idiomów narracyjnych Sienkiewicza i Schulza. A ponadto zaprezentował bohatera, który miał się z czasem okazać portretem „dziecka naszych czasów”, czyli miernoty, która odpowiednio wykorzystując taryfę ulgową panującą we współczesnej kulturze czy wręcz ideologię promującą „niższych” kosztem bardziej uzdolnionych i lepiej wykształconych, pnie się w górę, aż staje się herosem-uzurpatorem. Postać ta to kolejne wcielenie Nikodema Dyzmy i bohatera *Monizy Clavier* Mrożka: lizus, krętacz, mitoman i niebotyczny kabotyn, zgrywający w humorystyczny sposób kogoś wyższego, ale na miarę swoich wyobrażeń.

Rozpatrzmy to na przykładzie *Spisu cudzołożnic* i zacznijmy od pytania natury formalnej: czym jest tekst, który wypełnia strony tej szczupłej książeczki? Jakiego typu jest to wypowiedź? Czy jest to bardziej lub mniej wystylizowany monolog mówiony? Czy jest to tekst na piśmie – opowiadanie w literackiej konwencji? Czy narrator tego tekstu, Gustaw, opowiada o sobie, o swoim życiu i różnych perypetiach w trybie swobodnej gawędy, czy w formie wystylizowanej opowieści? A poza tym – czy może przede wszystkim – co go skłania do tego? W jakim celu to robi?

Na te z pozoru proste pytania wcale niełatwo odpowiedzieć. Zarówno sytuacja narracyjna, jak i status tekstu nie są tu wyraźnie określone, jak to bywa nieraz w prozie pisanej w pierwszej osobie. Weźmy pierwszy z brzegu przykład: *Trans-Atlantyk* Gombrowicza. Oto już w pierwszych słowach tekstu powiedziane jest, w jakim celu ktoś zaczyna coś opowiadać i w jakim trybie to czyni:

Odczuwam potrzebę przekazania Rodzinie, krewnym i przyjaciółom moim tego oto zaczątku przygód moich, już dziesięcioletnich, w argentyńskiej stolicy.

Przykładów takich można by podać dziesiątki. W przypadku książki Jerzego Pilcha nie jest powiedziane wprost, po co, jak i do kogo mówi ten, który mówi. Uważam jednak, że daje się to w pewien sposób wydedukować.

Weźmy na razie w nawias kwestię powodu, jaki skłania tu narratora do mówienia, i stylu, w jakim to robi, i skierujmy uwagę na samą historię – wy-preparowaną z tych wszystkich uwarunkowań. Uprzytomnijmy sobie, o czym właściwie się tu opowiada: jakie wypadki tworzą oś fabularną. Otóż osnowa historii jest następująca:

W połowie lat osiemdziesiątych – w ramach tak zwanej wymiany kulturalno-naukowej – przybywa do Krakowa pewien szwedzki humanista. Zarówno cel, jak i program jego wizyty pozostają niedopowiedziane. Nic jednak nie wskazuje na to, by przyjechał do Polski na wykłady, studia czy badania. Niedwuznacznie natomiast zasugerowany jest sens tego przyjazdu z perspektywy strony podejmującej gościa, czyli pracowników naukowych Instytutu Filologii Polskiej UJ. Sprowadza się on do tego, iż w zamian za jego pobyt (wcale nieupragniony przez gościa, raczej wręcz wymuszony na nim) ktoś z pracowników Instytutu (konkretnie docent o wdzięcznie brzmiącym nazwisku Czatyrdah) uda się z rewizytą do Szwecji, zapewne na uniwersytet w Uppsali. Ten splot zależności i wynikająca stąd sytuacja pociąga za sobą następujące konsekwencje:

Dyrektor Instytutu, profesor Nikodem, będąc zapewne motorem przedsięwzięcia, a następnie zatwierdzając kandydaturę docenta Czatyrdaha na wyjazd do Szwecji (wolno przypuszczać, iż czyni to wyłącznie po to, by promowanego podwładnego mocniej od siebie uzależnić i w przyszłości owocniej wykorzystywać), staje w obliczu delikatnej kwestii organizacyjnej: co mianowicie zrobić ze szwedzkim gościem w Krakowie, jak wypełnić mu czas i kto miałby się tym zająć, bo przecież nie on naturalnie. Dotychczas, przez

lata zajmował się tym właśnie docent Czatyrdah, obecnie jednak, desygnowany do wyjazdu, nie może spełnić tego zadania. I profesor Nikodem zwraca się z tą sprawą do zatrudnionego w Instytucie – dodajmy: na bliżej nieokreślonym stanowisku – magistra Gustawa, głównego bohatera i narratora całej opowieści.

Zwróćmy uwagę, iż antecedencje, które doprowadzają do głównej akcji (począwszy od obudzenia Gustawa dzwonkiem telefonu i przekazania mu wiadomej nowiny przez profesora Nikodema), są wyraźną aluzją do kompozycyjnej figury „przygotowania w Niebie” w takich dziełach jak *Kordian* czy *Faust*. Dla Gustawa boskimi siłami decydującymi o jego losie są prawa i osoby rządzące w Instytucie.

A co dzieje się „na Ziemi” – odkąd Gustaw podejmuje się powierzonego zadania? Bieg wypadków jest następujący:

Bohater zachodzi po szwedzkiego gościa do hotelu „Cracovia” i udaje się z nim na wielogodzinną wólczęgę po mieście. Nie oprowadza go jednak po zabytkach Krakowa, lecz głównie po miejscach upamiętnionych przez represje Służby Bezpieczeństwa na przedstawicielach antykomunistycznej opozycji oraz po niczym niewsławionych uliczkach i przybytkach, takich jak punkt skupu opakowań szklanych albo bar „Vis à vis”, które z różnych powodów bliskie są jednak sercu Gustawa. W pewnym momencie wędrówki bohater prowadzi gościa do mieszkania swojej dawnej i dawno niewidzianej znajomej, która podejmuje przybyłych kolacją, ubarwiając spotkanie opowieścią o groteskowym zdarzeniu w Muzeum Lenina, stojącym naprzeciw jej okien. Wreszcie zmęczeni alkoholem wędrowcy lądują w jakimś nocnym lokalu, gdzie niezmożony bohater dalej poi swego podopiecznego albańskim koniakiem i poniekąd na siłę próbuje zapewnić mu towarzystwo kobiet, wydzwanając bezskutecznie z automatu telefonicznego do znajomych niewiast. Reszta czasu upływa na ostatecznym pogrążeniu się w alkoholowym odmęcie, czemu towarzyszą coraz bardziej wymyślne monologi Gustawa, mające bawić szwedzkiego humanistę, a jednocześnie służyć mu za naukę. Gdy zaś w końcu ten, śmiertelnie znużony, daje za wygraną, osuwając się na blat stolika, niezmożony Gustaw znajduje jeszcze słuchacza w obserwowanej od dawna kelnerce Iwonie Goździk, po czym opuszcza lokal i przez nocny Kraków dociera na pobliskie wzgórze, skąd niby z lotu ptaka przygląda się uśpionemu miastu.

Tak przedstawia się osnowa akcji. Zwróćmy teraz uwagę na dwie sprawy. Przede wszystkim na to, iż o tym pierwszoplanowym ciągu wydarzeń mowa jest w niespełna połowie tekstu. A poza tym na to, że kolejność rozdziałów

nie pokrywa się z chronologią wydarzeń. Na przykład rozdział pierwszy, zatytułowany „Pierwsze takty songu sutenera”, odnosi się do końcowej fazy akcji, gdy bohaterowie siedzą już w nocnym lokalu. Natomiast wypadki inicjujące akcję (poranny telefon profesora Nikodema) opisane są częściowo w rozdziale czwartym („Teorie porannych zapaści”), a częściowo – dopiero w siedemnastym („Zmierzch Zachodu”).

Czego więc dotyczą rozdziały pozostałe, w przytłaczającej liczbie trzy-nastu? Jak się ma ich zawartość do głównego nurtu wydarzeń? I jaka zasada rządzi ich następstwem?

Na pierwsze z pytań odpowiedź jest w miarę prosta. W rozdziałach nie dotyczących bezpośrednio akcji Gustaw opowiada o sobie, o swoich przeżyciach, doświadczeniach i myślach. Rozdziały te to jakby rozbudowane dygresje, wplątane między ogniwa zasadniczego wątku. Jak się one jednak mają do pierwszoplanowej historii i co decyduje o ich kolejności – z tym jest już niejaki problem.

Na trop jego rozwiązania – jak zresztą wszelkich innych kwestii tej książki – prowadzi charakterystyka głównego bohatera i rekonstrukcja jego biografii, dokonane na podstawie analizy jego wyznań, wspomnień, marzeń i stylu mówienia. Przystąpmy więc do tego zadania: sportretujmy Gustawa. Opiszmy jego życie, osobowość i charakter.

Wypełniony przez niego kwestionariusz personalny brzmiałby zapewne tak: urodzony – w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych; zamieszkały – w Krakowie; pochodzenie społeczne – inteligencja pracująca; wyznanie – ewangelicko-augsburskie; stan – żonaty; wykształcenie – wyższe; zawód wykonywany – pracownik naukowy Uniwersytetu Jagiellońskiego zatrudniony w Instytucie Filologii Polskiej na bliżej nieokreślonym stanowisku.

Co się jednak kryje za tym oficjalnym wizerunkiem?

W pewnym sensie (być może najważniejszym) Gustaw jest człowiekiem przeciętnym. A więc pozbawionym zdolności, które pozwoliłyby mu robić jakąkolwiek karierę – naukową, artystyczną, finansową czy choćby towarzyską. Inaczej mówiąc, jest on skazany na szarość, nijakość, na duchowe i materialne ubóstwo. Słowem: na podrzędność. Co więcej, jako protestant ma wyostrożoną świadomość nieodwracalności swojego losu. Nauka o predestynacji nie pozostawia mu żadnych złudzeń. Urodził się na małą miarę i taki już będzie po wieczność. NIC mu nie pomoże: ani praca, ani przypadek. Nie zazna łaski, nie znajdzie się nigdy wśród możliwych i „jasnych” tego świata. Jego świat będzie przyziemny i niski, sprawy – pokątne i małe, pełne upokorzenia i wstydu.

Dręczyć go będzie żądza, nie dana mu będzie miłość. Dręczyć go będzie wola użycia, nie dana mu będzie radość używania. Dręczyć go będzie ambicja, nie dane mu będzie jej zaspokojenie.

Życie z taką świadomością jest rodzajem piekła. I jeśli z jakichś powodów nie kończy się z nim, uruchamia ono rozmaite mechanizmy obronne polegające na otorbianiu bójącego miejsca. Zanim jednak opiszemy ich istotę, przyjrzyjmy się jeszcze, jak wygląda żywot tak ukształtowanego Gustawa, wrzuczonego w świat w takim akurat miejscu i czasie jak Polska drugiej połowy XX wieku.

Oto jego „sielskie, anielskie” dzieciństwo:

Zawstydzające opowieści podwórkowe rówieśników o współżyciu ich rodziców w jednopokojowych klitkach socjalistycznego budownictwa. Dziwaczne ćwiczenia pływania „na sucho”, wykonywane z komicznym namaszczeniem wraz z ojcem w przyciemnionym pokoju – praktyki, które śnią się później przez całe życie. Idiocyzm i koszmar szkoły z nieustannymi prymitywnymi odwołaniami do okupacji niemieckiej; obsesyjne przyrównywanie wszystkiego przez nauczyciela do rzeczywistości obozu koncentracyjnego. Oblędne pytanie „Iluś zabił Niemców?”, zadawane ojcu i dorosłym niczym test sprawdzający. Upokarzające domowe konflikty na tle wyznaniowym: odejście brata z narzeczoną wyznania rzymskokatolickiego traktowane jako nikczemny upadek. Wiecznie zepsuta spłuczka w ubikacji.

A oto jego „górna” młodość:

Erotyczny afekt do studentki zootechniki w zakładzie doświadczalnym w Kołudzie Wielkiej w groteskowych okolicznościach zbierania przez nią materiału do pracy magisterskiej na temat płciowych zachowań gęsi. Nudne, stereotypowe małżeństwo. Banalna, żałosna reakcja na domnianego rywala. Upokarzająca z braku środków podróż na Zachód. Serie nędznych, z reguły niespełnionych miłości, kosztujących wszelako mnóstwo zabiegów, starań i czasu.

No i wreszcie jego „wiek męski, wiek klęski”:

Nieokreślona, lecz z pewnością nieefektowna kariera akademicka, pełna służalczości i lizusostwa wobec przełożonych. Pogłębiająca się skłonność do kieliszka. Marne przygody erotyczne, naszpikowane przeszkodami i absurdalnymi powikłaniami. Przyjmowanie w zawołowany sposób różnych form jałmużny od goszczonych cudzoziemców. Cyniczne kupczenie martyrologią narodową. Stoczenie się do poziomu trawionego alkoholowym głodem

kloszarda, zbierającego puste butelki w celu otrzymania talonu na dodatkową flaszkę wódki.

Trudno nie uznać, iż jest to żywot marny, zdegradowany. Pozbawiony światła, nadziei i piękna. Kojarzy się on z różnymi literackimi żywotami „z podziemia” – z bohaterami Gogola, Gonczarowa, Dostojewskiego; z postaciami Hamsuna, Céline’a, Sartre’a i Geneta.

Bohater Pilcha próbuje wszelako przewyciężyć swoje przekleństwo losu. W jaki sposób to czyni? Za pomocą jakich narzędzi i środków?

Zbawienne, choć zarazem zatrute remedium na koszmar podrzędnej, spaczonej egzystencji znajduje on w literaturze – we wszelkich jej aspektach i wymiarach. Jego pierwszym odkryciem jest to, że rzeczy tego świata, choćby najbardziej przyziemne, nazywane w literaturze są jakby czymś innym, jakby szlachetniejszym. I że tym, co je uszlachetnia, jest język. Kolejne odkrycie, a raczej już stwierdzenie faktu, stanowi to, że literatura jako dziedzina sztuki daje dostęp do wyższego, uprzywilejowanego świata, choćby się nawet było najgorszym nieudacznikiem. Pisarze cieszą się szacunkiem, stają się legendami, przechodzą do historii – choćby ich życie było pasmem nieszczęść i upadków. A więc literatura z b a w i a. Zbawia doraźnie przez zaczarowywanie słowami rzeczywistości i zbawia na dalszą metę, dając szansę wstąpienia do Panteonu, fundując ziemską wieczność.

Wszystko to się zgadza pod jednym warunkiem: że ten, kto szuka „wyjścia przez literaturę”, zna – mówiąc słowami Herberta – „sekret zaklinalnia słów”, zna sekret „formy odpornej na działanie czasu, bez czego nie ma frazy godnej pamiętania, mowa jest jak piasek”. Czy Gustaw jest człowiekiem, który zna ów sekret? Czy jest on tym wyklętym, który ocala słowem?

Tu się zaczyna problem. Gustaw jest dzieckiem XX wieku. Wychowanym w dodatku w kraju upośledzonym – w socjalistycznej Polsce. A czym jest wiek XX? A zwłaszcza PRL?

Wiek XX wśród rozlicznych katastrof i plag, jakie przyniósł, przyniósł również i taką, którą można by nazwać zupełną pauperyzacją w sztuce. Barbarzyńcy wtargnęli również do ogrodu. Totalnie pojmowany postulat równości i równouprawnienia objął i tę dziedzinę, która z natury rzeczy jest elitarna i arystokratyczna. – Dlaczego artystą ma być tylko geniusz? – zaczęło padać buńczuczne pytanie. – Dlaczego splendory mają spływać wyłącznie na wybrańców bogów? To niesprawiedliwe. Ba, to nikczemne, haniebne! Po e t a może być k a ż d y. Każdy jest potencjalnym artystą. „Wyższość” to schyłek i rozkład. „Niższość” to siła, do której należy przyszłość. Wszystko, co gorsze,

co niedojrzałe, co młode, jest dialektycznie zwycięskie! Wyklęty, powstań, grafomanie!

Tego rodzaju idee – cała rzeczywistość społeczna, która się z nich zrodziła – stały się przedmiotem nauki, a dalej chlebem powszednim każdego studenta wydziałów humanistycznych. Ucząc tych wszystkich nowinek – filozoficznych, psychologicznych, literackich – ucząc ich jako... kanonu wiedzy, czegoś już usankcjonowanego – uczono mimowolnie życia ułatwionego, nowego „życia na niby”. Zamiast podciągać wzwyż, co było celem (choćby utopijnym), obniżano poprzeczkę, anulowano hierarchię, pozwalano na wszystko. Artystą może być każdy! Wszystko jest poezją! Nie ma takiej nędzy duchowej, której nie dałoby się „przewyciężyć” i „przekuć na wartość”. Obalono wszelkie możliwe tabu, dokonano na wielką skalę fetyszyzacji kultury, w sumie doprowadzono do wielkiej mistyfikacji, bezczelnej usurpacji, kolosalnego szalbierstwa. I ten to właśnie klucz, czy raczej diabelski wytrych, posiadał Gustaw na drodze swej edukacji.

I cóż z tego, że jestem zerem? – pomyślał któregoś dnia. Cóż z tego, że moje życie – moje myśli, pragnienia, przygody są marne lub wręcz żałosne? Są takie, jakie są, lecz skoro są, są ważne. I tak jak wszystko inne – godne literatury. A bo to różni luminarze, o których mnie uczono i których biografie pilnie studiowałem, nie żyli jak ja, w kloace? Zboczeńcy, erotomani, pijacy, złodzieje, kapusie! Jeśli jest *Pieśń Maldorora*, czemu ma nie być „bezlitosnej pod każdym względem” *Pieśni stręczyciela*? I *Wielkiej Pieśni Fetyszysty*, i *Historii pończochy*, i *Biografii wynalazcy kontrafałdy*? Jeśli jest *Traktat o manekinach*, czemuż ma nie być *Traktatu o ciele i duszy mężczyzny telefonującego do kobiety*? Jeśli jest tyle teorii – Darwina, Freuda, Einsteina – dlaczego by nie napisać *Teorii zdrady małżeńskiej*, *Teorii siedzenia w wannie*, *Teorii kilku zdań*?

Lecz nawet by pisać brednie, trzeba mieć trochę weny lub woli doprowadzenia rzeczy do końca. Tymczasem Gustaw i tego jest pozbawiony. Miesiącami, całymi latami przygotowuje się do stworzenia coraz to nowych fantasmagorycznych opusów, nabywa w tym celu dziesiątki nowych zeszytów z bezdrzewnego papieru – lecz nigdy, ale to nigdy nie wychodzi poza pierwszą ich stronę, poza jakieś otwierające zdanie, kilka notatek skreślonych naprędce lub sporządzenie dziesięciu, góra piętnastu fiszek, opłaconych wielogodzinną wizytą w bibliotece naukowej.

Choroba na literaturę, ów złowrogi bakcyl, którym dotknięty jest Gustaw, potrafi jednak sobie poradzić nawet i z tym stanem rzeczy, czyli ze stanem ostatecznej i jakby nieodwołalnej już impotencji. – Po co od razu pisać, po

co się tak śpieszyć? – podpowiada przewrotny zarazek, dostosowujący się do wszelkich warunków. – Napisziesz kiedyś, później, a na razie traktuj wszystko, co się z tobą dzieje i co cię otacza, jakby już było pisane, jakbyś sam był postacią a zarazem jej twórcą.

I Gustaw zaczyna grać. Przed sobą i przed innymi. Lecz przede wszystkim przed sobą. Stwarza fikcję, której jest jednocześnie źródłem i bohaterem. Gra nieustannie kogoś, kto nieustannie tworzy – jego gesty, słowa i myśli są jak pisane zdania. Każdy dzień jest rozdziałem, opowieścią, nowelą. A on sam jako bohater tej permanentnej fikcji jest wciąż dojrzewającym pisarzem, który oczywiście zostanie kiedyś odkryty i doceniony. Tymczasem pokonuje ową usianą cierniami drogę, jaką rzekomo musi przejść każdy artysta. W tej grze z samym sobą spożytkowuje całą swoją literaturoznawczą wiedzę, znajomość stylów, cytatów, słynnych motywów i legendarnych słów-kluczy. Jednocześnie podporządkowuje jej całe doświadczenie życiowe.

Powiedziano mu, że dzieciństwo jest ważne. Proszę bardzo, mamy dzieciństwo. Postać ojca, owa kluczowa figura w naukowo-literackiej mitologii XX wieku. Proszę bardzo, mamy i ojca. Seks, erotyczna obsesja – jak najbardziej, w każdych ilościach. Zahamowania wynikłe z wychowania religijnego – naturalnie, i to jak jeszcze! – w mrocznym, Bergmanowskim, protestanckim wydaniu. Nałogi, alkoholizm – bez tego wszak nie ma głębi. Jest i pijaństwo, i tytoń.

I tak trwa ten kabotyński kontredans, to codzienne „układanie dramatu” z materii codziennego życia w myśl wynaturzonych XX-wiecznych przepisów. Aż wreszcie jest rezultat! Po iluś latach gra wydaje upragniony owoc. Gustaw spisuje wreszcie swe myśli i przygody. Oto one – *Spis cudzołożnic* – wykwinтна „proza podróżna” w dwudziestu pięciu rozdziałach. Przyrządzona jak trzeba, na modłę XX-wiecznych wzorów: z poszatowaną fabułą, z dygresjami, paузami, z wywróconą do góry nogami chronologią wydarzeń, z dziesiątkami cytatów, odniesień i aluzji literackich. Dziełko wymagające – prawie jak *Ziemia jałowa* – przypisów i odsyłaczy; wyjaśniających na przykład, o kogo chodzi w retorycznym pytaniu padającym na stronie trzydziestej siódmej: „Czy trzeba być rasowym gdańskim epikiem, by wiedzieć, jak na przełomie lat 50. i 60. wyglądała butelka oranżady?”, albo czego parafrazą jest zdanie ze strony czterdziestej dziewiątej: „Pamiętam upalne sezony, na które wyjeżdżaliśmy z matką nad morze, wydając samotnego ojca na pastwę, rzecz jasna, oszałamiających, skwarnych dni letnich”, albo wreszcie jakiego poetę cytuje narrator na stronie czterdziestej drugiej słowami: „Stoi to miasto jak niewidzialna zasłona łzawiącego gazu”?

A zatem mamy nareszcie odpowiedź: tekst wypełniający sto pięćdziesiąt dwie strony książki Pilcha jest dziełem literackim magistra Gustawa – jego debiutem, a raczej pierwszą w ogóle napisaną i zakończoną pracą, bo przecież to, że możemy ją czytać, nie oznacza bynajmniej, że ukazała się drukiem. Drukiem ukazała się tylko książka Jerzego Pilcha. To zasadnicza różnica.

Don Kichot naczytał się średniowiecznych romansów rycerskich i potraktowawszy je nazbyt dosłownie, wyruszył w swą słynną wyprawę, aby się bić z wiatrakami. Dziesiątki egzaltowanych młodzieńców nacytawszy się w XIX wieku *Cierpień młodego Wertera*, przelewało na papier burze swoich doznań i rozstawało się z życiem. Gustaw, nasz rodzimy współczesny bohater, nacytawszy się bez umiaru XX-wiecznej literatury oraz towarzyszących jej nowinek filozoficznych i psychologicznych, naprzód zaczął postępować na obraz ich i podobieństwo, a wreszcie na tej podstawie stworzył własne dzieło.

Romanse rycerskie były literaturą serio, literaturą „prawdziwą”. Literatura i sztuka XX wieku – ta, która się stała klasyką – jest w znacznej mierze parodią. Dzieło magistra Gustawa jest parodią parodii. W dodatku nieświadomą.

Tytuł jednego z ostatnich esejów Gombrowicza brzmi: *Im mądrzej, tym głupiej* i traktowany był przezeń jako rodzaj przestrogi dla kultury i cywilizacji zanadto ufającej różnym scjentyzmom. Szydercza książka Pilcha mogłaby ową sentencję mieć za swoje motto. Zarazem jednak stanowi ona ironiczne wyzwanie pod adresem mistrza: spójrz, do czego prowadzi ubóstwienie niższości, jak łatwo sprzeniewierzyć ową dialektykę, jak groźne stają się tego rodzaju idee w niepowołanych rękach.

Posiałeś, Gombrowiczu, niebezpieczne ziarno.

ANTONI LIBERA

Liryki lozańskie

wariacje na temat Jerzego Pilcha

Nadarzyła się wreszcie szczególna okazja. Gustaw otrzymał zagraniczne stypendium twórcze.

Tak, choć Gustaw niczego jeszcze nie opublikował, choć był autorem zaledwie pomysłów, notatek, kunsztownych zdań początkowych i eliptycznych puent, znano go już szeroko, i to nie tylko w Krakowie. Wiele o nim mówiono, a nawet dyskutowano niejedną z jego idei i cytowano jego złote myśli. Tak, chociaż jego artyzm, jego niezwykły styl i sposób widzenia rzeczy nie odcisnęły jeszcze swojego trwałego piętna w postaci drukarskiej farby odbitej na papierze choćby najpośledniejszej literackiej gazetki – był już sławny. Nie tylko. Był również doceniony. Bo jak inaczej rozumieć przyznanie mu tego stypendium? Musiano się na nim poznać. Zapewne setki rozmów, których był bohaterem, dziesiątki mistrzowskich sformułowań, którymi hojnie i z ufnością, iż nikt sobie ich nie przywłaszczy, szafował na lewo i na prawo, zapewne to wszystko razem złożyło się na legendę, która dotarłszy gdzie trzeba, zrobiła swoje.

Dlaczegoż by nie wyróżnić – padały z pewnością głosy na obradach komisji – dlaczegoż by nie wyróżnić zagadkowego Gustawa? I cóż z tego, że nic nie napisał? I cóż z tego, że nie jest już pierwszej młodości? Dlaczego mamy ciągle ulegać rutynie i w kółko popierać corocznych debiutantów, których prace, jakkolwiek dobrze by rokowały, a nawet jeśli były początkami świetnymi, niosą przecież już w sobie, przez sam fakt dokonania, zdradziecki załazek końca? Czyż nie lepiej odstąpić od tej dwuznacznej zasady i – raz przynajmniej – nagrodzić Wielkie Niespełnienie? Dać szansę Niespełnionemu, aby wreszcie się spełnił? Zresztą – po cóż spełnił! By się dalej nie spełniał, bo czymże jest Skwarne Lato, a nawet Burzliwa Wiosna wobec Wielkich Nadziei, jakie każde z nich budzi?

Tak, tak – przeważała pomyślna dlań decyzja – trzeba nagrodzić Gustawa. Któż dzisiaj, tak jak on, ma odwagę nie pisać? Któż z taką wytrwałością, z takim uporem godnym lepszej sprawy... milczy, nim zaczął mówić? A zatem

niech milczy dalej, niech dalej snuje swój wewnętrzny poemat, którego złote okruchy, niczym robaczki świętojańskie, będą co jakiś czas błyskać w ezoterycznej przestrzeni!

Więc tak zapewne – może nie jednogłośnie, może z jednym głosem przeciwnym i dwoma wstrzymującymi się – przegłosowano kandydaturę Gustawa.

Dalszy *modus operandi* Fundacji na pewno wyda się niejednemu dziwny czy wręcz niepoważny, ale to tylko pozory.

Gustaw o przyznaniu mu stypendium nie dowiedział się bowiem ani za pośrednictwem Instytutu, ani Związku Literatów Polskich, do którego zresztą, naturalnie, nie należał, a który, co więcej, był w owym czasie jeszcze zawieszony, ani nawet drogą pocztową. O przyznaniu mu twórczym stypendium Gustaw dowiedział się od pewnego szwajcarskiego humanisty, który przybył do naszego świętego miasta – nie po to jednak, by zwiedzać jego najświętsze zabytki lub wziąć udział w jakimś naukowym sympozjum, lecz najwyraźniej – z tajną misją. Jak wiadomo, nie były to lekkie czasy i znajdowaliśmy się pod baczna uwagą całego cywilizowanego świata.

Gustaw, najwytrawniejszy już wówczas w Instytucie przewodnik cudzoziemskich humanistów, spacerował z dalekim potomkiem Winkelrieda wokół Rynku i usiłował mu objaśnić dialektyczną wartość nudy i szarżyzny w kraju opanowanym przez komunizm, zwłaszcza komunizm wojenny czy przynajmniej zmilitaryzowany. Pełen godności i dumy, starał się przekonać Szwajcara, iż dla artysty taka sytuacja jest tylko pozornie niekorzystna. W istocie bowiem, poprzez straszliwe ograniczenia, daje mu ona nieocenioną szansę wydania z siebie perły.

– Cóż tam wy, nad Lemaniem, w Lozannie, nad Aarą! – mówił z przyjaznym współczuciem. – Macie wszystko: zegarki, czekoladę, sery. Najlepsza organizacja, punktualność, czystość. Najwyższy w Europie standard. Najwyższy przychód na głowę. I cóż z tego! Nuda i jałowizna. Zbytek. Przesyt. Brak potrzeb. My zaś – kontynuował – my zaś mamy nic, żyjemy w nagich ścianach, za to jednakże... za to... – lecz tutaj, czy że nie umiał dobrać odpowiedniego słowa, czy że mu coś przerwało, nie dokończył, i Szwajcar odniósł wrażenie, iż Gustaw się skarży na los.

– *May I help you?* – zapytał, sięgając do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Nie, nie, nic nie rozumiesz! – Zamachał rękami Gustaw. – Jeszcze nie dokończyłem. Niższość, rozumiesz?... Gorszość... *Inferiority complex*... *Second class quality*... To wszystko razem... daje szansę na wyższość, na lepszość, na wybiecie się, na *Ascension!*... Niedojrzałość... Gombrowicz... *I hope, you have*

read him. Tak-tak, tylko poprzez upadek, poprzez sięgnięcie dna można się wspiąć na wyżyny i stanąć jak nasz Kordian, nasz romantyczny bohater, na samym szczycie Mont Blanc. Na Alpach w Splügen! Ach, stanąć tam, choćby na chwilę! Ach, choćby i u podnóża!

I wtedy to nastąpiło. Szwajcarski humanista pokiwał ze zrozumieniem głową i zaprosił Gustawa do hotelowego baru, przekazał mu dobrą nowinę.

Z długiego wywodu cudzoziemskiego gościa Gustaw niewiele wprawdzie zrozumiał – Szwajcar mówił półgłosem (co w oczywisty sposób świadczyło o wadze sprawy) i coraz to wtrącał francuskie lub niemieckie słowa – istota sprawy była jednak absolutnie klarowna:

podróż i wiza – na koszt własny;

lokum i utrzymanie – coś się znajdzie, coś się wymyśli;

kieszonkowe – raczej nie liczyć, ale i nie wykluczać, albowiem kto wie, kto wie?

– A zaproszenie? – zapytał Gustaw konspiracyjnym szeptem. – *And invitation?... Einladung?... L'invitation?* Bez zaproszenia daleko nie zajadę. *No invitation – no passport. Ohne Einladung – keine schweizerisch Visum.*

– *Don't worry* – przerwał mu Szwajcar. – *I'll bring it from Warsaw.*

– *From Warsaw?* – zdziwił się Gustaw.

– *Yes, yes, from Warsaw* – odparł spokojnie Szwajcar. – Zaproszenie można załatwić w szwajcarskiej ambasadzie.

W tym momencie wszystko dla Gustawa stało się wreszcie jasne.

Fundacja, świadoma wszelkich trudności i przeszkód, na jakie są wystawieni obywatele tej części Europy, a zwłaszcza opozycyjni twórcy i intelektualiści, świadoma wszelkich zagrożeń i niebezpieczeństw, na jakie skazuje ich totalitarny system, takich chociażby jak:

nabrzmiące zawiścią stosunki panujące w Instytucie; trwająca tam nieustannie wojna podjazdowa; kopanie wilczych dołów; wzajemne rycie pod sobą i zastawianie wnyków;

dalej: selekcja negatywna stosowana w Związku Literatów; utracanie wybitnych, promowanie miernot; nagradzanie służalców kosztem niezależnych;

dalej: biurokracja; powolność i zła wola gnuśnych urzędników, ich chytrłość na łapówki, zdolność do szantażu;

no i na koniec: cenzura – kontrola korespondencji;

Fundacja zatem, wiedząc o tym wszystkim, a przy tym zdając sobie sprawę z osobliwości swojego wyboru, czyli biorąc pod uwagę, iż w kraju wyróżnionego twórcy werdykt wzbudzi z pewnością nie lada kontrowersje, postępuje

nad wyraz rozważnie i przemyślnie. Wysłała z tajną misją swojego człowieka, który prywatnie dociera do laureata i upewniwszy się, że to on właśnie, powiadamia go o stypendium. Lecz żeby nie robić szumu, nie zwracać niczyjej uwagi, zarówno w środowisku, jak i w biurze paszportów, nie wręcza mu żadnego oficjalnego pisma, lecz ustalwszy szczegóły, wystawia mu zwykłe turystyczne zaproszenie.

Że podróż nieopłacona? Że kieszonkowe niepewne? I cóż w tym takiego dziwnego? A bo to nie wiadomo, jak poważne trudności przeżywają na świecie fundacje kulturalne, uniwersytety, ośrodki naukowe? Tak, tak, nawet w Szwajcarii!

I rzeczywiście, w kilka dni potem szwajcarski humanista po odwiedzeniu stolicy, w drodze powrotnej do swojej wypucowanej ojczyzny (dla większej konspiracji podróżował własnym samochodem), znów zahaczył o Kraków i wręczył Gustawowi najprawdziwsze szwajcarskie zaproszenie, sownie opłacone i poświadczane najautentyczniejszymi szwajcarskimi pieczęciami.

Zapraszającym był oczywiście szwajcarski humanista, a zaproszonym – Gustaw.

A więc był stypendystą! Szykował się do drogi. I to dokąd! Nad Lemana. Do Lozanny. Nad Aarę. Szlakiem największych. W ślad za tytanami. Za Adamem, Juliuszem, Zygmuntem. Za Henrykiem, Stefanem, Kazikiem. A przecież i za Jamesem, i za Tomaszem Mannem, nie mówiąc już o Canettim albo o Nabokowie.

Był tak przejęty i pochłonięty załatwianiem formalności paszportowo-wizowych, że całkiem zapomniał o swoim rywalu (kochanku żony Emilki).

Wreszcie wszystko było gotowe. Paszport, wiza, tranzyty, bilet (na auto-kar, bo taniej).

Dokładnie w tym samym czasie do wyjazdu szykowała się również Emilka – na kolejny, rzecz jasna, kurs doskonalenia zawodowego. Ale Gustaw zupełnie się tym nie przejmował, przeciwnie, znajdował w tym nawet pewną satysfakcję.

Cóż to za karle sprawy!, myślał o niej z politowaniem, o niej i o swoim rywalu. Znowu te kursy! Te żałosne wykłady i, pożałuj Boże, dyskusje. Skretynnienie i obłuda. Udają, że jadą się czegoś uczyć, a przecież jadą tylko po to, żeby się gzić po kątach. Wyjazd służbowy! Delegacja! Cóż za żałosny paliatyw podróży! Ale żeby nawet w tym nędznym wymiarze mieli trochę rozmachu, odrobinę fantazji! Żeby jechali tam gzić się z pełną premedytacją i oddawali się temu jak prawdziwi smakosze! Gdzież tam, próżne marzenia! Nawet na to ich nie stać.

Będą gwarzyć, mędrkować, spacerować za rączkę, żeby dopiero pod wieczór, gdzieś, ukradkiem, na ławce (bo przecież nie w pokoju, gdzie mieszkają po czworo), skraćć sobie nawzajem smętnego całusa i płonić się zaraz ze wstydu, i wzdychać sentymentalnie: ach, jak ciężko na duszy, jak boleśnie i tęsknie. – Boże, jakie to marne, jakie to karle sprawy! Gdy ja nad Lemana, w Alpy, na Stypendium Twórcze, wyklęty, potępiony, przez wszystkich zdradzony, oni na... kurso-konferencję, ten symbol degradacji, socjalistycznej nauki, gdzie w ciżbie tępych gamoni będą odgrywać swe niewolnicze misteria, które w ich ptasiej, kurzej świadomości zapiszą się na pewno złotymi zgłoskami najwyższych wzlotów ducha i miłosnych uniesień. Ech, cóż tam! Co nam zdrady!

Wyruszył w sobotę rano.

Droga wiodła przez Czechy, rzęsiście oświetloną Pragę, przez południowe Niemcy, w górę Dunaju, omijając z dala Monachium, siedzibę Wolnej Europy; postój i nocleg w Konstancji, nad Jeziorem Bodeńskim; po czym, w niedzielę, dalej, w głąb Szwajcarii, z kolei w górę Renu, do Lozanny, nad Lemana.

Uciążliwy lokator (kochanek żony Emilki) całkiem wyparował mu z głowy. Gustaw po prostu o nim zapomniał. Jego myśli zaprzątnięte były teraz zupełnie czymś innym. Co będzie, gdy dojedzie? Czy Frank (tak miał na imię szwajcarski humanista, wystawca zaproszenia), czy Frank wyjdzie po niego na dworzec? Gdzie będzie mieszkał? A przede wszystkim – co z kieszonkowym? Czy dało się... „nie wykluczyć”? Czy magiczne „kto wie” znajdzie szczęśliwy finał? I jak będzie wręczone? W kopercie, w czeku, w gotówce? I ile tego będzie? Czy starczy zaledwie na papierosy, czy jednak również i na koniak albański?... jaki tam koniak albański! – na brandy francuską albo szkocką whisky?

Myśli te nie dawały mu spokoju. Ze sobą miał bowiem zaledwie dwadzieścia dolarów, które kupił od wulgarnego cinkciarza pod Peweksem i o których wiedział, iż w najlepszym razie wystarczą mu na drobne wydatki w ciągu dwóch, góra trzech dni.

Pobyt w Szwajcarii rozpoczął się dla Gustawa pomyślnie, nawet bardzo pomyślnie. Frank czekał na niego swym srebrnym volkswagenem i prosto z dworca zabrał go do rustykalnej restauracji w górach, gdzie raczyli się – dokładnie tak jak marzył – szkocką whisky i francuskim koniakiem. A do jedzenia popijali jeszcze zimne bawarskie piwo. Frank był w świetnym nastroju. Coraz to klepał Gustawa po plecach i wznosząc kielichy lub szklanki, wołał wesoło: *Salut!*

Po obiedzie zaproponował małą przejażdżkę. Najpierw miasto: najważniejsze ulice i place, następnie – mityczny Leman.

Frankowi nie zamykały się usta. Gadał jak nakręcony. Coraz to puszczał kierownicę i wskazywał na coś ręką. Gustaw po sutym posiłku, solidnie przy tym zakrapianym, poczuł się ociężałe i sennie. Aż w pewnym momencie całkiem się wyłączył i przestał zwracać uwagę na impulsywne tyrady swojego *cicerone*. Resztki otępiełej percepcji łowiły już tylko jedno: czy Frank w ferworze krajoznawczych objaśnień nie wspomni nagle, przypadkiem, o „groszu” – o kieszonkowym.

Niestety, Gustaw był prawie pewien, że dotychczas nie padła na ten temat nawet najmniejsza wzmianka, choćby cień aluzji.

Wszystko jest niby *correct*, myślał w roztargnieniu. Wyszedł po mnie. Na karmił. Opitem się whisky. Teraz wozi mnie wszędzie. Więc pewnie i mieszkanie jest jakoś załatwione. Przecież po takim początku nie zostawi mnie na ulicy. A jeśli zawiezie do hotelu, uznam za oczywiste, że wszystko jest zapłacone. Ale co z forszą, co z forszą?

Istotnie, nie mylił się. Frank zadbał i o mieszkanie: przygotował mu pokój w swoim własnym domu, z widokiem, co prawda, na cmentarz, a nawet na krematorium, lecz – głośno zarechotał:

– *It is very romantic, isn't it?*

– *Yes, really, wonderful* – odparł Gustaw i dodał po chwili: – To nawet mi odpowiada, bo coś, nad czym teraz pracuję i co chciałbym tu skończyć, nazywa się „Proza cmentarna”.

Z godziny na godzinę, z kwadransa na kwadrans, nadzieja na kieszonkowe nieubłagane topniała. Może kiedyś... przypadkiem... przy jakiejś okazji... lecz – widać to było aż nadto wyraźnie – na pewno nie od razu, nie na przywitaniu i w oficjalny sposób.

Frank widząc, iż Gustaw zmarkotniał, że stał się małomówny i jakby nieobecny, znów klepnął go po ramieniu i huknął:

– *Let's go to the lake shore!* Nad vode wielko i tsheesto... – dorzucił z porozumiewawczym uśmiechem kogoś wtajemniczonego w najgłębsze sekrety polskiej mitologii literackiej.

Znów wsiedli w srebrnego volkswagena i pomknęli nad Leman.

Po mniej więcej pół godzinie jazdy, która tym razem upłynęła im w milczeniu, stanęli w jednym z mitycznych miejsc.

Pusto, cicho, fala brzeg liże, toń – rzeczywiście – niesamowicie przejrzysta, a na dnie... na olbrzymich połączeniach dna... wprost niebywała gotówka. Krocie

różnokształtnych i różnokolorowych monet, pieniążków złotych i srebrnych, błyskających jak miriady gwiazd, a wszystkie one – szlachetnego rodzaju, „twardego” pochodzenia: franki, marki, szylingi, nawet żółtawy funkcik od czasu do czasu. Gdzieżby tam marny nikiel demokracji ludowych!

Gustaw wprost oniemiał z zachwytu.

– *Unbelievable, unbelievable...* – powtarzał cicho, nurkując żrenicą w głąb przejrzystej toni.

– *Yes, yes, it's amazing, extraordinary* – potwierdził z odcieniem dumy w głosie Frank, lecz zaraz dodał rzeczowo: – *But water is not so pure as in old times.*

Lecz Gustaw znów się wyłączył, choć tym razem z innego powodu.

– Dojeżdża tam jakiś autobus? – zapytał niby mimochodem, gdy wracali do miasta.

– *Sure* – odparł Frank. – *Number seventy two.* Lecz jeśli chcesz pojechać tam znowu, na dłużej, a także w inne miejsca, to powiedz, zabiorę cię wozem.

– *No, no!* – Może nazbyt nerwowo, nazbyt impulsywnie odrzucił tę propozycję Gustaw. – Pomijając już to, że nie chciałbym cię kłopotać, ja, widzisz, w takim miejscu muszę być całkiem sam. Wiesz przecież doskonale, czym dla Polaków jest Leman. Zwłaszcza dla polskich poetów. Sam przecież przed wyjściem z domu zacytowałeś słowa z tego legendarnego wiersza, który właśnie tu powstał, pod natchnionym piórem naszego narodowego wieszczka. Więc rozumiesz mnie chyba: chciałbym tam pobycć sam i w milczeniu i pustce łowić... wrażenia i myśli, które były udziałem tytanów, geniuszy.

– *Sure, sure, it's clear, it's quite natural* – łatwo ustąpił Frank. – Pokażę ci przystanek, z którego się tam jedzie.

Od tej chwili rozpoczęła się dla Gustawa czas nerwowych i bardzo żmudnych, jak się miało okazać, przygotowań. Na początku głównie myślowych: Kiedy tam pojechać? O jakiej porze najlepiej? Co ze sobą zabrać? Co może się okazać przydatne? Jak kupić bilet na autobus? Gdzie wymienić dolary na franki?

Następnego dnia rano, po prawie nieprzespanej nocy, postanowił nie zwlekać i pojechać od razu – na razie na rekonesans.

Nie mówiąc nic, rzecz jasna, o swoich zamierzeniach, najnaturalniejszym tonem, na jaki go było stać, zaanonsował Frankowi, iż idzie się przejść po mieście – ot tak, rozejrzeć się wokół.

– *Just look around* – powiedział, rozkładając lekko ręce, w geście wyrażającym błahość tego celu.

– *Good luck!* – pożegnał go wesoło Frank.

Znalazszy się na ulicy, Gustaw energicznym krokiem ruszył w kierunku wskazanego przez gospodarza przystanku autobusowego. Droga, z której odnalezieniem nie miał na szczęście trudności, upłynęła mu na przewidywaniu wszelkich możliwych raf, na jakie może się nadziać, korzystając z usługi komunikacji miejskiej bez ważnego biletu.

Do okazania tegoż lub do jego nabycia, po pierwsze, może wezwać kierowca – już przy samym wsiadaniu. Po drugie, jeśli to nie nastąpi, któryś z pasażerów (z pewnością wyznawców kalwinizmu), widząc, iż Gustaw nie kwapi się do kasowania (jeśli, rzecz jasna, taka jest tu praktyka), może go upomnieć. Po trzecie wreszcie, jeśli by i do tego szczęśliwie nie doszło, mogą gdzieś wsiąść kanary i zarządzić kontrolę.

Na wszystkie te przykre zasadzki przygotował sobie jedną i tę samą ripostę: wezwany do nabycia lub okazania biletu, bez słowa i jakby w tym nie było nic nadzwyczajnego, wyciąga natychmiast przygotowane zawczasu dziesięć dolarów i podaje banknot w geście stanowczej, nigdy niezachwianej woli uregulowania należności. Kiedy zaś zieleń amerykańskiego środka płatniczego wzbudzi już na twarzy poborcy albo kontrolera ławą do przewidzenia konsternację (jakże odmienną, *nota bene*, od tej, którą wzbudziłaby u takich samych urzędników w rodzinnych stronach Gustawa), wyjaśni z dozą zniecierpliwienia w głosie, iż jest cudzoziemcem i nigdzie nie mógł znaleźć kantoru wymiany. *Sorry, but I couldn't find any exchange here* – powie z typowo amerykańską irytacją.

Po czymś takim nie mają prawa obciążyć go mandatem. Zresztą, czym miałby go uiścić? Znowu dolarami? W najgorszym razie będzie musiał opuścić autobus. Lecz takie rozstrzygnięcie byłoby z ich strony doprawdy małostkowe.

Wkrótce okazało się, że wszystkie jego obawy i obmyślony kontratak były jeśli nie płonne zupełnie, to na pewno mocno przesadne. Biletami nikt się nie interesował, ani kierowca, ani pasażerowie, a duch kalwińskiej uczciwości, jaki się wszędzie unosił, zdawał się zgoła podważać samo istnienie funkcji kontrolera.

O wiele mniej pomyślnie wypadł cel wyprawy, czyli rekonesans. Owszem, jak poprzedniego dnia, było spokojnie i pusto, lecz – niedostatecznie pusto, niedostatecznie spokojnie. Zamierzona przez Gustawa kontemplacja,

zaplanowane przezeń misterium wymagały absolutnej samotności; zaludnienie musiało być zredukowane do poziomu zera; pożądana była wreszcie pewność, iż stan taki, przynajmniej przez pół godziny, nie ulegnie zmianie, pewność, która zwalniałaby z jakże uciążliwego nakazu zachowywania nieustannej czujności i zezwalałaby tym samym na pełną koncentrację, podnosząc z kolei w znacznym stopniu wydajność.

Tymczasem ów rajski, iście nieziemski spokój bez przerwy coś zakłócało. A to jakiś wędrowiec zapatrzony natrętnie w toń jeziora, a to para zakochanych przechadzająca się tam i z powrotem nadbrzeżną aleją, a to – rzecz drażniąca najbardziej – stadko dzieci brodzących w płytkiej wodzie i schylających się co chwila z bezwstydną wesołością. Co prawda, po krótkim czasie, upominane przez rodziców albo przez opiekunów, wyrzucały z powrotem swoje znaleziska, ale czyniły to w sposób po prostu karygodny, a w każdym razie uwłaczający powadze tego miejsca: ciskały nimi garścią, jak mogły najdalej – jakby rywalizując ze sobą, kto najdalej rzuci, jakby chcąc skazać je na wiekui-stą zaturę.

Niesforne bachory! To tak ich tutaj uczą na niedzielnych szkółkach? Więc to ma być ów słynny duch gospodarności, utylizyzmu, antymarnotrawstwa, wręcz wyrachowania? Ładne rzeczy, zaiste! Takie utracjuszostwo!

Wszystko więc było jasne. Dzień nie wchodził w grę. Pozostawał wieczór, i to raczej późny, a może nawet i noc.

Gustaw, nieco przygaszony, ale nie w depresji, powlókł się z powrotem na przystanek autobusowy i tam, spostrzegłszy tabliczkę z rozkładem jazdy, dokładnie się z nim zapoznał. Ostatni autobus odchodził stamtąd o dwudziestej drugiej.

A zatem wybór był taki: albo przyjechać wcześniej, gdzieś około ósmej, aby po dwóch godzinach, które powinny wystarczyć, powrócić ostatnim kursem; albo przyjechać później, właśnie około dziesiątej, a wrócić już kiedykolwiek, ale – na własnych nogach.

Po krótkim namyśle doszedł do wniosku, że druga możliwość, choć bez porównania bardziej uciążliwa, zapewnia jednak przedsięwzięciu większe powodzenie.

– Nawet gdyby jacyś marzyciele kręcili się tu jeszcze o tej porze – mówił do siebie półgłosem – to jednak, na miłość Boską, nikt chyba nie będzie spędzał tu czasu po północy. Tymczasem mnie się nie śpieszy. Mnie przecież... nikt nie woła.

I – żeby sprawdzić, ile czasu mu zajmie powrót do domu pieszo – ruszył wolnym krokiem trasą autobusu 72.

Trud forsownego marszu umiłał sobie myślami, jak to, być może już naza-
jutrz nocą, będzie szedł właśnie tędy, z lekkim sercem, niby niesiony na skrzy-
dłach, mimo ciężącej torby i wypchanych kieszeni. Wyobrażał sobie, jakież to
przyjemne niespodzianki mogą go spotkać, ileż miłych zaskoczeń i odkryć
może mu się przydarzyć.

Z biegiem czasu jednak i z narastającym zmęczeniem błękit radosnych
fantazji jęły zasnuwać kłębiastodeszczowe chmury prozy życia. Jak wytłuma-
czy się Frankowi z tak późnego powrotu? A raczej, jak go o nim uprzedzi – jeśli
w ogóle chce nocować w domu, a nie na ławce? Czym uzasadni potrzebę klu-
cza? Gdzie później ukryje skarb? Lecz przede wszystkim... przede wszystkim,
czym będzie rozpraszał ciemności? Skąd, krótko mówiąc, weźmie niezbędną
latarkę?

Mimo stanu skrajnego wyczerpania, w jakim się znajdował, dotarłszy do
centrum miasta po trzech godzinach marszu, udał się na poszukiwanie kina,
w którym dawano by nocne seanse. Po kolejnej godzinie włączęgi znalazł
takie, ale, niestety, tylko z filmami pornograficznymi. „Niestety”, albowiem,
mimo wszystko, nie umiałyby się objawić Frankowi jako amator tego rodzaju
wrażeń.

Wreszcie, gdy zdawało mu się, iż za chwilę już padnie, uśmiechnęło się
do niego szczęście. W jakiejś małej, bocznej uliczce trafił na niepozorne
studyjne kino, w którym późnymi wieczorami puszczano stary klasyczny
repertuar, aktualnie – filmy Bergmana. To było dokładnie to, o co mu chodziło.
Następnego dnia o dwudziestej drugiej – zapowiedziana była *Siądma pieczęć*.
Upewniwszy się, że nie nastąpią żadne zmiany w programie, zapisał dokładnie
adres i nazwę kina, po czym, śmiertelnie znużony, przysiadł na pobliskiej ław-
ce i zasnął natychmiast głębokim snem kloszarda.

Pokrzepiony nieco na ciele i duchu, powrócił do domu dopiero nad
wieczorem.

– *Where have you been so long?* – przywitał go radośnie Frank.

– *Oh, it is very long story* – wymamrotał Gustaw. – Obszedłem całe miasto
and I am most impressed but also very tired. Więc błagam, daj mi święty spo-
kój – dorzucił już po polsku.

– *Oh, I can imagine, I can imagine* – Frank pokiwał ze zrozumieniem głową.
– *Go to bed and relax*.

Gustaw poszedł do swojego pokoju, położył się na łóżku, lecz rozogniona świadomość nie dawała mu spokoju. Obecnie na czoło wysunęła się sprawa latarki. Skąd ją wytrzasnąć? Przecież nie będzie kupował. A Franka nie może nawet o to zapytać – bo do czego niby miałyby mu być potrzebna?

W pewnym momencie wpadł na pomysł, że następnego dnia rano, kiedy Frank wyjdzie na zakupy, przewącha szybko całe mieszkanie i – a nuż natrafi gdzieś na pożądany sprzęt. – No dobrze – odezwał się w nim jednak natychmiast głos sceptyka – a jeśli nie znajdzie? Co wtedy?

I w teje właśnie chwili doznał zarazem olśnienia.

Zerwał się na nogi, opanował jednak podniecenie i spokojnie już uchylwszy drzwi, zaszedł do salonu, w którym Frank siedział na fotelu zatopiony w lekturze.

– *Sorry, but do you have a candle by any chance?* – zapytał cicho.

– *A candle?!* – zdziwił się Frank.

– *Yes, candle* – potwierdził Gustaw. – Może wyda ci się to nieco dziecinne albo pretensjonalne, ale po tych wszystkich przeżyciach chciałbym trochę posiedzieć przy świecy. Czuję, że dobrze mi to robi. W Polsce bardzo często to robię, a co dopiero tutaj.

– *Sure. No problem* – uśmiechnął się pełną gębą Frank, po czym udał się do kuchni i przyniósł stamtąd całą paczkę czerwonych dekoracyjnych świec. Następnie sięgnął po stojący na półeczce ozdobny lichtarz i wręczył to wszystko gościowi.

– *Many thanks* – powiedział Gustaw z dozą lirycznej powagi w głosie.

– *I am really obliged.* – I wrócił do pokoju, zostawiając uchylone drzwi.

Wstawił dwie świece do lichtarza, zapalił je, zgasił lampę i usiadł przy biurku. Po chwili zaś, półgłosem, lecz na tyle wyraźnie, by doszło to uszu Franka, zaczął mówić uwydatniając rytm:

Gdy tu mój trup w pośrodku was zasiada,

W oczy zagląda wam i głośno gada,

Dusza w ten czas daleka, ach, daleka,

Błąka się i narzeka, ach, narzeka.

I powtarzał słowa wiersza tak długo, aż usłyszał, że Frank wychynął z salonu i zastygł w przedpokoju w pozie pełnej napięcia.

Następnego dnia obudził się w południe. Frank dawno już był na nogach.

– Słyszałem, jak dziwnie coś wczoraj do siebie mówiłeś – zagadnął Gustawa życzliwie. – *What was it?*

– *Eh, nothing important* – odparł Gustaw tonem neurastenika. – *Nothing important*. Układałem wiersz. To jednak niesamowite miejsce ta Lozanna. Po jednym dniu pobytu tutaj spływa na człowieka natchnienie. Jeszcze raz dziękuję za świece.

– *Doesn't matter, doesn't matter* – bagatelizował swoją pomoc Frank, przymykając oczy i rozkładając ręce. – *It's my plesure*. A nawet, powiedziałbym, *honour*. Polski poeta w moim domu pisze swój nowy wiersz! A jakie d z i s i a j masz plany? – zmienił nagle temat.

– Wiesz – ożywił się Gustaw – łażąc wczoraj po mieście, natrafiłem na kino, gdzie grają stare filmy Bergmana. Dzisiaj jest *Siódma pieczęć*. Widziałem to raz, lecz muszę zobaczyć znowu.

– *Siódma pieczęć?!* – wykrzyknął z niedowierzaniem Frank. – *Seventh seal?*

– *Yes, „Seventh seal”,* co w tym takiego dziwnego?

– Od lat poluję na ten film. Gdzie to grają?

Gustaw poczuł nieprzyjemny skurcz w sercu.

– Ale to nocny seans! – Próbował desperacko zniechęcić Franka nieprzemyślany zupełnie argumentem.

– *So what?* – wzruszył ramionami Frank. – *So much the better!* Idziemy razem, *my friend*.

Gustaw poczuł, że robi mu się słabo.

– *Excuse me* – powiedział, wstając i jak skazaniec powlókł się do łazienki.

Usiadł na sedesie, a w głowie kotłowały mu się myśli jak wściekle szczury w klatce.

Niespodziewana wola Franka pójścia na film Bergmana doszczętnie niweczyła misternie zbudowany plan nocnej eskapady. A na dobitkę jeszcze przysparzała całkiem nowych kłopotów: w jaki sposób chciał kupić bilet, nie mając lokalnej waluty? Oczywiście, w tej sytuacji Frank pewnie postawi kino, lecz jeśli tego nie zrobi? Lecz przede wszystkim, co dalej, co dalej? Sama zwłoka to w końcu nie taki jeszcze dramat. Lecz żeby wyprawić się z misją choćby i już nazajutrz, trzeba mieć znowu pretekst do wyjścia późnym wieczorem.

Po skrupulatnych ablucjach i raczej wczesnym obiedzie aniżeli śniadaniu, swobodnym tonem doświadczonego globtrotera zwrócił się do Franka z następującą kwestią:

– Wydałem wczoraj wszystkie franki, muszę zmienić dolary, gdzie jest najbliższy bank?

– *How much do you need?* – odwrócił pytanie Frank, sięgając do kieszeni.

W Gustawie zaiskrzył poważny dylemat. Wszak była to wprost wymarzona sytuacja, aby pobrać za chwilę pierwsze nieoficjalne kieszonkowe. Z drugiej jednak strony, wyasygnowana kwota mogłaby się okazać pożyczką. Wreszcie, jeśli przyjąłby teraz pieniądze, raczej musiałby już iść z Frankiem do kina, a przecież właśnie tego trzeba było za wszelką cenę uniknąć.

– *Just for bus* – odpowiedział po chwili wahania Gustaw, po czym zorientowawszy się, iż replika ta jest w pewnym stopniu dwuznaczna, dorzucił z figlarnym uśmiechem: – *For the moment, of course, for the moment.*

Frank wyjął z kieszeni jakiś bajecznie kolorowy banknot i podał go Gustawowi, który z dreszczem emocji spostrzegł na nim liczbę 20.

– *Buy a seasanticket* – powiedział Frank – *it's much cheaper.*

– *So I am going to do* – odparł Gustaw tonem obieżyświata. – *Thanks! And see you!* – I już zbiegał po schodach.

Dobry nastrój, który uległ tak gwałtownemu załamaniu pod wpływem kaprysu ujawnionej niespodziewanie przez Franka kinomanii, znów zagościł w duszy Gustawa. Sztynny, sprężysty papierek o nominale 20 rozprasał narbrzmiałe troski, a nawet zdawał się pocieszająco szeleścić: „przestań się trapić, wszystko będzie dobrze”.

Gustaw, rzeczywiście, zgodnie z zadeklarowanym celem, zaszedł najpierw do banku – po to jednakże tylko, by sprawdzić kursy walut. Z satysfakcją przekonał się tam, iż dwadzieścia franków szwajcarskich, które tak nieoczekiwanie wpadło mu w rękę, stanowi równowartość blisko dwunastu dolarów, a zatem że jego majątek powiększył się o ponad jedną trzecią.

Następnie wstąpił do *tabacu*, by tam z kolei zapoznać się z cenami biletów autobusowych, zwłaszcza polecanych przez Franka *season-tickets*. Tym razem spotkało go rozczarowanie. *Season-ticket* kosztował aż osiemnaście franków. A zatem kupując go, straciłby natychmiast prawie całą sumę, a wraz z nią, bez wątpienia, dobre samopoczucie, bo *season-ticket* nie miałby najmniejszych szans, aby mu je zapewnić. Tymczasem pojedynczy bilet na autobus kosztował zaledwie dwa franki. Nie nabył jednak nawet i tego, nie widząc dostatecznej racji, by już w tym momencie rozstawać się z banknotem, który miał nań tak dobroczynny wpływ, i dostać w zamian resztę w postaci słusznej wprawdzie porcji, lecz jakże niepoważnego bilonu.

Wiedział nareszcie, co chciał, i odświeżony na duchu, ruszył wolnym krokiem przed siebie, zapaliwszy uprzednio ekstra mocnego, którego wydobył z mocno zgniecionej już paczki.

Przyjemna, ciepła, wrześnieowa pogoda. Bezchmurne, błękitne niebo. Żółty blask nieprążącego słońca. Czy może być coś przyjemniejszego? Czy potrzeba jeszcze czegoś do szczęścia? Owszem, potrzeba. I to nie jednej rzeczy. Lecz przede wszystkim – piwa. Zimnego, pieniącego się piwa w kuflu lub w cienkim szkle omszałym od rosy.

Takiż właśnie puchar ze złocistym napojem zamówił Gustaw w ocienionym ogródku lokalu o romantycznej nazwie „Sous les chênes”. A gdy go wkrótce podano i upił pierwszy łyk, którego rozkoszna goryczka namaściła mu podniebienie i gardło, oddał się różnorodnym rozmyślaniom.

Zaczął od Emilki, zastanawiając się, co też tam robi na tych swoich kursach doskonalenia zawodowego, zwłaszcza wieczorami i nocą, ale szybko porzucił ten wątek, przecinając go zjadliwym szyderstwem. Następnie przeszedł do planowanej eskapady i po raz kolejny powtórzył sobie w wyobraźni czekające go zadania i związane z nimi trudności i niebezpieczeństwa. Wreszcie skoncentrował się na kwestii aktualnie najbardziej palącej, a mianowicie, jak się wymigać od wieczornego kina.

Po paru godzinach wpadł wreszcie na pomysł. Kosztowało go to, co prawda, pięć piw, czego jednak pod żadnym względem nie żałował.

– Ale historia! – krzyknął już w progu do Franka. – Wyobraź sobie, kogo dzisiaj spotkałem: przyjaciela ze studiów, który wyemigrował z Polski i teraz tu mieszka. Niesamowity zbieg okoliczności! Tak się, pocziwina, wzruszył, że w ogóle nie chciał mnie puścić, dopóki nie wymógł na mnie przyrzeczenia, że dziś wieczór przyjdę do niego na kolację. Tak więc, wybacż, proszę, że nie będę ci jednak towarzyszył wieczorem w kinie. Ale sam chyba rozumiesz... Bergman może poczekać.

– *Mais oui, mais oui* – uśmiechnął się wyrozumiale Frank, przechodząc nie spodziewanie na francuski. – A gdzie on mieszka? Może cię podrzucić?

– *Mais non, ce n'est pas nécessaire* – Gustaw z łatwością dostosował się do nowych wymogów językowych i lekko pokonał tę wyrosłą jak spod ziemi przeszkodę – umówiliśmy się w takiej jednej restauracji... – udał, że przypomina sobie jej nazwę – „Sous les chênes”.

– *Ah oui, „Sous les chênes”* – powiedział Frank tonem konesera. – *C'est joli. Et très très bon pour manger.*

– Aha, tylko jeszcze jedno... – Gustaw zatrzymał się w drzwiach swojego pokoju, mistrzowsko odgrywając scenę nagłego przypomnienia sobie ważnej

rzeczy, o której był zapomniał wskutek roztargnienia – czy mógłbyś wydzielić mi klucze? Mogę wrócić pod twoją nieobecność albo... – dokończył z szelmowskim uśmiechem – kiedy będziesz już spał.

– *Mais bien sûr. Tiens.* – Frank wręczył mu eleganckie etui z kluczami i udzielił stosownej instrukcji.

A zatem miał wszystko, co było mu potrzebne. Wychodne. Idealne alibi na późny powrót do domu. Klucze. Świeczki. Oraz... pozostałe z piwnej libacji w ogródku „*Sous les chênes*” ostatnie dwa franki, które solennie poprzysiągł sobie wydać na bilet autobusowy.

Leżał na tapczanie z zamkniętymi oczami i próbował opanować ogarniające go podniecenie. „Muszę wypocząć, nabrać sił”, mówił do siebie w myślach. „Czeka mnie ciężki wieczór, a może i cała noc. Musisz wypocząć, Gustawie”. I żeby się odprężyć, ostudzić gorącą głowę, zaczął półgłosem powtarzać ceniony przezeń wysoko dwuwiersz wielkiego poety:

Gdybyś szedł nocą ciemną i oczy zamrużył,
Znajdziesz skarb, któryś rano czuwając wysłużył.

Wreszcie godzina wybiła.

Punktualnie o ósmej, w luźnych spodniach z szerokimi nogawkami, z pięcioma świecami i małym ręcznikiem w torbie, z kluczami i dwoma frankami na bilet autobusowy w kieszeni, Gustaw opuścił mieszkanie Franka i ruszył krokiem wschodnioeuropejskiego trapera na przystanek.

Na autobus nie czekał długo i już za kwadrans dziewiąta był na miejscu.

Ciemno, cicho, żywego ducha. Nareszcie. „Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą...” i dwa widoczne księżyce. Tak, tak, zupełnie jak tam... w Nowogródzkiej stronie.

Gustaw zbliżył się do brzegu jeziora. Ale nie patrzył w dół, pod nogi, nie sprawdzał nawet, czy coś widać, czy nie. Ogarnął go nagle jakiś dziwny niepokój, zupełnie inny niż emocja, której jeszcze przed chwilą doznawał, jadąc autobusem. Był to może zresztą nie tyle niepokój, co swoisty paraliż. Stał, patrzył przed siebie i nie wiedział, co robić dalej. Zzuł buty, zdjęć skarpetki i podwinął nogawki? Zapalić jedną ze świec i zstąpić w lodowatą zapewne wodę? Nie, było to nie do pomyślenia. Nie żeby się czegoś obawiał – na przykład, że postawi fałszywy krok i wpadnie w ciemne odmęty albo że jednak ktoś jest w pobliżu i ujrzy go w świetle księżycy – nie-nie, nic z tych rzeczy. Po prostu nie mógł się przemóc, by energicznie zabrać się do dzieła.

Ludzi, istotnie, nie ma, myślał ospale, jakby flegmatycznie, to raczej nie ulega wątpliwości. Ale skoro tyłu Największych narkotycznie tu ciągnęło i skoro okazywało się, niemal za każdym razem, że jednak coś w tym było, bo odjeżdżali stąd odmienieni, oświeceni, a nieraz wręcz porażeni oślepiającym blaskiem poznania, to może i działa tu jaka Nieczysta albo Nadprzyrodzona Siła, może spogląda tu, nie wiadomo skąd, Oko Opatrzności?... Duch Dziejów?... Genijusz Ziemi? A skoro spogląda, to i przypatruje się, co też Wybraniec Losu albo Nieustraszony Śmiałek, który tu przybył, robi. Ba, żeby tylko – patrzy! Przewierca czaszkę i w głąb duszy zagląda! I w myślach czyta. I ocenia to wszystko. I zastanawia się: „Warto delikwenta oświecić, czy nie warto? Dać mu wgląd w istotę rzeczy, czy raczej zuchwalca oślepić? Natchnąć go, czy nie natchnąć? Obdarować, czy puścić z torbami?”.

A Pielgrzym, Wybraniec, Śmiałek natęży wtedy, jak może, wszystkie duchowe siły i pokazuje, co ma najlepszego. Cały repertuar swoich możliwości i najdonioślejszych osiągnięć. Mówi „geometryczną łaciną”, improwizuje, cytuje najdoskonalsze strofy, jakie udało mu się do tej pory złożyć. Wprawia się w stan mistyczny i otwiera na przyjęcie boskiego promienia. I jeśli się okazuje, że we wnętrzu tak odkrytej duszy gnieździ się jaka nieczystość, nieprawda albo szalbierskie kuglarstwo, a nie prawdziwy geniusz czy przynajmniej kunszt wielki, wtedy Egzaminujące Oko sroży się, piorunuje i oddala oszusta z kwitkiem, a czasem nawet, gdy je szczególnie rozsierzdzi, karze go dotkliwie – dożywotnim niedowładem umysłowym.

Cóż jednak ja?, myślał dalej Gustaw. Czy ja przyszedłem tu, aby się z kimś wadzić? Aby wyzywać Los? Czy powoduje mną pycha? Dumne poczucie własnej wyjątkowej wartości? Czy pragnę olśnienia, nadprzyrodzonej wiedzy, wtajemniczenia w istotę Bytu? Wolne żarty. Jam tu przyszedł... za chlebem, po marne parę groszy, utopione kapryśnie przez możnych tego świata. Kierował mną zgrzebny duch użyteczności, troska o kiesę gościnnego Franka, wola zaoszczędzenia mu dodatkowych wydatków.

Panie! czémże ja jestem przed Twojém obliczem? –
Prochem i niczem!

Tak, jam robak, maluczki, marny zjadacz chleba! Ja w prochu pokory się tarzam. Gdzieżbym tam śmiał zabiegać o orli lot duszy! Jam w upadku, w grząskim bagnie materializmu dialektycznego, w które wtrącił mnie bezbożny a szalbierski reżim komunistyczny. Jam grzesznik, człowiek zdegradowany, *homo sovieticus*, pożałowania godny płaz.

Lecz czy nie jest powiedziane: „Podtrzymuje Pan wszystkich, którzy upadają, i prostuje wszystkich, co się gną ku ziemi”?

I czy nie powiedziane jest: „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest królestwo niebieskie”?

I czy nie powiedziane jest: „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą”?

A zatem jeśli jesteś i jeżeli mnie widzisz – Gustaw zaczął nagle z wielkim ożywieniem zdejmować buty i skarpetki, patrz na moją nędzę, na moją sromotę. Patrz, jak nisko upadam, do czego się zniżam i... – przeszedł do podwijania nogawek – „jeśli ku zrodzonemu masz miłość ojcowską”, powstrzymaj mnie, zahamuj, nie daj dna dosięgnąć! Niech Twój Anioł mnie wstrzyma jako Abrahama!

I wyciągnął z torby dwie czerwone świece, i zapalił je jedna po drugiej, i podniósł je wolno (by nie zgasty) w górę, i w ślad za nimi zadarł twarz ku niebu.

W tej dramatycznej pozie, w bezruchu i milczeniu, stał przez dłuższą chwilę.

– Ha, milczysz! – powiedział wreszcie z goryczą i opuścił głowę. – Przeto niech się stanie!

I zstąpił bosą nogą w otchłań wód Lemanu, i zgiął plecy zwyczajem zbieraczy bursztynu, i jął się schylać raz po raz.

I żadna Mocarna Ręka nie powstrzymała go, żaden Anioł nie sfrunął i nie zdmuchnął mu świcy, i żaden Pan Zastępów nie wyprostował zgiętego.

I pracował w chłodzie i znoju, aż wybierał wszystko, co był w stanie zobaczyć.

Wyszedł na brzeg z przenikliwym bólem w łydkach skostniałych od zimnej wody. Ale był szczęśliwy. Misja powiodła się. Natarł nogi ręcznikiem wydobytym z torby i spojrzął na zegarek. Dochodziła zaledwie dziesiąta. A więc, jeżeli się pośpieszy, zdąży jeszcze na ostatni autobus.

I tak się też stało. Pan wynagrodził mu trud, i samozaparcie, i upór. Powrócił autobusem.

Franka w domu nie było. W małym studyjnym kinie oglądał z pewnością *Siódmą pieczęć*. A zatem Gustaw od razu mógł się oddać wymarzonej czynności porządkowania zbioru. Tak też uczynił. Pokrzepiwszy się szklaneczką brandy, która stała w kuchni, i gorącą herbatą, w błogim spokoju i z miłym nareszcie podnieceniem przystąpił do segregacji i obliczeń.

Owoce połowu przeszły jego najśmielsze marzenia. Wynik wyrażał się w następujących liczbach:

27.40 franków szwajcarskich

13.70 franków francuskich

21.15 marek zachodnioniemieckich

3 i pół funta brytyjskiego

5.60 dolarów amerykańskich

Ponadto jeszcze pokaźna garść lirów, szylingów i guldenów holenderskich oraz cała masa mniej znanego lub zgoła nigdy niewidzianego przez Gustawa grosiwa. Pojedyncze sztuki z Dalekiego i Bliskiego Wschodu. Serie z Ameryki Środkowej i Południowej. Nawet kilka okazów z Czarnego Lądu – z Wybrzeża Kości Słoniowej i Kenii.

Tak, wszystko to było niebywałe. Tak obfitego kieszonkowego nie brał pod uwagę.

Pogrupowane według pochodzenia monety powrzucał do osobnych torebek plastikowych, które umieścił następnie w swojej walizce między ubraniami. Nie uczynił tego jedynie z frankami szwajcarskimi – chowając je do kieszeni spodni.

I wkrótce po północy, zanim jeszcze Frank wrócił z kina, udał się na zasłużony spoczynek.

Nie spał jednak spokojnie. Wyczerpanie fizyczne i nerwowe dało o sobie znać w postaci męczącego snu.

Najpierw śniło mu się, że rewidują go na granicy i znajdują wszystkie torebki. Następuje oczywiście całkowita konfiskata, ale celnicy, jakby było im tego mało, wzywają jeszcze do pomocy ponurych esbeków, którzy biorą złapanego w obroty:

– Skąd to masz? – pytają, świdrując go wzrokiem. – Kto ci to dał? Czym się wysługiwałeś Wolnej Europie i obcym służbom specjalnym? Od kiedy pracujesz dla CIA? Gadaj, i tak wszystko wiemy! Zdradziłeś ojczyznę, Judaszu! O, pamiętasz to sobie!

– Nie zdradziłem, przysięgam! – zaklina się Gustaw. – Jestem poetą. Wracam ze stypendium twórczego. To są resztki kieszonkowego, jakie mi pozostały.

– Resztki kieszonkowego! – sztydzą z niego esbecy. – Taki majątek! W tak różnej walucie! Stypendium twórcze! Poeta!... To może nam powiesz, ptaszku, jakim to wierszem wyśpiewywałeś tajemnice państwowe? Strofą alcejską?

Soficką? Czy może heksametrem?... Od kiedy to zwykły agent poetą się nazywa?... Gadaj zaraz, jakże Polskę sprzedawał! Przyznaj się, byłeś z Kuklińskim w zмовie?

– Z jakim Kuklińskim? Panowie! O czym wy mówicie? – Broni się rozpaczliwie Gustaw.

– On nic nie wie! – drwią dalej prześladowcy, którzy niepostrzeżenie zmienili współczesne ubrania cywilne na długie skórzane płaszcze oficerów Czeka z lat trzydziestych. – On nie wie, o czym my mówimy! *Tak nada jemu napomnit'! Nu, rebiata, dawajcie!*

I biorą go pod skórzane buty z cholewami.

Ledwo rozwiła się ta koszmarna scena, a senna wyobraźnia już podsunęła następną, równie przerażającą.

Tym razem Gustaw jest w domu. W swoim mieszkaniu w Krakowie. Wczesna godzina rano. Nagle dzwonek do drzwi. Otwiera. Stoi pięciu. Pokazują płaskie legitymacje.

– My z brygady antyspekulacyjnej – powiada dowodzący. – Otrzymaliśmy doniesienie, że prowadzicie na dużą skalę nielegalny handel obcą walutą. Oto nakaz rewizji.

– Panowie – znów bronii się Gustaw – to jakieś nieporozumienie... pomyłka... nie handluję żadną walutą... ja pracuję na uniwersytecie.

– To się zaraz okaże. – Wkraczają całą ekipą do środka i nieomylnie kierują się do walizki leżącej pod łóżkiem. Otwierają ją i wydostają stamtąd woreczek po woreczku, pokazując wymownie każdy Gustawowi.

– Czegoś takiego jeszcze nie widziałem – mówi dowódca grupy – a Bóg mi świadkiem, że nie od wczoraj służę w organach. Oj, posiedzisz ty, bratku, posiedzisz! Aż mi cię żal, biedaku!

I już po chwili, bez śledztwa ani sądu, kibitka zaprzężona w cztery kare konie uwozi Gustawa śnieżnym stepem na Sybir.

Ale najgorsza była trzecia część snu. Przedziwna i najbardziej makabryczna.

Gustaw jest nagle aktorem. Gra główną rolę – Konrada – w słynnym przedstawieniu *Dziadów* w reżyserii Swinarskiego, w Starym Teatrze w Krakowie. Trwa spektakl. Jest już po Wielkiej Improwizacji, którą nagrodzono rześzystymi brawami, i Gustaw siedzi w swojej garderobie, przygotowując się do finału. Ze sceny słyszy głos Wiktora Sadeckiego mówiącego „Sen Senatora”.

Wtem wchodzi do garderoby podniecony Konrad Swinarski.

– Panie Gustawie, panie Gustawie! – szepcze nerwowo już w progu.
– Mam genialny pomysł! Przed chwilą przyszło mi to do głowy, gdy mówił pan Improwizację. Zobacz pan, rzucimy wszystkich na kolana.

– Ale jak, panie Konradzie? Niech pan powie.

– Panie Gustawie – na to Swinarski – ten cały Konrad to kanalia, to łobuz, to zwykły oszust. I to właśnie trzeba pokazać! Rozumie pan? Trzeba pokazać nędzną podszewkę jego duszy. Panie Gustawie, nie bójmy się tak daleko idącej ironii. To będzie t ó r c z e obrazoburstwo! Tak jak skompromitowałem już tamtego błazna w *Wyzwoleniu*, tak teraz skompromituję tego kabotyńca!

– Panie Konradzie – Gustaw na to przyciszonym głosem spiskowca – ale co mam zrobić? Co pan proponuje? Przecież ja już niewiele mam do grania.

– Otóż to! – na to sławny reżyser. – Niech się pan natychmiast przebiera w kostium Doktora. Wystąpi pan zaraz w „Salonie”.

– Ja, Gustaw... to znaczy, chciałem powiedzieć: Konrad... ja mam zagrać Doktora?

– Tak, tak, właśnie tak! Doktór to pana... znaczy, chciałem powiedzieć: Konrada, druga natura. Niech pan tylko pomyśli, jakie to zrobi wrażenie: aktor grający Konrada ukazuje się nagle w roli Doktora. Czuje pan niesamowite konsekwencje tego śmiałego posunięcia? To wstrząśnie całą Polską! – I nagle z podręcznego koszyka na rekwizyty zaczyna wyjmować woreczki z monetami. I wkładając je Gustawowi w kieszeń peleryny, mówi: – Niech pan to koniecznie wyeksponuje! Niech pan to ogra, jak tylko pan potrafi! Żeby to brzęczało i żeby było widać, że to nie żadne ruble, tylko dolary, marki i franki! Bo to jest współczesny symbol judaszowych srebrników!

I tego Gustaw już nie wytrzyma. Jak w filmie grozy, wybałusza oczy, rozdziawia usta, a z jego gardła wydobywa się przeciągłe „A-a-a!”. Po czym cofnąwszy się wolno, w przerażeniu, kilka kroków, odwraca się nagle i w panice, znów krzycząc przeraźliwie, wybiega z teatru wyjściem dla aktorów.

A na ulicy deszcz. Burza z piorunami. I Gustaw biegnąc na oślep, sięga do kieszeni, by pozbyć się zdradzieckich moniaków, wyrzucić gdzieś czym prędzej przekłety woreczek i wtedy trafia go piorun.

I leżąc na chodniku, spostrzega ze zgrozą kikut swej prawej ręki, u którego końca rozlało się niewielką kałużą roztopione srebro, a ze sceny – jakimś cudem, możliwym tylko we śnie – słyszy krzyk Senatora:

Doktor zabity – ah! ah! ah! c'est inconvenable!

A po chwili pochyla się nad nim twarz Konrada Swinarskiego, który przypatruje mu się badawczo (właśnie jak lekarz) i z zagadkowym uśmiechem.

Obudził się zlany potem, nękany dodatkowo niepewnością, czy krzyczał tylko we śnie, czy jednak również przez sen, i czy Frank tego nie słyszał. Wszystkie ostatnie przeżycia wydały mu się nagle całkiem nieprawdopodobne, do tego stopnia, że zaczął istotnie powątpiewać w ich realność. I żeby jednak ostatecznie przeciąć tę niejasność, zapalił światło, otworzył walizkę i zajął między ubrania.

Plastikowe woreczki z różnokształtnymi pieniżkami leżały spokojnie, tak jak był je ułożył.

– A niech to szlag! – szepnęła, dziwiąc się zarazem własnej reakcji, bo przecież fakt, iż zobaczył owoce swych zbiorów na miejscu, winien go raczej cieszyć, niż martwić. „Rano trzeba iść zaraz do banku i zamienić to wszystko na franki”, dorzucił w myślach rzeczowo, jakby przed samym sobą chciał zatuzosować objawy, iż najwyraźniej uległ chwilowej psychozie, i odprężony powrócić do łóżka.

Tym razem spał już spokojnie, a rano wstał pogodny i rześki.

Przy śniadaniu gawędził swobodnie z Frankiem, opowiadając mu zmyślone na poczekaniu historie związane z kolegą ze studiów, którego poprzedniego dnia rzekomo odwiedził, i ze zrozumieniem wysłuchując głębokich uwag gospodarza na temat obejrzanej właśnie przezeń *Siódmej pieczęci* Bergmana. Następnie ubrał się i z wyładowaną torbą wyruszył do miasta.

Tuż przed bankiem opadły go wątpliwości, czy wymieniać od razu wszystko. Nie dlatego, żeby mu było żal tych czy innych monet, lecz z tego wyłącznie względu, czy taka ilość tak różnorodnej waluty nie wyda się podejrzana. Postanowił więc, niejako tytułem próby, wymienić same dolary i – dla nadania transakcji większej powagi – dołączył do pięciuset sześćdziesięciu centów w bilonie swoje dziesięć „zielonych” w papierze, przywiezione z kraju.

Z przygotowaną w ręku gotówką podszedł do właściwego okienka, położył na marmurowym blacie banknot, po czym ostrożnie, żeby nie narobić hałasu i aby żadna z monet nie potoczyła się (co spowodowałoby denerwujący zamęt i kłopot), wysypał z garści stos bilonu.

Kasjerka, nie spojrzawszy na Gustawa, co było okolicznością pozytywną, ponieważ oznaczało, że traktuje go jak typowego klienta, przesunęła z pietyzmem kupkę bilonu na bok, wzięła banknot i wystukała coś na guzikach elektronicznej maszyny. „Jasne”, pomyślał Gustaw nie bez szczypty złośliwości,

„najpierw czysta robota, a żmudne liczenie na koniec”. Diagnoza ta okazała się jednak zasadniczo mylna. Kasjerka, wydawszy mu po chwili równowartość dziesięciu dolarów we frankach szwajcarskich wraz ze stosownym kwitem, odsunęła od siebie stosik bilonu (Gustaw odniósł wrażenie, iż uczyniła to jakby ze wstrętem) i rzekła:

– *Sorry, but we don't accept coins.*

Gustaw zmieszał się. Odzyskał jednak zaraz utraconą równowagę i zapytał:

– *So where I can change this?* – Ruchem głowy wskazał na leżącą przed nim górkę monet.

Kasjerka zrobiła bezradną minę i rozłożyła ręce.

– *Oh, I don't know. But I am sure: not in any bank here. May be at the main branch in Geneve.*

– *And at the railway station?* – Nie dawał za wygraną Gustaw.

– *Sorry* – uśmiechnęła się z obłudną troską. – *I don't know. But try...*

Wyszedł z banku z uczuciem dławiącej wściekłości. Nie dość, że niczego nie załatwił, nie dość, że utracił nawet nadzieję na pomyślnie załatwienie tej sprawy, to jeszcze – zupełnie bez potrzeby – stracił dziesięć dolarów. Może „stracił” to nie to słowo, otrzymał w końcu równowartość we frankach, lecz przecież wiadomo, jak to jest z lokalnym środkiem płatniczym: rozchodzi się jak woda. Trwała jest tylko waluta obca.

Żeby uspokoić skołatane nerwy i na zimno rozważyć powstałą sytuację, udał się do ogródka „Sous les chènes”. Usiadł przy „swoim” stoliku, a kiedy stwierdził, że kelnerka, która obsługiwała mu poprzedniego dnia, najwyraźniej go poznała, a nawet jakby potraktowała jako stałego gościa, poczuł przypływ energii, i to do tego stopnia, że zamiast piwa zamówił podwójną brandy.

Po trzeciej kolejce przestał nareszcie być spięty. Puściły wreszcie lody nieustannego stresu i uwolniona myśl popłynęła swobodnym, szerokim nurtem.

Gdzie przyjmują bilon zachodniej waluty? Gdzie z pocałowaniem ręki nie tylko go wymienia, ale w zamian zań wydadzą niejedną cenną rzecz? Ależ to proste! W Peweksie! W sklepach Baltony! W kraju! Po cóż więc rwać sobie nerwy, narażać się na upokorzenia, szamocąc się tutaj jak żebrak lub jaki złodziej, skoro w Ojczyźnie tego rodzaju kapitał zapewnia pozycję... pańską? Tak, tak, dać sobie z tym wreszcie spokój! „Kieszonkowe” wyda się po powrocie.

I Gustaw oddał się rozkosznym myślom, planom i obliczeniom. Co kupi za jaką walutę? Ile tego będzie? I na jak długo starczy? Za dolary postanowił nabywać wyłącznie i tradycyjnie „Czystą”. Za funty, naturalnie, whisky. Za marki zachodnioniemieckie – wódki kolorowe: Soplęc, winiak, Jarzębiak, Starowin,

Kasztelańską. Wreszcie za franki francuskie – brandy i koniaki. Z rachunków wychodziło mu, że za to, co się znajduje w plastikowych woreczkach, uzyska łącznie około dwunastu butelek różnego rodzaju trunków. Liczba ta poważnie go rozczarowała. Tyle trudu i nerwów – i nawet na jeden miesiąc nie ma solidnego zabezpieczenia. A przecież każdy, kto wraca ze stypendium, to co najmniej przez pół roku żyje potem jak król. Nie, to nie może tak być!

Z tą myślą, uregulowawszy rachunek, wstał, poszedł na przystanek autobusu 72 i znowu pojechał nad Leman. A kiedy stanął na brzegu, aż go zamurowało. Dno było nieomal puste. Leżało na nim może kilkanaście, najwyżej dwadzieścia monet i to raczej niepozornych. Wrażenie pustki potęgowało rozproszenie, w jakim srebrzyste krążki się znajdowały.

A więc mimo ciemności i lodowatej wody tak efektywnie działał! A więc w niecałą godzinę wybierał prawie wszystko! Ba, lecz ile czasu upłynie, zanim „wodna skarbonka” znowu się napełni?

Rozejrzał się wokół. Było nawet nieco więcej ludzi niż w poprzednie dni o tej porze, lecz nikt nie wrzucał monet, nawet nie kwapił się do tego. Gustaw odszedł na stronę i usiadł na ławce. I patrząc smutnym wzrokiem przed siebie, w dal jeziora, począł mówić swój ulubiony wiersz:

Ach, już w rodzicielskim domu
Byłem złe dziecię,
Choć nie chciałem naprzykrzać się nikomu,
A przecie
Byłem między krewnymi i czeladzi gromadą
Przeszkodą i zawadą.
A choć wszystkich kochałem, ni w dzień, ni w nocy
Nie byłem nikomu ku pociesze ni ku pomocy –

I jakby to była modlitwa, którą nareszcie Pan wysłuchał, albo raczej czarodziejskie zaklęcie zmieniające jak w kalejdoskopie porządek rzeczy, nadjechał naraz autokar i wysypała się z niego gromada amerykańskich turystów.

Podeszli hałaśliwie do jeziora, pokrzykiwali, robili sobie nawzajem zdjęcia. Gustaw nie spuszczał ich z oczu. Niestety, nikomu jakoś nie przychodziło do głowy, by sięgnąć do kieszeni albo do portmonetki. „Co za prostacy!”, pomyślał z niesmakiem Gustaw. „Nie wiedzą nawet, jak się zachować! Nie znają obyczajów, manier, niczego! Ale cóż się dziwić? Dwieście lat kultury to nie dwa tysiące, czy przynajmniej tysiąc. Trzeba im pomóc. Trzeba wychowywać”.

I sięgnawszy do swojej torby, wydobyl z niej woreczek z najbardziej atrakcyjnym pod względem numizmatycznym bilonem, a więc z tą całą zbieraniną

najosobliwszych różności z całego świata, których bez wątpienia nawet w Pe-weksie by nie przyjęto, przesywał jego zawartość do kieszeni spodni i ruszył wolnym krokiem na brzeg, w pobliże Amerykanów.

Stanął i patrzył w zadumie z ręką wsuniętą w kieszeń. A kiedy poczuł, że jest już przez nich widziany, a nawet że niektórzy przypatrują mu się z ciekawością, rzucił... Pięknym, wystylizowanym gestem – jakby rzucał ziarno, jakby zasiewał wzniosłą ideę albo okupywał symbolicznie jakieś spełnione marzenie – posłał złoty pieniążek z Wybrzeża Kości Słoniowej w głąb jeziora.

I rozkrzyczani Amerykanie przycichli naraz na ten widok pełen majestatu i jęli wydobywać z kieszeni i portmonetek drobne, i rzucali je w zadumie, naśladując szlachetny gest Gustawa.

I Gustaw odwrócił się w ich stronę, i przeszedł obok nich, uśmiechając się dobrodusznie i kiwając ze zrozumieniem głową.

„Dobrze czynicie, pochwalam”, mówiły jego oczy, z których nagle polały się łzy.

EWA SONNENBERG

Snajper rzeczywistości

widzi tylko to co ma na celowniku słów
widzi aż tyle by między słowami pozostawiać świetliste myślniki
to w nich przemierza człowieka od stóp do głów
świat staje się pod wpływem jego słów
myśl jest wypożyczona od pobliskiej galaktyki
nic nie umknie jego uwadze
raz po raz celuje w słabe punkty cywilizacji
ogłasza mobilizacje duszy i uważności
ma swoje miejsce w każdym punkcie ziemi
jest mistrzem w przechwytywaniu zakłóceń
odbiera informacje z czterech stron świata
gwiazda północy jest ozdobą na jego ramieniu
ma swój czas który nie dotyczy nikogo
jakby podzielił godziny na my i oni
jakby czas odmierzał naszą fikcję bycia tutaj
jakby czas zmierzał do tej jednej Godziny
nikt nie zna jego imienia ani chwili gdy przybywa
bo będąc nieustannie przybywa z daleka
bo bliskość to jedno z jego zajęć
jego obecność jest nieunikniona
namierza tych którzy zbaczą z drogi
celuje w nich bez emocji z wiedzą ich czynów
odnajduje tych co znikają we mgle
sprowadza w nowych ciałach na ziemię
jest go tak wiele wokół jak gest powitania
ale tylko on otwiera powieki na ucztę światła
jak dom rozproszony na każdym centymetrze ziemi
Snajper rzeczywistości bywa okrutny i uprzejmy
chce tylko dotrzeć do drugiego człowieka
eliminując to co mu przesłania jego istnienie

jego oblicze jest jak płomień
wymienia płonące na lodowate spojrzenie
mam ten płomień w piersiach
jego twarz odwróconą w moją stronę
to bądź jak wszystko co mnie otacza
staje się imieniem miejsc które namierzył
staje się wszystkim co kiedykolwiek się wydarzyło
na pozycji wyjściowej i docelowej
nie ma pomiędzy
jest albo tak lub nie

Univers

Ktoś mówi: „po twojej śmierci będzie spokój”
dopiero gdy umrę otworzy się rana
otwarcie ciała i zamknięcie księgi
niebo dogoni swoich przeciwników
zakwitnie kwiat ognia
dopiero gdy umrę rana uderzy
tak jak teraz uderzają we mnie
rana będzie wyc w dzień i w nocy
zwabi bezdomne wilki i dzikie zwierzęta
jeden udział jeden kiel
nikt nie odnajdzie drogi
splatanie w ból w sercu Ziemi
ból mojej rany nigdy nie zniknie z Ziemi
przeniknie do wnętrza tej planety
planeta jak matka z embrionem bólu
będzie krzykiem straconych pokoleń
drzewa będą szumem mojej płonącej krwi
drogi będą naznaczone otwartą raną moich śladów
mój ból dopiero po mojej śmierci
zacznie obracać się wokół Ziemi
jak jej najgroźniejszy satelita
srebrny glob pochyli głowę przed złotym globem
nadając przerażający sygnał w kosmos

SAMANTHA KITSCH
morze za pożarzyskiem

morze za urwiskiem
może za oberwiskiem?
może za osypiskiem?
może za obsuwiskiem?

może jest wąskie i płytkie?
morze jest szerokie i głębokie

morze wyłowione z morza
może zalane przez morze?

*może wyłowione z morza?
morze zalane przez morze*

*skrajem sypkiego i płynnego miodu
w scukrzałym miodzie brnę boso*

*ciągnąc nad głową niebieską nitkę –
przez igielne ucho przewlekam morze*

może za popieliskiem?
może za spaleniskiem?
może za pogorzeliiskiem?
za pożarzyskiem morze

może jest szerokie i płytkie?
morze jest wąskie i głębokie!

w fryzach krach mgłach
w przerębłach i połyniach

piętrzy się jarzy pęka –
spokojnie oddycha – tonąc

morze zamarza
może wrze?

Nowa zabawka Guillaume'a

Guillaume Apollinaire powiedział, że człowiek, chcąc naśladować chód, wymyślił koło i w ten sposób stworzył surrealizm, sam o tym nie wiedząc. Guillaume Apollinaire zapomniał dodać, że człowiek, chcąc naśladować wspinaczkę i zjazd w dół po linie, wymyślił jojo.

ANNA MATYSIAK

Rozcięta

Właściwie nie wiem
co to jest miłość

otwarta rozcięta
rzucam się na ciebie

żeby przez twoje ciało
przedrzeć się na stronę życia

O największej miłości

tyle jest nie dla mnie
tyle mi za mało
tyle mi nie wolno
tyle mi zostało

Stłumienie

moje pragnienia nie są
wygórowane
raczej chowają się w naturalnych
obniżeniach terenu dużo pod
poziomem morza
czasem gotowe są na zanurzenie
w czarnych stawach
na jednym oddechu
nie wiem jak długim

Miłość w czasach wielkich zderzaczy

Myślisz, że to wiruje świat, a to twoje ręce,
że to wychodzą z ziemi duchy, a to świecą moje oczy.
Pod skórą krzyczą Teutoni, bronią dostępu zanurzonym głębiej
rycerzom Światowida, synom jaskiń.
Pomiędzy światami nieprzepuszczalnych błon,
huczących pieców, cyklonów, rakiet, zakrzywionych neutrin
ufnie spadamy na skażone łąki.
O tym nie da się mówić – tyle razy już to
powiedziano. O tym można oddychać
czerwonym dymem.

STEFAN CHWIN

Korona-dziennik 2020

Środa, godzina 23.43. Dwaj fanatycy. Blondyn i brunet.

S. odpowiada na ważne pytanie

A więc znowu list! I to jaki! Od jakiegoś czasu koresponduję z dwoma fanatykami religijnymi. Emaila, odpowiedzi, znowu emaila... A w emailach Abraham, Izaak, Mojżesz, tablice, potop, Jezus Chrystus, Nazaret, Galilea... Ciekawe doświadczenie. Obaj – jak dotychczas – są fanatykami religijnymi łagodnymi, ciepłymi, pogodnymi, a nawet uśmiechniętymi. Po prostu cud-miód, diamenty, ornamenty. Ale czy fanatyk religijny może być naprawdę łagodny, ciepły, pogodny, słodki, a nawet uśmiechnięty? Znaie takiego?

Obaj są kulturalni, dobrze wychowani, uprzejmi, uczynni. Jeden to wysoki blondyn o cerze jasnej i niebieskich oczach – inżynier budownictwa, którego poznałem na spotkaniu autorskim w Krakowie. Drugi to brunet o cerze śniadej i czarnych oczach – poeta z Warszawy. Łączy ich jedno – absolutna, spokojna pewność, że posiadli Prawdę. Próbuję z nimi rozmawiać o tym, jak Bóg został przedstawiony w Biblii. Ale jakbym walił głową w żelazny mur. Nic! Ani kroku! Ściana! Obaj, jak na fanatyków religijnych przystało, czytają Biblię z oczami szeroko zamkniętymi. Po prostu nie chcą widzieć, co jest w niej napisane. A jeśli coś ich w Biblii niepokoi, natychmiast załatwiają sprawę magiczną formułą: nie należy tego czytać dosłownie. I rzeczywiście: jak sobie jakiś niewygodny fragment przeczytają niedosłownie, to im od razu wszystko pasuje.

Poeta ma młodą, ładną żonę, żywiołową misjonarkę, która na dwa etaty uczy religii w szkole. Pasują do siebie jak połówki małża z perłą wiary w środku. On – mężczyzna po ciężkich przeżyciach, melancholijnie pogodzony z życiem, łagodnie bolesny, miły, mądry, utalentowany. Ona – spragniona życia, uczuciowa, zaborcza.

Ludzie wierzący mają czasem wątpliwości, czy jest do końca prawdą to, w co wierzą. Fanatyk całym sercem czuje, że spłynęła na niego łaska Prawdy Zpełnej, przez co staje się nieludzki, to znaczy zdolny do wszystkiego. Jeśli tylko uwierzy, że ma w głowie czerwony telefon, który łączy go osobiście z Panem Bogiem, nie cofnie się przed niczym.

Rzeczowa rozmowa z nim o sprawach religijnych – niemożliwa. Próżne starania! Podobno urzędnicy Inkwizycji prywatnie byli ludźmi wprost nadzwyczajnej uprzejmości, kultury i dobroci, pokorni, pełni miłości i łagodności, po prostu gołębie serca, co zupełnie nie przeszkadzało im skazywać dziewczynki powyżej lat czternastu na tortury i palić je żywcem na stosie. Co tam ból i cierpienie, najważniejsze zbawienie! Być może na tym świecie istnieją religijni fanatycy łagodni, bez misyjnego bzika, zamknięci w swoim fanatyzmie jak żółtko w jajku. Ale zwykle fanatyk to taki gość, który chce wszystkich dookoła przerobić na takich samych fanatyków jak on. Jak tylko widzi koło siebie kogoś, kto nie jest taki jak on, po prostu nie może wytrzymać! I jeszcze dziwi się szczerze, że ktoś nie chce być taki jak on. Po prostu w głowie mu się to nie mieści. Klonowanie samego siebie, które skromnie nazywa pracą apostołską, to jego ulubione zajęcie. Klonować! Klonować! Jak się da i kogo się da! Sklonowani powinni zostać sprawiedliwie wszyscy.

Wczoraj byliśmy na mszy za duszę Mamy w gdańskim kościele Świętego Jana. Razem sześć osób plus znajomy ksiądz. Msza bez organów, cicha, w barokowej, bocznej kaplicy, za dębowymi drzwiami z wieku XVII, które oddzielają zakrystię od prezbiterium. Kościół piękny, późnogotycki, mroczny, pełen echa, z furkoczącymi przelotami wróbli pod łukowatym sklepieniem, parę kroków od rzeki, niegdyś protestancki, z kamiennym, czarnym ołtarzem z epoki reformacji w kształcie nagrobnego epitafium.

Msza była tylko dla nas. W ciszy, bez organów i kościelnych śpiewów święty obrzęd toczył się swoim odwiecznym trybem jak za czasów Mieszka I, Jana Kazimierza i księdza Popiełuszki, ale kiedy nadeszła pora, ja i K. nie przystąpiliśmy do komunii jak wszyscy, co przez osoby, które nam towarzyszyły, nie zostało przyjęte dobrze. Po mszy poszliśmy do niedalekiej restauracji, żeby sobie trochę pogadać o życiu. Gdy po przejrzeniu karty dań zamówiliśmy obiad dla

wszystkich, żona poety, młoda, ładna, energiczna misjonarka szkolna, usiadła naprzeciwko mnie za dębowym stołem i przyglądała mi się przez dłuższy czas zmrużonymi oczami, po czym skrzywiła się, jakby rozgryzła gorzką pestkę brzoskwini: – W co ty właściwie wierzysz?

Pytanie to zapewne miało być apostołskim napomnieniem, którego powinienem wysłuchać w pokorze, lecz zawierało w sobie także – co wyczułem szóstym zmysłem – pewien dyskretny element kary za niewłaściwość, jakiej się dopuściliśmy podczas mszy. Dlatego spojrzałem na nią dopiero po chwili, ale za to z pogodnym, wybacającym uśmiechem: – Pytasz, w co ja wierzę? – uniosłem w górę palec jak święty Jan na sławnym obrazie Leonarda da Vinci. – Ja w nią wierzę, moja droga – odpowiedziałem, po czym palcem wskazałem K., która siedząc obok mnie w fioletowej garsonce z koronek, uniosła kieliszek czerwonego wina w palcach i mile uśmiechnęła się do wszystkich.

Środa, godzina 9.47. Poranna jasność nad lasem.
S. pisze email do pani L.

Szanowna Pani,

jeśli chodzi o mnie i moją K., epidemia niewiele u nas zmieniła. Od dłuższego czasu i tak lubiliśmy siedzieć w naszej pracowni na Amundsena, gdzie wspólnie pracujemy nad projektami, które wciąż wymyślamy. Nie wychodzimy więc prawie wcale. Zresztą mieszkanie na dziesiątym piętrze z widokiem na morze i lasy kaszubskie dalekie jest od wszelkiej epidemicznej klaustrofobii. W słoneczne dni – jasności pełno. Powietrze, chmury, mewy. W dole modrzewiowy las i miasto. Za szybą przelatujące gołąbki i jaskółki. Pracujemy zatem intensywnie, ja zaś jeszcze nagrywam wykłady, co zajmuje mi trochę czasu, bo to wykłady z historii malarstwa europejskiego, więc materiału sporo.

Rozumiem Pani troskę o rodziców i lęk, jaki Pani czuje. My nie czujemy lęku żadnego. W końcu i tak trzeba się będzie kiedyś stąd wynieść, a my stoimy już przed samą bramą, która się przed nami z wolna uchyla, a z głębi bije ku nam promienna światłość, podobno – jak nas zapewniają – niezmiernie słodka.

Lęk budzi w nas tylko sam sposób umierania. Zresztą to jest sprawa dla pisarza, więc zbieram, gdzie się da, informacje o korona-draństwie, ale co i rusz natrafiam na szklaną ścianę tabu. Po prostu nikt nam nie chce powiedzieć, jak się umiera na to świństwo. Z wiadomości, które do nas dochodzą, wynika, że jest to śmierć przez uduszenie, coś w rodzaju wielogodzinnego konania na szubienicznym sznurze, ale żaden z naszych znajomych lekarzy nie chce nam

powiedzieć, co nas właściwie czeka, jak zachorujemy. Mur. Milczenie. Cisza. Uważam, że to paskudne, ale oni sami też tego do końca nie wiedzą, bo to korona-coś jest na razie zagadką do kwadratu. Ktoś nam powiedział, że śmierć poprzedza „zmięśnienie” płuc, przemiana lekkiej, pęcherzykowej materii płatów płucnych w kawał zbitego mięsa, co zupełnie uniemożliwia oddychanie. Jakby zwałił ci się na piersi ciężki głaz. Żebra i mostek zgniecione, ściśnięte.

Ciekawa jest ta fantazmatyczna strona epidemii – to znaczy wyobrażenia śmierci, które jej towarzyszą. Bo oczywiście to są wyobrażenia, które ludzie sobie tworzą, ponieważ właściwie nic nie wiedzą. No i oczywiście pojawia się pytanie, dlaczego to, co nas może czekać, jest przed nami ukrywane. Czy tylko ze względu na ewentualne wzmożenie paniki?

My w żadną panikę nie wpadamy. Po prostu przyjeśliśmy, że jeśli Metafizyczny Snajper trafi nas ze swojej niewidzialnej strzelby, to trudno i tyle. Czasem tylko pytamy siebie, czy – jeśli zachorujemy – w ogóle warto iść do szpitala i tam umierać z plastikową rurą wbitą w gardło, co tylko umieranie zamienia w torturę, czy może lepiej umrzeć od razu i to szybko – we własnym domu z widokiem na morze i słońce.

Ja sam widzę sprawy trochę inaczej niż Pani. Pisze Pani, że przez to korona-coś nic Pani nie może zrobić. Tymczasem nas intensywna robota wyciąga z depresyjnych klimatów. Jak stawiamy sobie jakieś zadanie – choćby urojone, a nawet bezsensowne – od razu skacze nam adrenalina, czy zdążymy zrobić to, co zamierzaliśmy. I cały lęk wyparowuje. Po prostu brakuje na niego miejsca. Tak, najlepszym lekarstwem na epidemiczne bagno, przez które musimy jakoś przebrnąć, jest harowanie tak intensywnie, żeby depresji nie dać czasu na opanowanie serca. Ale oczywiście każdy musi sobie jakoś wymyślić swój własny sposób na obecne dni. Ogólnej zasady nie ma.

Pozdrawiam Panią serdecznie

S. C.

Środa, godzina 12.03.

S. rozmawia przez telefon z O. i trochę się dziwi

Telefon – przy śniadaniu. Najpierw miłe życzenia urodzinowe dla mnie, a potem w głosie – lęk, obawa, strach? Niedawno trafiła do szpitala z sercem walącym w piersiach, trochę ją podleczyli na Zaspie, więc od razu po powrocie do domu wzięła się za szycie maseczek. Dziesiątki, setki maseczek! Kolorowe, białe, czarne, z gumką, z tasemkami. Cała góra – na tapczanie! Z dobrego serca

to szyje czy żeby siebie ogłuszyć robotą? Ach, nie myśleć, nie myśleć, o niczym nie pamiętać! Przed południem trochę popracowała w ogrodzie, posadziła niebiesko-żółte bratki na grządce pod brzozą, ale teraz się martwi, że jej zetną emeryturę. – Zobaczysz – zapewnia mnie przez telefon – jak przyjdzie prawdziwy kryzys, oni zrobią to na pewno. Toż od dawna się czają, żeby wszystkim dać „emeryturę obywatelską”. A potem – co? Każdemu dwa tysiące – i koniec! Harowałaś całymi latami, harowałaś – a tu dwa tysiące! I wyżyj no z tego!

Środa, godzina 19.17. Całkiem białe

Właśnie skończył się nam papier do drukarki, więc przez osiedle Morena idziemy w maseczkach pod topolami szumiącymi do hurtowni Adel w podziemiach pawilonu na Marusarzówny. Jedna dłoń w gumowej rękawiczce, w drugiej dwie torby na zakupy.

Mijamy kobietę w niebieskiej kurtce z kapturem. K. do mnie ściszym głosem: – Ukłoniłeś się jej? – No, nie – odpowiadam – bo te maski tak zmieniają ludzi... że właściwie nie wiem... kto to... – K. poprawia toczek, co się jej trochę przechylił na głowie, bo wiatr zawiął mocniejszym chłodem od strony modrzewiowego lasu za parkingiem. – Ja ją znam jeszcze z czasów, kiedy chodziłam na esperanto. A zresztą, nie wiem, może to ona, może nie ona...

Idziemy pod pawilon handlowy wzdłuż żywopłotu, co się już trochę zieni. Przed klubem fitness ktoś nam się kłania. Głos żeński. Kurtka. Czarna maseczka nasunięta pod same oczy. – K. zatrzymuje się, patrzy. – To ja – mówi czarna maseczka. – Nie poznajecie mnie? – Patrzymy, patrzymy, patrzymy, zaraz... no, nie... to przecież Marysia! – Marysia?! To ty? – pyta K. – No, pewnie, że ja – odpowiada Marysia. – Nie poznaliście mnie? To ja powinnam w tym tygodniu zagrać w totolotka. – Stoimy przez klubem fitness, rozmawiamy o jej córce Weronice, co właśnie pracę straciła, a zasiłku jeszcze nie dali.

Żegnamy się, machając jej ręką. Odmachuje nam. Idziemy dalej w stronę sklepu Xaviera. K. mówi do mnie: – Wiesz, dopiero teraz zobaczyłam, jakie Marysia ma siwe włosy. Zupełnie białe. Dawniej tego nie widziałam. To ta czarna maseczka tak robi.

Skręcamy w stronę sklepu Xaviera pod gałęziami klonu. Przed nami dwie rozwidlające się dróżki między żywopłotami. Prawa w stronę Rakoczego, lewa w stronę sklepu. Chcę iść prawą. – Zaczekaj! – K. chwytam mnie za łokieć. – Widzisz? Tam idzie w naszą stronę dwóch bez masek, a tu przed nami tylko jedna kobieta. Chodź! Pójdziemy tędy. – Ale ona też bez maski – mówię, mrużąc oczy od wiatru, który mocniej zawiewa od strony lasu. – W tej samej chwili kobieta

podciąga maseczkę na twarz. Gada do komórki, przy każdym słowie wygrażając komuś pięścią. Od razu ulga? Przyspieszamy. Mijamy ją szybko, zachowując dystans dwóch kroków. Do sklepu już niedaleko. Pod nogi wbiega nam czarny pies na krzywych nóżkach, w obroży, bez smyczy. Kręci się, szczeka. Za nim nadbiega facet. To jeden z tych, co szli w naszą stronę bez masek. Pies nas wymija, biegnie w stronę sklepu. – K. przystaje, grozi facetowi palcem: – Widzi pan? – Kręci głową. – Nawet pies przed panem ucieka. Bo pan maseczki nie nosi. – Facet odmrukuje: – To z powodów zdrowotnych. – I szybko obok nas przechodzi, zaciągając się dymem z krótkiego papierosa.

Piątek, godzina 11.55. Korona-piekarnia

Po drodze do sklepu „Kupiec” na Marusarzówny wchodzi do piekarni. Nad ladą zawieszona na łańcuchach szyba z okienkiem. Za szybą – ekspedientka. Mała, okrągła, w ciasnych dżinsach. Włosy czarne, natapirowane ostrym lakierem, koński ogon na gumkę z koralikami. Wielkie, sztuczne rzęsy. Uróżowane policzki. Usta duże, wypukłe, ceglano-czerwone. W niebieskich, gumowych rękawiczkach.

Mówię: – Ma pani bułkę paryską?

– Pokrojona? – rzuca od niechcenia, podchodząc do drewnianego regału, na którym leżą bułki i chleb.

– Tak, pokrojona.

Bierze bułkę paryską. Podchodzi do maszyny. Wsadza. Lewą ręką zbiera cienkie, pokrojone kromki, pakuje do torby z folii. Kładzie zapakowaną bułkę na ladzie w okienku przede mną. – Trzy osiemdziesiąt – mówi.

Sięgam do portmonetki i nagle skacze mi adrenalina.

– Dlaczego pani sprzedaje pieczywo bez maseczki?

Patrzy na mnie przez szybę.

– Mnie żadna maseczka niepotrzebna. Ja się tam nie boję. Zdrowa jestem.

– Ale pani – mówię uprzejmie, choć stanowczo – pochyła się nad pieczywem bez maseczki. To może pani kogoś zarazić.

Aż podskakuje za szybą.

– Zarazić? Panie, czego pan chce?! Powiedziałam wyraźnie: ja zdrowa jestem.

Adrenalina rozgrzewa mi kark.

– Skąd pani wie, że pani jest zdrowa? Nie słyszała pani o bezobjawowych? Testy sobie pani zrobiła?

– Testy? Jakie testy? Panie, czep się pan swojej żony!

- To ja w takim razie pani dziękuję. - Chowam portmonetkę.
- Coś pan? Pieczywo pokrojone! Zapakowane! Niech pan płaci i bierze!
- Nie. Dziękuję. Ja tu do pani więcej nie przyjdę. Do widzenia.

Gdy zamykając szklane drzwi, wychodzę z piekarni, słyszę za sobą podniesiony głos: - Słyszałaś Wanda? Też się znalazł. Niech spier...ala w buraki.

Sobota, godzina 15.45. Radość tłumów

- A to Patriotyczne Przyjemniaczki! - mówi do mnie K., patrząc w telewizor. Na ekranie Wiadomo Kto ogłasza, że zrobi wybory, bo tak chce, a jak ktoś będzie mu utrudniał, to on nie cofnie się przed niczym.

A potem w telewizorze inny Wiadomo Kto ogłasza łaskawie, że znosi niektóre ograniczenia antywirusowe. Ustawiony za pulpitem na tle niebieskiej, propagandowej ścianki, łaskawie zezwala braciom Polakom chodzić bez maseczek w przestrzeni otwartej.

A teraz w telewizorze kolej na lekarzy. Pierwszy - siwy profesor ze sławnej kliniki, gniewny, wymachujący rękami - mówi, że jeszcze za wcześniej znosić ograniczenia, bo epidemia nadal kwitnie w Polsce w najlepsze. Tylko kto go tam słucha w Pcimiu, Węsiarach, Mądrawicach czy Złotoryi! Zniecierpliwione tłumy cieszą się, że nareszcie będzie można chodzić bez maseczek, chociaż - jak mówi kolejny lekarz w telewizorze, specjalista od wirusów, chudy, trzydziestoparoletni, rudawy, z brodą przyciętą krótko - w Polsce mamy dzisiaj kilkadziesiąt tysięcy chorych bezobjawowych, którzy nie zgłaszają się na żadne testy, bo czują się świetnie, więc nawet nie wiedzą o tym, że są chorzy, a zarażają na prawo i lewo. A jak zarażą dużo ludzi po siedemdziesiątce, to umrą starych tysiące! Ale co tam! Kto by się tam przejmował! Zniecierpliwione tłumy biało-czerwone mają już powyżej uszu całej tej epidemii, cieszą się, bawią, śmieją, tańczą, podskakują, że nareszcie będzie można bez maseczek odetchnąć pełną piersią, rozsiewając przy okazji zarazę na całego, bo dzisiaj - dzwoni właśnie do nas z tą wiadomością Piotr M., który ma znajomości w sferach medycznych - na koronawirusa zachorowało w Polsce czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć kolejnych osób.

Brawo, polski Tłumie! Brawo! Tak trzymać! Ciesz się, ciesz! Kiedy ograniczenia antywirusowe zostały wprowadzone, było u nas około stu osób zarażonych dziennie. A dzisiaj? Dzisiaj jest czterysta dziewięćdziesiąt dziewięć! Ale kto o tym pamięta? Kogo to obchodzi? Kto by tam sobie tym głowę zawracał? Przecież w tych maseczkach chodzić i pracować tak niewygodnie!

Dzisiaj po południu małe śpięcie przy stoisku z serami w delikatesach Xaviera. Młoda ekspedientka w ciasnym sweterku do mnie zza szyby, zawieszony na żyłkach: – Dlaczego pan nosi maseczkę? Przecież w telewizji powiedzieli wczoraj, że od dzisiaj wolno już chodzić bez...

O, tresuro, piękna tresuro, że palce lizać! W telewizji powiedzieli wczoraj, że już dzisiaj wolno bez...

Boże drogi! I tak będzie do końca świata? Zawsze? Wszędzie? Nigdy inaczej? Tłumy były, są i będą niewyuczalne? Ciekawe, co by na to powiedział Adam Mickiewicz, którego epidemia podobno skosiła niegdyś w Stambule. Czy dzisiaj chodziłby w maseczce? I jak by sobie poradził z koronawirusem za pomocą monologu Konrada z trzeciej części *Dziadów*?

Poza tym ciekawa kwestia filozoficzna: Jaka jest właściwie różnica między Narodem a Tłumem? Czy można kochać Naród, gdy mądrość Tłumu nas nie zachwyca? Czy istnieje chociaż jeden Naród na Ziemi, który nie byłby Tłumem? O, dajcie mi chociaż jeden taki Naród, który nie byłby Tłumem!

Niedziela, godzina 00.09.

Nocne pogaduchy. S. rozmawia z K. o pośmiertności

Noc. Leżymy obok siebie. Za balkonowym oknem czarne niebo. Duży, okrągły księżyc. Pełnia. – Czym my się, do diabła, zajmujemy! – Kręcę głową na poduszce. – Razem mamy sto czterdzieści lat, a robimy wszystko, tylko nie to, co najważniejsze. – A co jest najważniejsze? – Jak to co? Grób. Powinniśmy jak najszybciej kupić grób. Ja chcę wiedzieć, gdzie będę leżał. – Czy to w końcu nie wszystko jedno? – Nie. Ja chcę leżeć w Gdańsku. – Na Srebrzysku czy na Łostowicach? – Na Srebrzysku. Tam umarli nie mogą wychodzić poza teren cmentarza, ale mogą w nocy spacerować alejkami. Co wieczór będziemy wstawać i spacerować. – Trochę dziwnie to brzmi. – Dlaczego? Czym gorsze moje Srebrzysko od żydowskiego Szeolu, łacińskiego Purgatorium czy greckiego Hadesu? Jak się ściemni, będzie można odsunąć płytę i wstać. Tylko jak cię żywy zobaczy, to od razu dostaniesz zakaz wstawania. Na tydzień albo na dwa. Trzeba leżeć w dobrym miejscu. Gdzieś wysoko. Na zboczu. Pod drzewami. – Po co ci drzewa? – Lubię, jak szumią nad głową. Będę leżał obok ciebie i słuchał, jak szumią drzewa. – My razem, obok siebie? – Tak. Pod jarzębiną albo białą brzozą. A w nocy będę odsuwał płytę. – Będziesz miał siłę odsunąć? – Umarli mają wielką siłę, byle cię żywy nie zobaczył. Bo jak zobaczy, zrobisz się słaba jak dziecko. I nic nie uniesiesz. Na Srebrzysku żywi są potrzebni tylko za dnia. Na przykład z kwiatami przy grobie. W nocy są

niepotrzebni. – A jak teraz miejsca na grób nie wykupimy? – To nas położą w Pruszczu albo w Tczewie. – Tam też można leżeć. – Ja nie chcę. Ja chcę leżeć w Gdańsku. Na Srebrzysku. Wysoko. Na wzgórzu. Pod drzewami. Żeby z góry było widać morze i Gdańsk. – Tak ci zależy? – Tak. – Tylko Gdańsk? – Tylko. – I nigdzie indziej? – Nigdzie.

Leżymy w ciemnościach naszego morenowego mieszkania na Amundsen, pogadując i śmiejąc się z naszej głupiej gadki. Ale za oknem księżyc taki wielki, niebo jasne, że nie można zasnąć.

Wczoraj koło piątej wracaliśmy dwunastką z Oliwy do Wrzeszcza. Gdy mijaliśmy Galerię Bałtycką, pochyliłem głowę w stronę K. – Popatrz na nich. Chciałabyś przebywać z nimi przez całą wieczność w Niebie? – K. rozejrzała się po zatłoczonym wagonie. – Z tymi wszystkimi? – Tak, z tymi wszystkimi. – Nie wiem. Chyba raczej nie. – Wiesz, Niebo przestało mnie interesować z chwilą, gdy wyobraziłem sobie, że jeśli tam trafię, będę musiał przebywać tam całą wieczność ze zbawionym arcybiskupem od tęczowej zarazy, zbawionym ministrem od ściętej brzozy, zbawionym prezesem K., zbawionym posłem-prokuratorem stanu wojennego P., zbawioną profesora P. z Trybunału oraz zbawionym ojcem Tadeuszem R. I że będziemy musieli tam siedzieć z nimi miliardy lat. W boskiej światłości. Bez żadnej możliwości ucieczki. Rozumiesz?

– Ale w Piekło będzie podobnie. Wchodzisz, a tam sami znajomi z pracy. – Dlatego ja nie chcę do żadnego Nieba i do żadnego Piekła. Ja chcę spacerować po śmierci po moim Srebrzysku. Leżeć sobie przez cały dzień wysoko, na zboczu. Spać. Drzemać. Wypoczywać. A w nocy unosimy płytę. Odsuwamy. Wychodzimy. Strząsamy z siebie kurz i pajęczyny. Po długim leżeniu rozprostowujemy kości. Podaję ci rękę. Żywych nie ma w pobliżu. I cicho. Tylko nocne cienie drzew. A za drzewami migoczą światła naszego miasta i portu. Na chmurach widać błyski tramwajowych iskier. I piękna łuna stoi nad Zatoką. – Oj, chyba za dużo się naoglądałeś w młodości *Thrillera* z Michaeliem Jacksonem. – Tak myślisz? – Tak myślę. – Ale swoją drogą, wiesz, to ciekawe, ilu ludzi, chciałoby po śmierci spędzać czas tak, jak my na naszym Srebrzysku. Może ten Jackson wcale nie był taki głupi i dobrze chwycił nastroje?

Poniedziałek, godzina 13.52. Kilka nocnych myśli
Wszystkie religie nienawidzą świętej jednorazowości ludzkiego istnienia.

Życie jest darem? Z pewnością, ale tylko życie do zniesienia.

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

Fragmenty murów obronnych (4)

Ziemia i niebo. Przestrzeń do krążenia i słowa. Forma, która jest prześwitem na światło, wypełnia się nim i nim się staje.

Pułapki zastawione na zewnątrz i wewnątrz, w środku. Człowiek w pułapce i ten, który sam dla siebie jest pułapką, tak się przekształca.

Plan opowieści: dziewiętnaście akapitów po dziewięć wersów każdy. Trzy głosy, ich łączenia, rozłączenia i przeistoczenia, ciągi, luki i improwizacje.

Nie: kim jesteś? ale: kto ty jesteś? Jaki jest kierunek twojego życia? Kto i co jest jego celem?

Wysłannik. I ten, który go wysłał.

Thorn przez obecność i działanie nie tyle podważał, co niszczył dzieła Rotha.

Sprężyną postępowania Rotha jest fałsz i obłuda. Thorn działa w duchu prawdy. I dzieli się tym z Mohlem.

Dają świadectwo swojemu duchowi.

W tym i w każdym miejscu, jak na pustkowiu.

Gdy Mohl wrócił do swojego miasta, to jakby wrócił do Thorny, wszedł w jego krąg.

Jasność, blask, olśnienie, widzenie i głos.

Nie widzą tego, nie pojmują? Ich umysły są aż tak otępiałe?

Czy jeszcze zdolni są do słuchania? Czy zdolni są do rozumienia? Z objaśnieniami lub bez objaśnień.

A czy Mohl zdolny jest do słuchania i do rozumienia?

To wszystko wokół, ta tajemnica, są dane, można powiedzieć, bezpośrednio, ale dla wielu dzieją się tak jak nauki Mistrza, w przypowieściach.

Poznajemy po części i rozumiemy po części.

Czy wie to Mohl?

Nie ustawaj, mówi Thorn, nie rezygnuj, walcz i idź dalej, i bądź otwarty.

To, co wchodziło w niego z zewnątrz, i to, co z niego wychodziło, na świat.

Na próżno czy nie na próżno?

Całe to zło w jego wnętrzu i dobro.

Miał oczy, a nie widział, miał uszy, a nie słyszał. Tępy był? Bezrozumny? Pamięci i wyobraźni nie miał? Kto go tak usidlał?

Kiedy wreszcie będzie widział jasno i wyraźnie? I kiedy tak zacznie mówić? Do kogo?

Nie zwlekaj, nie odkładaj z dnia na dzień, nie graj na zwłokę. Czasu masz coraz mniej. Nie zmierzaj do klęski, dąż do zwycięstwa, przynajmniej próbuj i staraj się, ile tylko masz sił. Ten dzień jest coraz bliżej.

Przeprawili się i przybili do brzegu.

Był w nim, a on był w nim, jego słowa i frazy, które dopełniał ułomkami, na swoją miarę.

Przychodził, był z nim i prowadził go dalej.

Był jego natchnieniem i siłą.

Nie tylko już podjął decyzję, ale coś przynaglało go do jej wypełnienia, w każdym razie był przygotowany do działania.

Wiedział, że działa łaska, ale czy potrafił z nią współpracować? Czy był dobrze przygotowany?

Skąpo siał i skąpo zbierał i to był jego problem.

Gdy słabł, opadał z sił, czuł, że działa moc.

Walka toczyła się w nim i na zewnątrz niego.

Rozbita twierdza i świetlisty szaniec. Zamek warowny w ruinie i światło.

Wewnętrzny głos i głos wewnętrzny.

Ktoś go przenikał, był w nim, ktoś lub coś, nieustannie.

Z nadbrzeża przez ciasną bramę do środka.

Jak kres możliwości i dobry początek.

Ktoś z nim był i wzmacniał go.

Gra na zwłokę to nie pozory, ale działanie. Może być dobre, ale może też być złe, niszczące.

Anamneza, przypominanie, osobista relacja. Rozmowa, kontakt, obcowanie.

Czekanie? Pęta otchłani, dół śmierci i strach.

Wsiadł z powrotem do łodzi i odpłynął na drugą stronę.

Słyszysz: Otwórz się! Jak opętany niemowa. I odzyskuje mowę.

Rozwaga, rozsądek, roztropność. I sny i widzenia nocne.

Zło, które obraca się w dobro. I dobro, które przepoczwarza się w zło.

Opowieść, którą masz opowiedzieć, jest w tobie, w twoim sercu i musisz ją także sobą wypełnić.

Na pustkowiu sam, osobno. I obecność kogoś, jako głos.

On zna moje słowa, ich początek, ich tok i koniec.

Działają w nas i my nimi działamy.

Z niczego staje się coś, a nawet nadmiar.

Ciemność i światło, cisza i głos, milczenie i mówienie, ogień i woda, wicher i łagodny powiew wiatru, smutek i radość, nieszczęście i szczęście, wiara i niewiara, nadzieja i beznadzieja, nienawiść i miłość – w jednym i w drugim jest obecność.

Być kimś innym, nowym każdego dnia, bardziej innym i bardziej nowym, każdego dnia.

Czy odrzucam plewy? Bo to, że je rozróżniam, to jasne.

Uważaj, co i jak mówisz i uważaj, kto, co i jak mówi do ciebie.

Czy Bóg działa przeze mnie? I czy przeze mnie działa Bóg?

Czy ta przepaść jest do przebycia?

Z Jonasza: „Wstań, idź... upomnij ją...”. I nagle gwałtowny wiatr, burza na morzu, miejsce w głębinie i sen. Wielka ryba, w jej wnętrzu, trzy dni i trzy noce i wyrzucenie.

Ponownie: „Wstań, idź... upomnienie”. Trzy dni (godziny) drogi. Przybycie i blask światła – odwrócenie się od złego. Mówi: To nie są moje słowa, ale tego, który mnie posłał. Ich niedola i zarządzenie jej. Działanie dobrego ducha – miłości?

Niezadowolony i oburzony. Radykalizm jego złości, gorzkość i załamanie – lepsza jest śmierć niż życie.

Odgradza się w pokoju, to jego szafas, usuwa się w cień. Ale jest opieka nad nim, dobra wola i pomoc (krzew rycynusowy).

Dobre myśli krążą w jego głowie, ale zjawia się robak i stają się znowu złe.

Upał, parne, gęste powietrze – złe samopoczucie, zasłabnięcie. I znowu smutek i czarne myśli (lepsza śmierć niż życie). I naraz olśnienie: „Czy słusznie się oburzasz z powodu tego krzewu?” (jak starszy syn z przypowieści o synu marnotrawnym). Jego zapatwienie w siebie, nieczułość dla innych; zmienne, skaczące myśli – a tu los drugiego człowieka, pokazanie mu dobra i zła, sprawa zbawienia jego i nie tylko jego duszy. Kim jest, żeby oceniać matkę, ojca, siostrę i innych? Czy wie, co kieruje ich postępowaniem i zachowaniem, czy kiedykolwiek uważnie interesował się tym? Czy zna ich rzeczywiste uwarunkowania, możliwości, intencje, uczucia i myśli? Czyż Bóg nie kocha ich tak samo jak jego, a może nawet bardziej, bo bardziej się od Niego oddalili? Czy nie zaciemnia go egoizm i brak miłości do innych, tylko miłość własna? Przecież Bóg jest miłością – niepojętą dla niego, zamkniętą od lat w swoim kącie.

Ciało i dusza, główny splot. To, co widzialne, i to, co niewidzialne, przemijające i nieprzemijające.

Odchodzenie jest integralnie wpisane w ludzką naturę. I tak, i tak odchodzimy. Ważne, jaką drogą idziemy.

Jeżeli czegoś mocno się chce i pragnie, to już jest początek.

O ilu rzeczach moglibyśmy powiedzieć: plewy na klepisku w lecie, ale ich nie odrzucamy.

Gruba linia fabuły i oplatający ją gąszcz szczegółów, niuansów i niedopowiedzeń.

Pisząca ręka i kreślone przez nią pismo.

Mierzyć, ważyć, dzielić – według tego się pisze.

Pismo i słowa, głos. Głos, słowa i pismo.

Spojrzenie, gest i natychmiastowa odpowiedź.

Zwłoka to grzęzawisko diabła.

Czekał, ale wiedział, co to jest czuwanie i przygotowywał się do niego.

Czas to już nie pory roku, dzień i noc, ten w kółko powtarzający się cykl, ale dążenie do mety.

Wsluchiwanie się w głos i rozeznawanie się w nim.

Ciemność to chaos, ale można z niej wyprowadzić i tworzyć jasność.

Na kamieniu, między dwoma bramami, pod murem, z widokiem na Małpi Gaj, chmury i przyszań.

Przez most lub przeprawa łodzią, na drugi brzeg.

Na kamieniu, w cieniu lipy, wpatrując się w wieże i mury miasta.

W głowie i w sercu słysząc echo jego słów.

Ile w tym, co piszę, jest mojej mocy, a ile nie mojej?

Czarne chmury i rosnący w nich biały obłok.

Z zewnątrz, wewnątrz i na zewnątrz, jak droga słów.

Z wnętrza na zewnątrz, to najważniejsze, nie to, co wchodzi z zewnątrz.

Idź, mówi głos. A on tkwi w miejscu.

Chce być we mnie, a ja chcę być w nim, wielkie pragnienie.

Wyrwałość i wątpienie to mogą być jednak dwie drogi, dwa kierunki.

Stwórz przestrzeń dla jego słów, żyj nimi, usłysz je i mów nimi, w swoim świetle i w swojej ciemności.

Jeżeli nie wypełnia się sobą słów, to nie wprowadza się je w czyn.

Być słuchaczem, a być wykonawcą to dwie różne rzeczywistości, dwa wymiary.

Tak jak obserwować, jak ktoś idzie, a iść samemu.

Nieustanny ruch, aż do przesady, naśladowanie, próby, redukcje i rozszerzenia, bez oglądania się na skutki.

Mądrość i głupota, dwie strony medalu.

Nie walcz ze złem, bo to jego cel, wciągnąć cię do walki. Szkoda energii, sił, uwagi i przede wszystkim czasu.

Nie zbierać, ale siać i nie martwić się.

Lepiej wystąpić przeciw sobie niż przeciw Bogu.

Jest niemy i głuchy. Ale czy on wie, że jest niemy i głuchy?

Przybliżać się, każdego dnia zbliżać się i być blisko.

Pomyślałem na odwrót i zrobiłem to, czego od lat nie potrafiłem zrobić.

Życie i śmierć, śmierć i życie – to co jest przed nami.

Zgiełk słów: wewnątrz, zewnątrz, z przodu, z tyłu, z góry, z dołu, z boku, nie wiadomo skąd.

Nie iść tak, jak chcę, ale iść za nim, krok za krokiem i obok niego, ramię w ramię, tak posuwać się do przodu.

Nie raz idąc w dół, wspinasz się w górę, a idąc w górę, schodzisz w dół.

Podtrzymywany i ciosany jego słowami.

Zasiał, a ja zbieram, trudił się, a ja wszedłem w jego trud.

On jest w nim i we mnie, razem z nim.

Doświadczanie zdarzeń i słów dziejących się na zewnątrz i doświadczanie ich wewnątrz siebie, w środku.

Przegrywam tak jak on, ale jednak przegrywam gorzej, z jeszcze większym kretesem, czyli według niego lepiej.

Jarzmo grzechu i jarzmo łaski. Które jest lżejsze?

Nie umiesz krzepić, milcz.

Dobry wzór jest umocnieniem. Naśladowanie go buduje i umacnia.

I tak jesteśmy jak na uwięzi – wolni.

Mówić o sobie, że kimś się jest, a istotnie nim być.

Gdy mówię: jestem sługą jego słów, jestem jego wysłannikiem.

Odrzucam to, co nie jest w moim duchu, odcinam i odrzucam, oczyszczam się, ale to ciągle odrasta, a nawet owocuje.

Jest ze słów i tak jak objawił się we mnie, może objawić się w każdym.

Nie wiedząc, czy jest to rzeczywistość, czy fikcja, widzenie czy zaślepienie, cudowne przejście czy ślepy zaułek, wyzwolenie czy uwięzienie.

Z Księgi Królów – na górze Karmel: „Wówczas Eliaż zbliżył się do całego ludu i rzekł: »Jak długo będziecie się chwiali na obie strony? Jeżeli Wiekuisty jest prawdziwym Bogiem, to idźcie za Nim, a jeżeli Baal, idźcie za nim!« Na to nie odpowiedzieli mu ani słowa”.

LESZEK SZARUGA

Orfickie wybrzmienia

1. Pojęcie „twórca awangardowy” można pojmować dwojako: bądź jako artystę zakorzenionego w doświadczeniach nowatorskich poszukiwań przełomu XIX i XX wieku, bądź, zgodnie z pojmowaniem terminu „awangarda”, jako kogoś, kto wyprzedza tych, którzy podążają za nim, otwiera nowe drogi, dostrzega to, co umknęło uwadze innych, potrafi wskazać alternatywy. To ktoś, by użyć terminu wojskowego – co w tym wypadku nie jest bezzasadne – „rozpoznaje bojem”, ryzykuje samym sobą, zdając sobie sprawę z tego, że być może nikt za nim nie pójdzie.

Gdy dziś czytam poezje Krzysztofa Mrozowskiego, wiem, że oba te znaczenia są w pełni uzasadnione: z jednej bowiem strony można wskazywać ich pokrewieństwo z mistrzowskim poematem Aleksandra Wata *JA z jednej strony i JA z drugiej strony mego mopsożelaznego piecyka*, z drugiej jednak odczytywać je jako wyprzedzające najbardziej awangardowe rozpoznania poezji lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych – zarówno rówieśniczej Nowej Fali, jak i opublikowany w 1972 roku poemat Tymoteusza Karpowicza *Odwrócone światło*. Biografom poety pozostawić należy odpowiedź na pytanie, dlaczego twórczość ta – choć znana i ceniona, szczególnie wśród przedstawicieli jego generacji, takich jak Krzysztof Karasek czy Julian Kornhauser – nie „przebiła się” do szerszej publiczności, choć bez wątpienia miała rolę odegrała tu peerelowska cenzura. Warto jedynie wspomnieć, że był Mrozowski, obok Andrzeja Partuma, jednym z pierwszych twórców poetyckich czy, szerzej, artystycznych publikacji niezależnych w Polsce: jego opublikowany własnym sposobem i w niewielkim nakładzie tom *Pakt* przechodził z rąk do rąk, bywał też rozpowszechniany w maszynopisach. Do legendy środowiskowej przeszły spotkania – na ogół w prywatnych kręgach – w trakcie których autor czytał swe poematy, budząc zarazem podziw i respekt dla rozmachu swej wyobraźni. I może – by wskazać jedną z wielu inspiracji tej wyobraźni – należy przywołać już zupełnie prywatne wspomnienie: z jego rąk trafił do mnie numer emigracyjnych „Tematów” z poematem *Skowyt* Allena Ginsberga.

Przy określeniu Mrozowskiego jako poety awangardowego jednak bym się nie upierał. Natomiast z pewnością można jego wiersze odczytywać jako

twórczość anarchisty. Za manifest może tu posłużyć choćby notatka z cyklu *Homo politicus*: „Mam już dosyć tych bakterii imiennych i bezimiennych wokół nas, które brudzą przestrzeń czasu swoim przezroczytym niechlujstwem. Tu trzeba wojnę wypowiedzieć. Ciągłe trzeba wyjaśniać, prostować... Sybaryci i celebryci opanowali drogi i doliny, wszędzie ich wyniosłe miny, oraz eksperci od nie ich trudnej śmierci. Nie zawsze mogę pisać o tym, co we mnie i wokół, bo bym musiał wejść na cokół, a czasami słowa same mnie bandażują do utraty tchu...”.

Krzysztof Mrozowski na cokół się nie pchał, gdyż wiedział, że słowa, których z tej wysokości musiałby użyć, mimo swej wielkości skarłałyby do słówek taniego moralizatorstwa. Poezja natomiast nie do tego służy.

2. Anarchista jest sam, choć jednocześnie należy do stowarzyszenia, którym jest Bractwo Orfickie w Samos. To istniejące ponad i poza czasem zrzeszenie, będące rodzajem zakonu, gromadzi wszystkich, którzy wyposażeni zostali w ten rodzaj wrażliwości, który pozwala wpisać rytm mowy w rytm kosmosu, a przy tym w zdolność wyrażania swych doświadczeń w formułach poetyckich, wieloznacznych i niemal hermetycznych, sprawiających, że uważny ich odbiorca ma odczucie uczestniczenia w niemal magicznym obrzędzie wtajemniczenia. Pojawiają się nowe słowa, nieznanne, swoisty *lingua ignota*, próbujący przekroczyć ograniczenia znanych języków, jak w poemacie *Text*: „Słowo ateni wymaga kamieni, będzie mało, trzeba budować wzwyż słowa munda, ejukori, wenda, mindani, sadore, panawe, somara, mutra, randa – już przybyte zaciętością; trzeba brać się do roboty, materiału nie ma, to będzie, w zaprzeczeniach zatrzymujących też było niewiele”. Przy czym jest to jedynie sygnał wskazujący na prześwit w monolocie języka, który odsłania, choćby na moment tylko, na niepochwytne mgnienie, pejzaż innego świata. Słowa tu „budowane” są jak wyrazy tworzone przez uczące się dopiero mówić dziecko, a nazywające świat inaczej, niż to ma miejsce w wynegocjowanym przez stulecia języku dorosłych, kwitowane zaś treserskim napomnieniem: „Tak się nie mówi!”.

Owszem, tak t e ż się mówi, tak mówi ten, kto odmawia uczestnictwa w obowiązującej narracji, tak mówi anarchista, strażnik wolności, rzecznik swobodnej ekspresji, ale też ten, który wie, że w języku, jakiego używamy, odnaleźć można zapomniane źródła mowy, dźwięki i rytmy języków umarłych. Przywoływanie czy kreowanie w utworze słów i pojęć nieobecnych w powszechnie używanym języku jest jednym z wyrazów tej swobody, tak jak

to można obserwować choćby w poezji Wielimira Chlebnikowa czy Aleksieja Kruczonycha, przedstawicieli rosyjskiego kubofuturyzmu. O tyle to zresztą interesujące, że na kubistycznej bazie rozwinął się we Francji ruch malarstwa orfickiego, skupionego, jak w twórczości Roberta Delaunaya czy współtwórcy niemieckiego ekspresjonizmu Franza Marca, na nasyconych kolorystycznie formach abstrakcyjnych, zmuszającego zatem do odbioru kontemplacyjnego. Orfizm – nurt refleksji powstały w VII stuleciu przed Chrystusem – miał wpływ na kształtowanie myśli pitagorejskiej, wpłynął też na formowanie rytuałów wczesnochrześcijańskich. Jak pisze Wallace Maxey, „Pitagoras jest uważany za założyciela żydowskich sekt esseńczyków, a także filozofującego, mistycznego kultu orfików”. Ożywienie zainteresowania orfizmem przyniosło zapewne wydanie w roku 1907 tomu Guillaume Apollinaire’a *Le Bestiaire ou Cortège d’Orphée*. Mrozowski należy do tych twórców, którzy poszukują drogi dostępu do tajemnic orfików, o czym mowa w podpisanym „Krzysztof z Bractwa Orfickiego w Samos” wierszu *Do Bractwa Orfickiego słów kilka po kilku słowach ustami przewielebnego brata Bazylidesa*:

Gramatycy zapisują dźwięki za pomocą liter.
Pitagorejczycy posługiwali się liczbami
pojmowanymi jako znaki dla wyrażania prawd
filozoficznych, a geometrzy poruszają figurami
dla objaśnienia pojęć abstrakcyjnych.
W wyniku spisku KYLONA zaginęła filozofia
pitagorejska, bractwo orfickie po dziś dzień
nie nosi szat z wełny ani ze skór zwierzęcych.
Kiedy przechadzałem się po gandyjskim parku
wraz z moim cieniem – otrzymałem instrukcję:
o więcej pytaj MODERATOSA...

Pamięć języka sięga głębiej niż pamięć współczesnych, język pamięta bowiem te zdarzenia i sprawy, które z biegiem czasu, w toku przemian kulturowych i cywilizacyjnych, usunięte zostały z pola widzenia. Wiemy wprawdzie od Owidiusza, że *aurea prima sata est aetas*, ale ta wiedza pozbawiona jest realiów dotyczących życia człowieka w owym „wieku złotym”, a tym samym zasypane pozostają źródła pamięci, wśród których zapewne można upatrywać zaginionej „filozofii pitagorejskiej”. Jak pisze Zygmunt Kubiak: „Doktryna orficka, o ile ją możemy poznać z różnych rozproszonych w literaturze śladów,

głosiła, że Tytani, wypuszczeni z podziemia, rozszarpali i pożarli ukochanego syna Zeusowego, urodzonego przez Persefonę, Zagreusa [...], jeszcze jako boskie dziecię, ale Zeus ocalił serce dziecięcia i wszczepił je Semele, aby urodziła drugiego Zagreusa, inaczej mówiąc: drugiego Dionizosa, który przyjdzie na świat jako już »potrójnie urodzony«. Tytanów zaś spalił piorunem, a z ich popiołów stworzył rodzaj ludzki, który ma w sobie element »tytaniczny«, zły [...], oraz skarb prawdziwie boski, dziedziczony po ciele Zeusowego dziecięcia, które Tytani wchłonęli w siebie. Najprawdopodobniej obcował z tą doktryną dionizyjsko-orfeicką, tak szerzącą się w południowej Italii [...], prorok apolliński z Samos i italskiego Krotonu, Pitagoras, kiedy nauczał, że trzeba duszę wyzwolnić z »ciała-grobu« (*soma-sema*)”.

Pitagoras nawiązywał w swej doktrynie do nauk Orfeusza, nade wszystko do znajomości tajemnic duszy ludzkiej wyniesionej z poznanej w czasie miłosnej drogi po Eurydykę podziemnej krainy pośmiertnego bytowania. Ale też co do owej wiedzy na temat nauk Orfeusza nie możemy mieć pewności, co podkreśla Kubiak, stwierdzając, że „brak stanowczej odpowiedzi na pytanie, czy Orfeusz praktykował i rozwijał misteria Dionizosa, które znamy głównie jako ekstatyczne *orgia* menad w górach, czy misteriom owego boga przeciwstawił swoje, odmienne”. O tyle to ważne, że misteria dionizyjskie od VII wieku przed Chrystusem stanowiły część ateńskiego kultu państwowego. Ale właśnie ta nieokreśloność wydaje się interesująca – tym bardziej że nie sposób odpowiedzieć na pytanie, czy zmitologizowana postać trackiego poety, którym był Orfeusz, należy, jak jego „uczeń” Pitagoras, do postaci historycznych, czy też pozostaje wyłącznie literacką kreacją. Nie ma to zresztą dla poezji Mrozowskiego większego znaczenia – ważnym natomiast wydaje się to przede wszystkim, że traktuje Orfeusza jako właśnie poetę i gdy przyjmiemy, że przeciwstawił się on w jakiejś mierze oficjalnym rytuałom, można by go uznać za swego rodzaju buntownika, który mógłby spokojnie powiedzieć to, co sam autor *Zmierzchu cywilnego* napisał o sobie: „[...] albowiem ja jednocześnie jestem Państwowcem, jak i Anarchistą [...]. Do tego dodajmy to, co jest najważniejsze – jestem egzystencjalistą, katastrofistą wizyjnym o dużym ładunku przewidywalności, który mimo przeciwności proponuje, daje i otwiera przed czytającym trudny ogród pożądania nadziei”, chwilę zaś wcześniej podkreśla, że „Heidegger to [...] mój cicerone, oprowadzający mnie po języku idei słowa”.

3. Zastanawiający to zwrot: język idei słowa. Idea słowa jest, jak sędzę, związana z kwestią jego kreatywności. Gdy Heidegger pisze o istocie poezji Hölderlina, podkreśla: „Hölderlin tworzy istotę poezji – ale nie w sensie ponadczasowo obowiązującego pojęcia. Owa istota poezji należy do określonego czasu. Nie tak jednak, że się tylko do niego dostosowuje jako do już istniejącego. Dopiero bowiem gdy Hölderlin na nowo ustanawia istotę poezji, ustala nowy czas. Jest to czas zbiegłych bogów oraz nadchodzącego Boga. Jest to czas *jałowy*, jako że znajduje się on pod znakiem podwójnego niedostatku i nicości: pod znakiem Już-Nie zbiegłych bogów i Jeszcze-Nie nadchodzącego Boga. Istota poezji, którą ustanawia Hölderlin, jest w najwyższej mierze dziejowa, antycypuje bowiem czas dziejowy. Jako istota dziejowa jest ona jednak jedynie istotną istotą”.

Lektura poezji Mrozowskiego – owszem, katastroficznej w tym sensie, w jakim dostrzega zmierzch czy tylko kryzys epoki – uświadamia, że jest ona przecuciem możliwości nadejścia nowego czasu. Warto w tym kontekście przywołać trafne rozpoznanie poczynione przez Marię Dłuską, a dotyczące poezji pokolenia wkraczającego w życie literackie na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych: „Do najmłodszych dzisiejszych poetów przylgnęło słowo a p o k a l i p s a. Oni – nie przewidują. Oni – wyrażając się ich sposobem – żyją w. Poezja, którą tworzą, odzwierciedla życie ich wyobraźni, intelektu, uczucia na jakimś dnie potworności, tragizmu bez wyjścia. [...] A jednak ten krzyk chce być słyszany, chce być usłyszany w największej swojej grozie, największej swojej sile. Bo może...?”. I rzeczywiście: nie przypadkiem w otwierającym debiutancki tom Ewy Lipskiej wierszu *My mowa o tym, że to pokolenie dżwiga „pamięć przestreloną”* i nie przypadkiem „nowofalowy” zbiór wierszy Jarosława Markiewicza zatytułowany został *Przyszedłem zapytać o własne imię czasu który wnoszę*. Bez wątpienia też należy Mrozowski do tej właśnie formacji generacyjnej, dla której poczucie kryzysu rzeczywistości, z jaką przyszło jej się mierzyć, było tym wyzwaniem, które napędzało energię jej poszukiwań (za sprawą wielu rozmaitych zbiegów okoliczności – bariera cenzuralna była tylko jednym z czynników – twórczość Mrozowskiego wiodła żywot utajony tak dalece, że nie znalazło się dla niej miejsce w świetnej skądinąd antologii poezji nowofalowej autorstwa Tadeusza Nyczka *Określona epoka. Nowa Fala 1968–1993*). Problem w tym, że o ile większość rozpoznań dokonywanych w wierszach nowofalowych za punkt odniesienia miała polskie „wydarzenia” lat 1968 i 1970, o tyle powstałe w tym samym okresie poematy *Text* czy *Pakt* Mrozowskiego wydają się ogarniać szerszy wymiar kryzysu,

znajdujący wówczas wyraz w wydarzeniach światowego buntu młodzieży czy to w RFN, czy we Francji bądź w USA. A w szczególności wybrzmiewający w muzyce rockowej, znajdującej swą kulminację w czasie festiwalu w Woodstock, lecz już wcześniej dającej o sobie znać w 1967 roku w Monterrey, o czym po latach napisze Jerzy Jarniewicz: „Rock przedzierał się przez kolejne barykady, stając się muzyką nie tyle pokolenia, ile wręcz epoki, wyłaniając z siebie świeże języki opisu rzeczywistości, także tej alternatywnej. Przyciągał muzyków folkowych, jazzowych i klasycznych, którzy często ku zgorszeniu fanów chwyтали za gitary elektryczne i podłączali się, jak rockmani, do prądu”.

Rock – wówczas grany i kontynuowany w kolejnych wariantach oraz mutacjach – tworzył nowy język idei słowa, w dodatku język uniwersalny, który bez wątpienia stanowi nieredukowalne tło poezji Mrozowskiego. Tak dzieje się – a to jeden z wielu przykładów – w utworze *Kiedy po słonecznej stronie ulicy...*:

Tak, to było jego miejsce w tym barze właśnie,
gdzie podają kiepskie piwo przy dźwiękach bluesa hazardzistów
tych w tym kolejnym barze, gdzie niektóre kobiety pozwalały mi
wypić całą samotność, bez wyjaśnień tańcząc Rhythm&Bluesa:
och,
kiedy umrę, pochowaj mnie w twoim śnie, w prosty balladowy
sposób, po co nam zmęczone karetki tych gumowych pielęgniarzy,
kiedy jesteś ty,
to dobrze,
kiedy bogowie
zmieniają się z nami miejscami od czasu do czasu,
ale zbliżała się godzina, w której wskazówki zegarów oddalają się
od utraconego czasu.

Trafnie też rolę muzyki w tej poezji pochwycił Krzysztof Karasek: „Cage i Stockhausen, Xenakis, Boulez i Nono to byli jego bogowie. Opierając się na ich doświadczeniach, usiłował stworzyć nowy język poezji, którego strukturalnymi przebiegami kierowałaby muzyczność właśnie, łamał składnię, zakłócał porządek logiczny zdań, kierując się jako jedyną zasadą syntaktyczną tym, co słyszał, jakąś brzmieniową intuicją, która nie uwzględniała, a nawet odrzucała zwyczajną semantykę. [...] Dręczyła go postać zdania, która nie prowadziła ku muzycznym przebiegom”. Ale też łączył awangardę muzyki klasycznej

z żywiołem rocka i balladowym rytmem bluesa, co owocowało falowaniem fraz rozbudowanych i krótkich, dźwięczności rozległej i urwanej perkusyjnym biczem. I, co wydawać się może zjawiskiem paradoksalnym, w ten właśnie sposób odzyskiwał w poezji orfejską śpiewność zgodną z nakazami liryki: narracji zaplecionej z dźwiękami liry. Jak pisze znający doskonale meandry antycznej literatury Kubiak, pojawienie się tego typu poezji było w owych czasach istotnym przełomem: „Orfeusz [...], będąc prorokiem, był zarazem poetą, co jest czymś na pewno niższym, ale też mającym swoją cenę. Wiele świadectw uwydatnia tę okoliczność, iż właśnie dzięki cudownej muzyce i śpiewowi tak wzruszył Persefonę, że zgodziła się na wypuszczenie Eurydyki z podziemia. [...] Była to poezja na pewno odmienna od epiki Homerowej. Być może Grecy nieraz rozmyślali o różnicy między obiektywną sztuką epicką a tamtą, nieznaną jeszcze w epoce historycznej, poezją”.

Lirą towarzyszącą poezji Mrozowskiego stała się muzyka XX wieku, jej swoisty mix, który stanowi podkład tych utworów. Ona też sprawia, że język wykreowany w tych narracjach zdolny jest podjąć próbę przezwyciężenia bezwładu czy martwoty tego sposobu mówienia, który Imre Kertész określił mianem języka atonalnego, a który jest „językiem powstałym po Auschwitz”: „Ja, na swój własny użytek, uciekając się do terminu muzycznego, nazywam go językiem atonalnym. Jeśli przez tonalność rozumiemy opartą na pewnym konsensie konwencję jednolitego brzmienia, to atonalność oznacza dezaktualizację tej tradycji i zawartego w niej konsensusu. Kiedyś podstawowy ton obecny był także w literaturze, a oznaczał on system wartości oparty na etyce i konsensie moralnym; to on określał relację, w jakiej znajdowały się zdania i myśli”. W języku atonalnym słowo jest martwe i z tego punktu widzenia teza Adorno, mówiąca, że pisanie wierszy po Auschwitz byłoby barbarzyństwem, jest do pewnego stopnia trafna, choć zdają się jej zaprzeczać wiersze Celana i Różewicza. Niemniej to doświadczenie, wciąż nie dość przepracowane przez następców, zdaje się być jednym z fundamentalnych problemów, z którymi wciąż zmagają się kultura współczesna.

Krzysztof Mrozowski, urodzony w nazistowskim więzieniu, z pewnością do tego właśnie doświadczenia się odwołuje. W notatce *Jak to było z tym Pawiakiem?* daje temu świadectwo: „Dodam tylko, że hitlerowcy urządzili mi chrzest na Pawiaku z całą pompą, z psami, z szampanem w więziennej kaplicy i z księdzem Archutowskim, którego wywlekli z piwnicy. Księdzu udostępnili święte oleje itp. itd., a po skończeniu ceremonii, podczas której Niemcy pili szampana i trzaskali kieliszkami o podłogę, zawlekli księdza Archutowskiego

do piwnicy, tam nałożyli mu zrobioną z drutu kolczastego koronę cierniową na głowę, napoili go octem z gąbki, kopiać, bijąc oraz szydząc, że ma we mnie następcę, po czym wywieźli go do Palmir i rozstrzelali". Jest też swego rodzaju czarnym paradoksem fakt, że człowiekiem, który był dlań *cicerone* oprowadzającym go po „języku idei słowa”, stał się właśnie Heidegger, ten zatem, który był w okresie nazizmu gorliwym zwolennikiem autora *Mein Kampf*, ale też ten, którego po wojnie odwiedził w jego leśnej *Hütte* Celan, zaś komentujący to spotkanie Różewicz zapisał w wierszu:

jakie pytanie
poeta zadał filozofowi
jaki kamień
filozoficzny
leży przy drodze
do leśnej chaty

Cóż, niezależnie od tego, jaki to kamień, Mrozowski jest tym poetą, który go podnosi, wiedząc, że choć na pytanie Różewicza nie odpowie, to może tym kamieniem rzuci.

PIOTR SZEWC

Z powodu i bez powodu (59)

Bez tytułu i daty (LI)

Bieżączka – słowo, którego należałoby zabronić.

Okazuje się, że Adriana Szymańska kibicuje skoczkom narciarskim. Dzisiaj, 9 marca 2020 roku, zapytała mnie, czy odbędą się odwołane wczoraj zawody w skokach. Zwróciła uwagę na pracowitość i osiągnięcia Dawida Kubackiego. Typ urody Kubackiego przypomina jej Roberta Redforda. A ja na to, że dużymi, szeroko otwartymi oczami Dawid Kubacki przywodzi mi na myśl bohaterów prac malarskich Franciszka Maśluszczaka. – O tak – Adriana na to – i żegna się, nim skoczy.

Wtorkowe przedpołudnie 31 marca 2020 roku. Potrzeba drobnych zakupów zmusiła mnie do krótkiej przerwy w domowym odosobnieniu. Wiosna w fazie rozgrzewki, słońce rażno świeci, śpiewają osiedlowe ptaki, ale jest zdecydowanie chłodno. Przede mną, za mną, obok mnie towarzysz koronawirus.

Wraz z koronawirusem i wiosną pojawiło się – zakwitło? – słowo obostrzenia.

Zapytałem Juliana Strykowskiego, czy chciałby pojechać jeszcze do Stryja. Odpowiedział między innymi: „Nie. Wtedy, w 1956 roku, sowiecki Stryj zrobił na mnie koszmarne wrażenie. Jakbym podniósł kamień grobu i ujrzał gniezdzące się w nim robaki. Na próżno szukałem grobu ojca... Cały cmentarz został zaorany, kamieniami z macewot wybrukowano ulice, a mogiły hitlerowcy zrównali z ziemią. Było to brudne, ciemne, małe miasteczko, które niczym nie przypominało mi mojego pięknego Stryja. Skurczyło się, zwęziło. [...] Zostało zaniedbane. Z murów odpadał tynk. Poszedłem do mojego dawnego domu, chciałem zobaczyć dom w Ryńku, gdzie mieszkaliśmy po wyprowadzce z placu Bóźniczego. W progu stała stara Rosjanka i szorowała kocioł. Chciałem

zajrzeć do środka. Rosjanka zapytała: »Czto iszczitie?« »Uże nicziewo« – odparłem. [...] Mówiło się Stryj nad Stryjem. Bez rzeki miasto jakby nie istniało. I gdy podczas mojej wędrówki zaszedłem na brzeg rzeki, stanąłem przerażony. Nie było rzeki. Napisałem gdzieś: »Czas wypić rzekę«. Słowo »czas« ukryło słowo »komunizm« przed cenzurą”.

„Piękno i zachwyt spływają się w pośpiechu” – Julian Strykowski w liście z 12 września 1993 roku do Zbigniewa Herberta („Twórczość” 2020, nr 4).

Ileż razy zdarzyło mi się słyszeć: „to mój ostatni wiersz”, „nie będę już pisał”, „to będzie moja ostatnia książka”. Należało – chyba takie było oczekiwanie – gwałtownie zaprzeczyć, nie dowierzać, zapewnić, że to przecież niemożliwe, w najgorszym razie pocieszyć. Ale mnie podobne zapewnienia wypowiedziane przez różnych autorów mierziły. Więc, nie dość dobrze wychowany, nie zaprzeczałem. I nowe wiersze powstawały, wychodziły kolejne książki tych, którzy wcześniej mówili, że to ich ostatnia... Narcyzm? Kokieteria? Chwila słabości? Nie wiem.

Luzowanie obostrzeń, wymazobus – maj 2020.

Mówiliśmy na nią i nadal mówimy Winusia, to zdrobnienie arcyradkiego i pięknego imienia Wienisława. Urodziła się 8 października 1934 roku, mieszka w Kolonii Sitno. Do tej pory śpiewa – choć w 2020 roku „korona” przeszka-dza – w chórze „Wiarus”. Od moich najwcześniejszych lat w bliskiej mi orbicie jako jedna z kuzynek. Na Czołki przyjeżdżała rowerem, od niej, z Kolonii Sitno, a mieszka na zachodnim skraju miejscowości, to zupełnie blisko. Do Babci zwracała się stryjenko, do Dziadka stryju. Dziadek Winusi, Jakub, był bratem Piotra Twardziszewskiego, mojego pradziadka (ojca Dziadka). Jeszcze jedna, boczna, koligacja: ojciec Winusi i ojciec Władka listonosza, na którego mówiliśmy Siosia, byli braćmi stryjecznymi. Wszystko to skomplikowane, ale chyba pozornie. Kiedyś tę wiedzę miałem jak na dłoni, ale prawie wcale mnie ona nie interesowała, teraz, gdy stała się bezcenna, docieram do niej z trudem. Wzruszyłem się, gdy usłyszałem przez telefon głos ciotki Winusi, i ona się ucieszyła. Jest pogodna, jak zawsze, uśmiechnięta, ale uskarża się na mrowiący ból nogi. Jej syn Andrzej prowadzi duże gospodarstwo, a Joasia, jedna z córek, od dawna mieszka we Włoszech.

Wczesnym rankiem, może o godzinie szóstej, wyznaczona była zbiórka. Zbieraliśmy się, uczniowie klas A i B, na chodniku obok bramy prowadzącej do szkoły. Towarzyszyła mi Mama, chciała zobaczyć, czy szczęśliwie odjeżdżam i pomachać na pożegnanie ręką. Co najmniej raz kierowcą autokaru był tata Eli Zarębskiej, a sam autokar – tego nie mogę być pewny – należał do PKS-u, WZMotu lub POM-u (POM mieścił się niedaleko szkoły, jego kierownikiem był pan Ostasz, ojciec uczniów z naszej podstawówki). Na drogę Mama wyposażała mnie w torbę z wiktuałami i napojami. Ekscytacji było co niemiara. Wreszcie, gdy każdy zajął miejsce, autokar ruszał. Jechaliśmy na kilkudniową wycieczkę. Do Kazimierza Dolnego, Nałęczowa i Puław, do Krakowa, do Warszawy.

ARTUR SZLOSAREK

Notatki do zapomnianych podróży (4)

Zaczernione strony. Spontaniczny remanent

Nikt nigdy nie ukazał mi tak dobitnie czekającej za rogiem przyszłości, czyniąc to z prostotą cechującą największe dzieła sztuki, a przy tym nikt nie dotknął z taką mocą rzeczywistości, jak uczyniła to z postsekularną i faktyczną gracją prostym, choć symbolicznie nacechowanym gestem pierwsza sekretarz Unii Europejskiej Ursula von der Leyen, myjąc ręce przed lustrem i okiem kamery. Nikt też nigdy przedtem nie był tak dobrze przygotowany do objęcia tego odpowiedzialnego stanowiska jak nasza pani o niezłomnej fryzurze i szczerym uśmiechu nie do pokonania, była ministra pracy i spraw socjalnych oraz w chwilę potem minister obrony w rządzie Republiki: w jednej partyjnej osobie. „Amen” – pomyślało mi się, kiedy wybrzmiała muzyka towarzysząca tym ablucjom na miarę Cesarstwa Rzymskiego i końcówce symfonii urodzonego w Bonn kompozytora, nazywanej (bez ironii) „symfonią radości”. Trwało to dwadzieścia sekund do kwadratu i pomyślane zostało jako najbardziej optymalna i rokująca najlepiej biostrategia w walce z dżumą XXI wieku, czyli koronawirusem. Tyle sensu w tak krótkim spocie! Wegetuję od czasów debiutu (trzydzieści dwa lata) w groźnym cieniu państwa, z którego zdążył mnie już wyrzucić Platon z poplecznikami, chociaż przeżyłem w cieniu Kremla Polskę Rzeczpospolitą Ludową; intelektualnie dałem radę, tak myślę, głównie dzięki miniaturowym edycjom Orwella czy wierząc ludziom, których już nie ma (i których za mojego życia, jestem tego pewien, nie spotkam), jak choćby takiego Władimira Bukowskiego. Otrzaskałem się też nieco, podróżując i podpatrując, naśladowując i odrzucając. Przecierałem oczy blaskiem bijącym od żydowskiej narzeczonej, czytałem Vermeera, paliłem z Hannah Arendt i nie chodziłem do chaty „führera filozofii” po błogosławieństwa. Ale okazało się, że monetę złą i tak brałem za dobrą, tkwiąc w mylnym błędzie, który pozwalał mi nie wierzyć na sto procent, że *Seksmisja*, *Wojna światów* albo *Lot nad kukułczym gniazdem* powrócą do nas w innym wymiarze i groźniejszej niż ich świat przedstawiony postaci: i to nie jako farsa, memento, nauczycielka życia, lecz ponure i dosłowne ucieleśnienie parciane, takie dwa razy dwa

równa się pięć, ale się stało. Ano właśnie. Mleko się rozlało, fakt dokonał, Kopernik jest kobietą, dieta wegańska zbawia, kwadratowe koło poszło w ruch i celestialnego odwrotu nie będzie, co najwyżej przyspieszenie. Jednak przed globalną ścianą stanąłem dopiero wtedy, kiedy zadzwoniłem do przyjaciela, aby się podzielić wątpliwościami, lękami i ogólnym napięciem intelektualnym w Berlinie. Mówię mu. Dzielę się. Daję wyraz. A on, że mówię jak antyszczepionkowcy, i że przeprasza, ale kończy, bo musi nakarmić kota. Nie piszę tego, żeby się poskarżyć na los, na banał i samotność (niepotrzebne skreślić), tylko raczej aby dać świadectwo – proszę o uwagę – ciągowi skojarzeń, jaki doprowadził mój brak pomysłu na tekst od czystych dłoni von der Leyen nad umywalką (i Beethovena w głośniku) do wiersza Celana, który przetłumaczyłem ponad dwadzieścia lat temu i opublikowałem w piśmie „NaGłos” z błędem, którą to usterkę wytknął mi niespodziewanie po uroczystej kolacji w gotyckiej piwnicy we Fryburgu Bryzgowijskim Ryszard Krynicki, dwa lata po publikacji. Paul Celan, zgadza się, odwiedził, jak wiadomo, autora eseju *Cóż po poecie?* w Schwarzwaldzie. Bardzo się tym spotkaniem rozczarował i poświęcił mu słynny wiersz *Todtnauberg*, który również tłumaczyłem, notabene, i żeby nie było: dla wymienionego wyżej przyjaciela – zgadza się więc i to, niejako podwójnie. Kolacja ma niewiele do rzeczy, choć ta odbyła się w 1998 roku z okazji Trialogu, konferencji pisarzy z Francji, Niemiec i Polski, na której rozmawiałem prywatnie z Adamem Zagajewskim (nie znałem go przedtem osobiście) o *Szkicach piórkiem* Bobkowskiego, do których trudno nie mieć stosunku jako poeta posługujący się polszczyzną – niewiele do tego ma sam Celan, ale może warto przy okazji o tym spotkaniu wspomnieć. Ryszarda Krynickiego zaś po raz pierwszy widziałem dużo wcześniej: na jego wieczorze autorskim w krakowskim Klubie Inteligencji Katolickiej w „ciemną noc stanu wojennego”. To spotkanie wywarło na mnie, początkującym poecie, ogromne wrażenie, tym bardziej więc zadziwił mnie znakomity poeta i świetny tłumacz Celana tym wezwaniem do tablicy przy wszystkich we Fryburgu – co się też zgadza, bo w takiej konstelacji nawet najprawdziwsza prawda musi zabrzmieć fałszywie. Oto ten wiersz, wprowadzony po latach z błędem:

RESZTA DO WYŚPIEWANIA – kontur
tego, który przez
sierp pisma przełamał się bezgłośnie, na uboczu,
w zaśniewanej przystani.

Pod brwiami
komet
warzy się
masa spojrzeń,
na którą drobna pociemniała wpada
satelita serca
z iskrą
upolowaną na zewnątrz.

– Wargo ubezwłasnowolniona, melduj,
że coś się zdarza, nadal, niedaleko ciebie.

„Czasami wyrzucam sobie, że piszę ciemno, ale kiedy tych ciemności nie można przebić i przez nie się przedostać, kiedy są tylko czarnym murem, to ten mur burzę. Chciałbym, żeby mnie nigdy nie opuściła serdeczność: z nią nawet ciemność można jakoś znieść. Niech więc wiersz pozostanie serdeczny, choć w życiu serce gdzieś się zapodziewa. Mallarmé pisał ciemno, lecz serdecznie, toteż jego poezja, tak szczelnie zamknięta w ciemności, jest jednak owocem umysłu arystokratycznie serdecznego i można odczuć, że trudności z przekazywaniem słów nie wynikają tu z bezsilności i wzdardy, ale że są zawsze niezbędne temu słowu, które próbuje objawić swój Absolut. Obcowanie z Mallarmém było dla mnie jednym z najradośniejszych i subtelniejszych przeżyć, gdyż jego poezja odznacza się pogodnym i głębokim uśmiechem. A szlachetna otwartość i zarazem dążenie do zamknięcia, by móc roztoczyć ochronę nad tym, co Najwyższe, są oznaką poezji dantejskiej. W gruncie rzeczy ciemność poezji to szczególnie stosunek do światła, a tradycyjna postać ślepego Wieszczka ma nas pouczyć: tam, gdzie mieszka światło, nie ma okien – tam trzeba do skrajności wyostrzyć słuch.

Przetrwa jeszcze jakoś poezja w tym naszym przeklętym świecie? Jeśli przetrwa, będzie musiała stać się z konieczności ciemna, żeby przez swoją powściągliwość zaświadczyć o nieuniknionej odrazie do tego, co brzydkie, co nieludzkie, o niezgodzie na dekrety Zwycięzcy, żeby przeciwstawić światu trywialnemu świat ukryty, bagnistemu ulotny. Ciemność wyklucza podejrzenia o skażenie użytecznością, praktycznością, socjalnością, okolicznościowością – jest światem bez brudu, życiem bez grzechu. Kiedy zasiadam do pisania wierszy, uciszywszy wcześniej cały zamęt, czuję, że naprawdę zamykam drzwi

do pospólstwa i zgiełku, do złych duchów, do podłości i nieczystości, a otwieram drzwi inne, wychodzące na czystą noc, nieporanianą przez nóż ludzkiej historii. Jednak ta czysta noc nie przypomina żadnego nocnego krajobrazu, żadnego z tych, które poeci tak bardzo sobie upodobali i którymi zapełnili świat. Jest to noc słowa, odbicie niebiańskiego słowa w tajemnicy ludzkiej, w tym rozbitym i zmaconym lustrze. Im wyraźniejsze jest odbicie słowa z wysoka, tym bardziej słowo na dole ciemnieje. Ta czysta noc nie jest podobna do nocy realnej, co ukazuje się nam między zmierzchem a porankiem jako dziecko mrocznych początków, ma w sobie natomiast – dla mnie, który ją przyzywam i rozpościeram – coś z owej *noche oscura* proroka z Karmelu: jest dążeniem duszy do zespolenia się z Bogiem, do przejścia kolejnych stopni obnażania się, które prowadzą do całkowitego ogołocenia. Gdybym był mgliście j a s n y i przebiegle ł a t w y, powinna mnie spotkać kara za gmatwanie prawdy i rozmijanie się z nią, za zdeprawowanie i porzucenie niewinnej Tajemnicy. A kiedy pozostają uporczywie c i e m n y, wydaje mi się, że unikam zdrady, że nie trwonię słów na błahą wymianę grzeczności, że nie chcę za wszelką cenę utrzymać się na powierzchni”.

Guido Ceronetti, *Poezja jasna, poezja ciemna*,
przełożył Stanisław Kasprzysiak

Ten wiersz, na przykład, napisałem dwadzieścia dwa lata temu. Nie wiem, co z nim zrobić ani do jakiego włączyć go porządku, więc może będzie mu dobrze pomiędzy tymi tekstami. Guido Ceronetti odszedł dwa lata temu. George Steiner przed pięcioma miesiącami.

Jak zmarli, na śmierć zapomniani,
Przychodzą do nas zmyśleni aniołowie –
Mimo że losom otwartym w połowie
Niepotrzebne ironiczne posłowie.

Była sobie raz kropelka, stworzona.
Czarna rzeka, która z ciemności w ciemność ucieka,
Przenosząc z wody do wody pióra, łuski i ości,
Niedokładnie nawołujące się echa.

„Żywy człowiek nie jest w stanie powstrzymać dwóch procesów: oddychania i myślenia. Więcej, dłużej możemy powstrzymać się od oddychania niż

od myślenia (o ile to ostatnie jest w ogóle możliwe). Gdy się nad tym zastanowić, niezdolność zatrzymania myśli, wzięcia wakacji od myślenia narzuca nam koszarne ograniczenie. Wymusza szczególnie despotyczne i niełatwe poddaństwo. W każdej chwili życia, na jawie i we śnie, zamieszkujemy świat przez myśl. Można rozpoznać dwie kategorie w systemach filozoficzno-epistemologicznych, pragnących wyjaśnić i zanalizować to zamieszkiwanie. Pierwsza jest charakterystyczna dla naszej świadomości i świadomości świata jako źródła percepcji *przez okno*. Model ten, zbudowany nieco naiwnie na analogii z postrzeganiem wzrokowym, leży u podstaw każdego paradygmatu rzeczywistości, zmysłowego empiryzmu. Uwiarygodnia wiarę, bez względu na jej stopień złożoności czy rozmycia, w świat obiektywny, w *owo gdzieś tam*, do którego idealnych i materialnych elementów zyskujemy dostęp w drodze świadomego lub podświadomego przekazu, przy wykorzystaniu intuicyjnych, intelektualnych i eksperymentalnych środków. Druga epistemologia jest epistemologią *lustra*. Postuluje całościowość doświadczenia, którego jedynym weryfikowalnym źródłem jest samo myślenie. To nasze umysły, nasza neurofizjologia projektują, co przyjmujemy za formy i substancję *rzeczywistości*. *Rzeczywistość per se* – to niepodważalny aksjomat Kanta – bez względu na swoją istotę jest niedostępna. Nie da się jej udowodnić, wymyka się niepodważalnemu zrozumieniu. Może okazać się zbiorową halucynacją, wspólnym śnieniem. Skrajne, żartobliwie poważne wersje tego solipsyzmu sugerują, że sami jesteśmy *tym, z czego rodzą się sny*, być może śnione przez Demiurga czy wręcz – jak przyjmuje Kartezjusz – demona. Wszelka myśl na temat świata, wszelkie zrozumienie i spostrzeżenia byłyby więc *r e f l e k s j ą , o d b i c i e m , o d w z o r o w a n i e m w l u s t r z e*".

George Steiner, *Dziesięć (możliwych) przyczyn smutku myśli*,
przełożyli Ola i Wojciech Kubiński

Poezja jako grunt pod nogami

Wiersz *Refreny dzieciństwa* Janusza Szubera zamyka mocna strofa:

Dopiero dzięki pisaniu wierszy
poczułem nareszcie twardy
grunt pod nogami

To wskazanie obszaru, w którym można odnaleźć równowagę między życiem realnym a wyobrażonym, między rzeczywistością i fikcją – te obie sfery doświadczenia wzajemnie się uzupełniają, nakładają na siebie. Poezja ta skrętnie zbiera drobiny istnienia, czule przywołuje znikające we mgłę przeszłości przedmioty – słowa domowego języka, czapkę-pilotkę, ślady „na śmierć zapomnianych plemion”. Barokowe bogactwo egzystencji inkrustuje kunsztownymi aliteracjami („Tartaku wytrwały terkot”), składa hołd niegdysiejszej rze-

mieślniczej doskonałości, a wszystko to u progu wejścia w światy innych porządków: w planie doraźnym dotyczy to niezrozumiałej przestrzeni „pocłowieczej ery”, w planie wieczności – „pozaludzkiego” ładu – obie te sfery dopełniają się wzajem, jakoś z sobą rymują. Ale też owo spotkanie *profanum* stanowi zderzenie wykluczających się żywiołów: „W archikatedrze giełdy / Komputerowa msza pontyfikalna”.

Poezja Szubera przynosi gorzką diagnozę człowieczej kondycji. Wiersze nostalgiczne, lecz zarazem niewolne od sarkazmu, odsłaniają ruiny pozornie trwałej budowli: „Więc kamień od kamienia, aby / Na kamieniu kamień nie pozostał”. Spokojne, drążące wątplenie w sens egzystencji przenika te utwory, których poznawczy i etyczny horyzont wyznacza pytanie: „Kto komu [...] / Wieczność nietrwałą jak złamany wachlarz / Opowie krótko prawdomów-

nym wersem?”. To pytanie powraca w różnych wersjach, kształtowanych przez nakładające się na siebie doświadczenia, co znalazło wyraz w wierszu *Z czasu do bezczasu*:

Kto z kim i jak długo.
Kto kogo tu począł. [...]
Tyle razy wydawało się,
że to-teraz
to jest właśnie To,
i to już raz na zawsze.

Ale przychodził
nowy, inny ból,
i To przestawało
być Tym.

Uderza przy tym tajemnica doświadczenia prześwitująca przez pisany wielką literą zaimek: To jest teraz Tym, by po czasie Tym być przestało – jest czymś innym, lecz nadal nienazwanym, skrytym, lecz boleśnie obecnym. Jest czymś, czemu język sprostać nie potrafi, lecz mimo to właśnie w poetyckim dążeniu do przekroczenia ograniczeń zdaje się zaprzeczać tezie mówiącej, że o tym, czego powiedzieć się nie da, o tym, trzeba milczeć. A właśnie wysiłkiem zmierzającym do dania wyrazu niewyraźalnemu jest poezja Szubera. Widać to w cytowanym wierszu, który zdaje się nawiązywać do tytułu wydanego w 2009 roku tomu *Wpis do ksiąg wieczystych*. Mowa tu o sprzedaniu domu zasiedlonego przez dziadków w 1935 roku. Księgi wieczyste bowiem w rozumieniu notarialnym to nie tylko

czy nie tyle „miraż doczesnego ładu prawnego”, lecz przede wszystkim poświadczenie własności – przechodzącej często z rąk do rąk – nieruchomości, a zatem także swoisty zapis historii miejsca. Wpisy do nich to dokumenty potwierdzające objęcie w posiadanie zarówno ziemi, jak i jej dziejów. A i tym przecież bywa poezja, tym od początku jest poezja Szubera.

Cechujący ją ironiczny dystans dotyczy nie tylko przedmiotu jej uwagi, lecz także samej poezji, którą określić można tytułem jednego z wierszy jako „to coś, co zaraz przestaje być sobą”. Dlaczego? Gdyż czytana powtórnie jest już inną poezją. To właśnie jeden z najwyższych walorów twórczości Szubera – jej zdolność odsłaniania wciąż nowych znaczeń, gwarantująca estetyczną skuteczność. W tym znaczeniu wpisują się te wiersze do ksiąg wieczystych tworzących kanon literatury, tyle że ten wpis – wie o tym Szuber doskonale – musi zostać potwierdzony przez Notariusza: póki co, jest „tylko” zamierzeniem, może wyzwaniem, zawsze jednak – przy całym dystansie – efektem wiary w poezję i jej wartość.

W istocie jest to pisarstwo zapisem bycia-w-poezji i bycia-przez-poezję ku temu Nic, które okazuje się rdzeniem egzystencji, o czym mowa w utworze *Koda tamtego wiersza*:

Teraz, kiedy wskaźnik zużycia paliwa mruga,
sygnalizując, że jadę już na rezerwie,
i koda tamtego wiersza wraca,
domagając się uściśleń,
wychodzi na to, iż ból bywa darem,
tyle, że dla kogoś, kto, wbrew wielopiętrowym
perswazjom,
usiłuje się oswoić z nieoswajalnym Nic,
bo wszystko inne, poza tym jednym, znika,
jakby ktoś użył wywabiacza płam.

To liryka filozoficznego, medycyjnego skupienia na przemijaniu, relacja o niepochwytności tego, co przecież do bólu realne. Z tej perspektywy księgi wieczyste – zarówno w notarialnym, jak literackim znaczeniu – to rejestr zdumień i pytań, na które nie ma jednoznacznych odpowiedzi. Można się pokusić o tezę, że utwory składające się na drogę poetycką Szubera tworzą specyficzną, pełną dygresji gawędę liryczną, w której cytowane od czasu do czasu głosy innych, jak choćby „sanockiego fryzjera Orzechowskiego”, który powiada, że „będzie tak jak wyjdzie”, stają się uszczegółowieniem, konkretyzacją wcześniej wyłożonej tezy ogólnej, jak w wierszu *Będzie tak, jak wyjdzie*:

Po co się ludzić?
Mimo najlepszych chęci,
od niepamiętnych czasów
zamiast zmierzać w założonym celu
dryfujemy nie wiadomo w jakim.

Te wiersze, bardzo osobiste, często intymne, tworzą – i kolejny ich wybór zdaje się to potwierdzać – łańcuch epizodów. Epizo-

dyczność zresztą wydaje się stałym punktem odniesienia tej poezji, w której wszelka egzystencja, także status podmiotu, ma epizodyczny charakter. Statek mistyczny, „złoty trójmasztowiec / z praczasów kolonialnych / płynie nieruchomo / po czerwonym morzu // do portu Nigdzie” z wiersza *Statek mistyczny*, pominiętego niestety przez autora w najnowszym wyborze – to też tylko zdarzenie przelotne, przypadkowe, doświadczenie tyleż dojmujące konkretne, co niepochwytnie. Zarazem jest to doświadczenie tyleż jednostkowe, co uniwersalne, które przydarza się innym: „Im, to jest innym *mnie*” (*Kupuję ser, wymieniam olej*). Uwiarygodnienie podmiotu odbywa się więc tutaj przez odnalezienie się pośród innych, w uewnętrznym dialogu z Innym, którego się w sobie odnajduje, którego się odnajduje w braku po kimś, kto odszedł, a w kim pozostaje cząstka tych, którzy go znali lub czytali. Z nimi przyjdzie się spotkać w przestrzeni określonej w wierszu 11.04.2006. *Wasył Machno* jako „krótkie eksterytorialne *teraz*”.

Ważnym problemem tej poezji jest jej zakorzenienie w przestrzeni szeroko pojmowanej tradycji rodzinnej i obszarze równie ważnego pejzażu małej ojczyzny. W puencie sarkastycznego w gruncie rzeczy wiersza *Mgła, Gór Słonnych nie widać*

przeczytamy: „Zaniosło się jak / starej babie na miłość / mawiał ojciec przy takiej / jak dziś pogodzie // kiedy kto nietutejszy / to i nie zgadnie / co się za owym / brudnomlecznym // nic / kryje”. Tutejszość zdaje się być ważnym punktem odniesienia w konstruowaniu tożsamości sanockiego narratora. Ale jest ona pojmowana szerzej, nie tylko jako okolice Sanoka, lecz także w wymiarze ponadrodzajnym, w którym do głosu dochodzą kresowe doświadczenia pochodzącej ze Lwowa rodziny – stąd też w sześciozgłoskowym, stylizowanym i opatrzonym mottem z Wacława Potockiego wierszu *Poszóstnie przez Bieszczad* pojawia się dystych:

Co było – na powrót
chciałbym w „jest” zamieniać.

Jest w tych wierszach dyskretnie obecna tonacja kresowa, przebijająca się bodaj najwyraźniej w toku narracji, w rytmie opowieści przywołujących na pamięć prozę Zygmunta Haupta, w doborze słów co prawda stanowiących jedynie pogłos tamtej mowy, lecz przecież słyszalnej dla wrażliwego słuchacza. Tym bardziej dziwi wyrażony w wierszu *Niczego więcej* dystans – mimo uznania jej wielkości i piękna – wobec twórczości Słowackiego, niemniej jeden fragment budzi sympatię:

Jestem Ci wdzięczny za wywyższenie niepokąźnego w gruncie rzeczy sanockiego zamku i skromnych łągów nadrzecznych w *Zawiszy Czarnym* nazywanych stemem. Patriota lokalny winien paść na kolana i wielbić. Nic z tego. Wystarczy, że mój krajan Marian Pankowski poświęcił Ci dramat *Nasz Julo Czerwony*.

Przyjęcie postawy to trzeci wybór dokonany przez autora i przypomina – ale też dokonuje zbyt surowej ich selekcji – wiersze z lat 2003–2019. Lektura tych kolejnych wyborów nie pozostawia wątpliwości, że jest Szuber jednym z tych poetów, w którego twórczości nakładają się na siebie i przenikają wzajem wielka i mała historia, że to, co lokalne, może mieć wymiar uniwersalny, i że opowieść o świecie – tyleż realnym, co kreowanym – dawkowana w lirycznych monadach poszczególnych wierszy zostaje zharmonizowana za sprawą wciąż na nowo rozwiązywanej zagadki własnej tożsamości, o czym mowa w autotematycznym wierszu *Ten, który palcem wskazuje na siebie*:

No i co z tego, że kładąc się spać,
czułem się jak kiedyś po całodziennym
cięciu i rąbaniu drewna
na opał przed zimą,
skoro nie mogę być tym,
o którym mógłbym powiedzieć:
to jestem ja, od tego należy zacząć.

Leszek Szaruga

Janusz Szuber, *Przyjęcie postawy*. Wybór wierszy z lat 2003–2019, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020

Podróż Kapitana X

Już debiutancki *Vaterland* Tomasa Różyckiego pokazał, że mamy do czynienia z nietuzinkowym poetą, co potwierdziły kolejne cztery zbiory. Ostatnie zaś – *Litery*, wydane w 2016 roku, *Księga obrotów* (2010), *Kolonie* (2006) – to książki wspaniałe, do których warto wracać i czytać je na nowo.

Kapitan X, być może, będzie dla mnie najlepszym zbiorem autora z Opolą, ponieważ tu jest wszystko, co lubię w jego poezji – koncept, wyrazisty i ciekawy bohater, gorzka ironia, gra rytmami i rymami, precyzyjna i znakomita konstrukcja całości, a nade wszystko język – oryginalny, pomysłowy, od razu rozpoznawalny, oscylujący między melancholią a szyderstwem, smutkiem a zabawą, rozpaczą a drwiną.

Na zbiór składa się siedemdziesiąt wierszy, ale książka nie sprawia wrażenia obszernej, przeciwnie – mogłoby być ich więcej. Najkrótszy, *Święta*, liczy osiem wersów, najdłuższy, *W Aleksandrii* – czterdzieści. Piszę o tym dlatego, że wiele utworów z tego tomu (dokładnie – pięćdziesiąt trzy) zbudowanych jest identycznie – z dwóch strof sześciowersowych, z rymami w podobnych miejscach i w tym samym rytmie jedenastozgłoskowca, co mogłoby nieco nużyć, sprawiając wrażenie monoto-

nii, ale są one odpowiednio „porozrzucane”: na przykład pierwsze dwa są właśnie takie, potem jeden inny, znów trzy podobne, ponownie – inny, dalej – cztery identyczne, znowu – inny, i tak dalej. Doceniam warsztat Różyckiego, jego dążność do tego, by konsekwentnie iść tą drogą, pracowicie budować identycznie lub podobnie skomponowane liryki, ale dla mnie jest to chwyt zbyt łatwy, wolę więcej dzikości i szaleństwa w poezji. Można, rzecz jasna, mówić o „wirtuozerii formy”, „doskonałym opanowaniu rzemiosła”, „radości czytania tak precyzyjnie skonstruowanych wierszy”, ale ja opowiadam się za formą „wyobraźni wyzwolonej”, „słów na wolności”, niemal futurystyczną i dadaistyczną nieokiełznaną tkanką utworu lirycznego.

Precyzją formy, rytmu i rymu, a także języka przypomina mi ta poezja twórczość jednego z moich ulubionych poetów – Stanisława Barańczaka. To, oczywiście, wspaniały patronat, można odrzucić z powodzeniem „lęk przed wpływem” i śmiało podążać tym traktem. Różycki ma swoją osobną dykcję poetycką – obaj mają podobny stosunek do materii poezji.

Można ponarzekać na tytuły wierszy – twórca tak pomysłowy jak autor *Kolonii* miewa też i słabsze pomysły. Spójrzmy na kilka z nich i zastanówmy się, czy nie mogłyby

być ciekawsze? *Przeznaczenie, Ogród, Na stole, Pytanie, Wąż, Notatki, Czas, Człowiek, Bóg, Życie, Miłość, Nimfa* – brzmią jak tytuły piosenek z kręgu popularnej „poezji śpiewanej”. Na szczęście większość ma ciekawe tytuły, a te, które wymieniłem, sygnują naprawdę interesujące wiersze.

„Bohater liryczny” tomu, tytułowy Kapitan X, to postać sympatyczna, o której można powiedzieć, że jest *alter ego* autora. To poeta: „A teraz ja, Kapitan Iks flotylli / papierowych ścigaczy, biorę pióro / [...] / i gdzieś wysoko będę mazał znaki, / zawieszając długie łańcuchy literek, / wbijał przecinek, jakbym wbijał haki, / żeby rytm był w bujaniu się pod niebem” (*Niebo*); „[...] Zeszyt – / ilekroć ciało ma potrzebę zgrzeszyć, / będzie na białym czarne smarowało / ślady po wężu, szlak jego ucieczki” (*Bagaż*); „Od tego, co zabierzesz, kapitanie, / ze sobą w kosmos, o wiele ważniejsze / będzie to, co na stole pozostanie – / rozłamane na pojedyncze wersy / resztki poematu: podarte kartki, / zatłkane pióro, [...]” (*Na stole*); „I salutują pułki czarnych liter, / tak, jak je zostawiłeś, kapitanie. / [...] zabrałeś ponoć puentę poematu / [...] i składnia odtąd się nie składa / i rymu szuka na próżno gdzieś w próżni” (*Elegia dla X*). Podmiot liryczny mówi o nim również ironicznie: „Kapitan Iks, naprawdę kawał drania / opuścił nas bez słowa pożegnania” (*Kapitan X*).

Postać sympatyczna, ktoś tak kiedyś napisał o bohaterze opowiadań Stanisława Lema – pilocie Pirxie i do charakterystyki Kapitana X pasuje jak ulał. Skojarzenie zresztą nie bez powodu – bohater wierszy Różyckiego to podróżnik w przestrzeni kosmicznej. Jeszcze jedna, równie sympatyczna postać może zostać tu przywołana – bohater *Dzienników gwiazdowych*, kosmiczny podróżnik – Ijon Tichy. Kapitan X to taki poetycki pilot Pirx i Tichy w jednym – tamci zjawili się w prozie, a ten podobny do nich astronauta – w liryce.

Jak widać z przywołanych fragmentów wierszy, istotnym wątkiem tomiku jest autotematyzm. Różycycki wierzy w poezję, daje temu wyraz w wielu wierszach w tym zbiorze, ufa jej i jest jej bezgranicznie oddany. Dlatego bohater jest poetą – czy Kapitan X to nie sam Różycycki, zwolennik „praktykowania autobiografii”, by przywołać tytuł znakomitej książki Jerzego Madejskiego? Ale Kapitan X to także czytelnik – ty, ja, każdy człowiek. Bowiem najistotniejszym tematem zbioru jest, obok przestrzeni, czas, a nade wszystko – przemijanie i śmierć, która jest głównym wyzwaniem i problemem. I – *horror vacui*, przejmujący i rozdzierający lęk przed nicością, który w wierszach tych ukryty jest pod maską ironii, drwiny, żartu, kpiny, szyderstwa, gorzkiego i czarnego humoru.

Kapitan X zostaje wysłany w kosmos – oto „fabuła” tomiku. Zaczyna się od słów: „Podróżowanie w kosmos się zaczyna” (*Podróż w kosmos*), ale tą wyprawą jest w tym przypadku codzienność, ludzki los, człowieczy żywot. Można również przywołać kontekst *Kosmosu* Gombrowicza – z tym, że ta powieść jest niezwykle „czarna”, ponura, złowieszcza i przerażająca, a wiersze autora *Ćwiczeń z nieważkości* takie nie są na pierwszy rzut oka, są „lekkie i przyjemne”, ale chodzi mi o główną sprawę tych dwóch książek – wszechdobylski i rozszerzający się chaos oraz rozpaczliwe próby, by nadać życiu sens i porządek, podczas gdy zewsząd napiera nicość.

Koncept pomysłu polega na tym, że owa „podróż w kosmos” Kapitana X to nic innego jak śmierć, zniknięcie z tego świata, z naszych miejsc i przestrzeni, odejście w niebyt. Pojawia się pytanie: co zostaje po człowieku po jego śmierci? – pytanie o pamięć i niepamięć, o trwanie i znikanie. Niezwykle ważne są zdania z wiersza *Paradoks*:

Zostanie pustka. O tym paradoksie pamiętaj, lecąc w kosmos. Że jej ciężar pod wpływem czasu drastycznie się zwiększa.

Owa pustka to metafora naszego „bycia ku śmierci”, przemijania, nieustannego odchodzenia, wędrówki do umierania. Kapitan X –

każdy z nas – podróżuje w kosmos, w nicość.

Paweł Tański

Tomasz Różycki, *Kapitan X*, Wydawnictwo as, Kraków 2020

Spójrzcie w Nic

Cioran – rozkład

Po ukazaniu się w 1948 roku *Zarysu rozkładu*, pierwszej książki napisanej przez Emila Ciorana po francusku, krytyk z „Le Monde” wysłał do autora list z następującym stwierdzeniem: „Pan nie jest świadom, że ta książka mogłaby wpaść w ręce młodzieży”. Obawy, jakie żywił ów komentator, nie miały się w przyszłości potwierdzić. Sam Cioran wielokrotnie komentował przypadek chłopaka, którego od samobójstwa odwoła przypadkowo napotkana książka jego autorstwa. Jednak w przypadku *Zarysu rozkładu*, jednej z najważniejszych i najgłośniejszych rozpraw rumuńskiego filozofa, należy zachować szczególną powściągliwość i nie robić z niej prezentu dla niedoszłych samobójców w wieku dojrzewania.

Olśniewający styl pisarski, charakterystyczny znak wszystkich książek Ciorana, w *Zarysie rozkładu* znalazł optymalne zastosowanie. Zakres poruszanych kwestii obejmuje większość problemów,

z jakimi boryka się rasowy sceptyk. W mikroesejach rozprawia się z fundamentalnymi problemami filozoficznymi, które wyznacza tradycja platońska, średniowieczna teologia czy heglowski historycyzm. Na nowo stawia pytania o zasadność metafizyki, podważa sens epistemologii, gani uprzywilejowane miejsce człowieka w hierarchii stworzeń, wreszcie opiewa pankosmiczną acedię – duchowe lenistwo i religijne wypalenie, któremu uległ wszechświat w momencie stworzenia. Programowy defetyzm Ciorana nie pozwala zawierzyć nawet piekielnym mocom szatana – „Księcia Ciemności”. Aktywność „Kusiciela” budzi w filozofie jedynie paroksyzm śmiechu i politowanie. Bezlitosna wierność dla własnego projektu „życia w oparciu o brak sensu jego przeżycia” doszła najpełniej do głosu w *Zarysie rozkładu*. Wszystkie jego późniejsze książki to przypisy do skondensowanej rozpaczki i historii człowieka pozbawionego transcendentnych złudzeń.

Polski przekład *Zarysu rozkładu* doskonale oddaje zmienność i gwałtowność cioranowskiej prozodii. Ta książka brzmi jak suita. Cioran, z maestrią francuskich mistrzów sentencji, zorkiestrował swoje żale, wątpliwości i jady. Nie bez powodu uważa się go za jednego z najwybitniejszych pisarzy języka

francuskiego i aforystów XX wieku. *Zarys rozkładu*, chociaż napisany dużymi blokami tekstu, czyta się jak inskrypcję wyrytą na kamieniu nagrobnym. Kiedy trzeba, porusza się w przestrzeni patosu – tak dzieje się między innymi w ustępach poświęconych naturze melancholii. Jednak błyskawicznie kontrapunktuje swoją słabość do *spleenu* rodem z Baudelaire’a krótkim i szybkim przeglądem trupów, jakie stanowią podwaliny chrześcijaństwa – ulubionego obiektu ataków i furii Ciorana. Tożsamość Chrystusa jest dla niego dowodem dekadencji Boga, który opuścił tron złośliwego i mściwego Imperatora, po czym popadł w tarapaty ciała i zgodził się na „upadek w czas”. Nie inaczej dzieje się w przypadku namysłu nad przyszłością gatunku ludzkiego, który wciąż nie jest skory do abdykacji, mimo że wyczerpał już wszystkie witalne siły i podważył fundamenty własnego istnienia, o czym świetnie uczy historia powszechna. Czułość Ciorana dla wspólnego losu stwórcy i stworzeń daje o sobie znać w krótkim fragmencie: „Na próżno człowiek przetrząsa horyzont: widzi na nim setki i tysiące zbawicieli, ale oni są rodem z farsy i tak samo jak oni szukają pocieszenia”.

Zarys rozkładu jest rodzajem księgi pamiątkowej, do której wpisali się przegrani. Z każdej strony tego

działa wieje pustką, jaka zajęła miejsce pełni obietnic, którymi karmi nas świat. Stąd warto sięgnąć po ten notes rozbitków i czytając, wpisać w nim swoje inicjały, zanim przystąpimy do kolejnej lektury.

Cioran – kapitulacja

Kolejna odsłona epopei zgryzot. *Brewiarz zwyciężonych* zajmuje w dorobku Ciorana miejsce ważne, acz nie centralne. Ta niewielka książka, napisana jeszcze w latach trzydziestych po rumuńsku, wydaje się być przymiarką do *Świętych i łez* (1937), najdostojniejszej pozycji w rumuńskim panteonie jego dzieł. *Brewiarz zwyciężonych* – pomimo że spisany w rozchełstanej gramatyce języka rumuńskiego – zawiera wszystkie elementy, które stanowią o wyjątkowości cioranowskiego stylu, w znaczącej mierze ukształtowanego przez francuszczyznę: lapidarność, punktowość metafory, dbałość o niuans składniowy. Polski przekład Anastazji Dwulit i Magdaleny Kowalskiej błyskawicznie pozwala odnaleźć znajome tony Cioranowskiej lamentacji, którą w sposób brawurowy przyswoił polszczyźnie Ireneusz Kania w swoich pionierskich tłumaczeniach i interpretacjach myśli filozofa.

Brewiarz zwyciężonych to konwulsyjny modlitewnik pisarza, dla którego jakość zadanego mu żywota można porównać jedynie z wszech-

ogarniającą klęską i upadkiem. „Upadli? Wyróżniam trzy ich kategorie: posuwający się do przodu, drepnący w miejscu, cofający się. Mędrzy są bodaj pośrodku, wśród tych, co tkwią nieruchomo”. Cioran nigdy nie krył swojego przywiązania do Marka Aureliusza. Dyskwalifikując w całości jego doktrynę stoicką, żywił wszak ogromny szacunek dla dekadentkich skłonności cesarza. Pociągały go zwłaszcza rozmyślenia Marka Aureliusza o marności w obliczu władania największym z ówczesnych mocarstw. „Być panem jedynie własnej śmierci”, oto co dla Ciorana jest horyzontem własnej myśli. Znieruchomienie w obliczu bezzasadności roszczeń pod adresem Sensu, Boga, politycznych doktryn jest dla niego wariantem dobrego działania, ekwiwalentem sokratejskiej pragmatyki.

Cioran, przybysz z kultury pośledniej, miał zawsze kilka punktów odniesienia dla swoich dociekań: grecki sceptycyzm, historyczne porażki (imperium rzymskie, napoleońska Francja, carat) oraz niechciane dziedzictwo Wołoszczyzny. Syn rumuńskiego popa właściwie do końca swoich dni borykał się z problemem pochodzenia, z ambiwalencją lokacji własnej wrażliwości. Pierwsze poważne syndromy tego procesu odnajdujemy w *Brewiarzu zwyciężonych*. Raz po raz czytelnik natrafia na ustępy, w których Cioran podnosi

rumuńskość do rangi symbolu, który ewokuje wyrażenie z Sensu, historii indywidualnej i zbiorowej. Być Rumunem to znaczy być zmiażdżonym przez nijakość i przygodność bytu. Kondycję Rumuna określa rezygnacja, gnuśność i fatalizm, których emblematem jest samobójstwo pozbawione motywacji heroicznej czy doktrynalnej. Twierdzenie to spokojnie można rozciągnąć na cały ludzki gatunek, zważywszy, że dla Ciorana stanowi on jedynie sumę pojedynczych „odpadków”. W *Brewiarzu zwyciężonych* nie mogło zabraknąć ataków na chrystianizm. Ten jeden z wielkich jego tematów zostaje tu jednak potraktowany nad wyraz łagodnie. Razy zadawane Barankowi sprowadzają się właściwie do negacji Jego istnienia i szyderstw skierowanych w stronę jakości semantycznych Jego nauczania. Filozof skłania się do łagodnej apologii Starego Testamentu, w którym przynajmniej odnajduje bohatera – człowieka zdeptanego przez Boga. Starotestamentowy Bóg, pełen uraz i ludzkich małości, pozostaje dla Ciorana wyzwaniem. Wiele lat później rozwinie ten wątek w fantastycznym portrecie Josepha de Maistre’a i szkicu poświęconym agresywności, która jest warunkiem żywotności religii chrześcijańskiej.

Nad *Brewiarzem zwyciężonych* unoszą się – tak charakterystyczne

dla Ciorana – smutek i cierpienie, których jakość, zważywszy na pobratymstwo kulturowe naszego rejonu Europy i mocno wyczuwalny *spleen*, ogarniający tych „najgłośniejszych”, nie powinna być obca polskiemu czytelnikowi.

Cioran – po Nic

Te dwie ważne książki Ciorana stanowią konieczny kontekst lekturowy dla najnowszej publikacji w przekładzie Ireneusza Kani *Okno na Nic*. Ta zebrana w opasły wolumin publikacja wydobyła się z cioranowskiego archiwum. To archiwalia nie tyle myśli, co porzucanego języka rumuńskiego. Pisane już podczas pobytu w Paryżu *Okno na Nic* wyraźnie zapowiada przełomowy, pisany już po francusku *Zarys rozkładu*. Nosi jednak wszystkie znamiona „rumuńskiego” okresu pisania – jest to okno, które otwiera poetycka metafora kierunkowana w stronę sensotwórczej pozycji Boga, ulubieńca Cioranowskiej ironii. Co może najciekawsze i nieco zaskakujące w *Oknie na Nic* to przepięknie przełożone przez Ireneusza Kanię ustępy poświęcone miłości. Nie ukrywam, że ten trop podjąłem od pierwszej strony lektury i już do końca nie potrafiłem go porzucić. Jak wielką niespodzianką okazują się dla wieloletniego miłośnika Ciorana takie oto fragmenty: „Kto nie poznał owych chwil,

wobec których wszystko, co było w przeszłości i co będzie w przyszłości, okazuje się degradujące, ten nie wie, czym jest miłość. Te doznania, kompromitujące cię wobec nieszczęścia...". Niejednoznaczność, z jaką przystępuje do ogrywania miłosnego tematu w swoich nieznoszących nadziei frazach, bierze czytelnika od razu w cugle wzruszenia. Bo bywa stylistą niezrównanym również, gdy próbuje uporać się z jakąś mikrocząstką wewnętrznej gotowości do przyjęcia miłości, jakiej nosicielkami są rzecz jasna „śmiertelniczki”. Mając w pamięci kongenialny esej Ciorana *Paleontologia*, zdajemy sobie sprawę, że bliźni to dla niego jedynie spionizowane szkielety, niemniej w *Oknie na Nic* wyczuwalna jest pewna czułość, z jaką jest skłonny je traktować. Biograficzne zaplecze każe widzieć w „przedfrancuskim” Cioranie miłośnika wina i kobiet. Widzimy go spacerującego bez celu po paryskich brukach, podobnie jak czujemy pełnię pracy myśli, która za chwilę da światu jedno z najważniejszych świadectw swojej wielkości: *Zarys rozkładu*. Tymczasem *Okno na Nic* stanowi poligon doświadczalny, gdzie podniosły, poetycki język przeradza się w lapidarium, a zwada z Bogiem prowadzi do ducha beckettowskiej redukcji słownika, który już w latach pięćdziesiątych stanowić będzie jego *signum* jako następ-

cy Chamforta. W świetnej edycji Wydawnictwa Aletheia fundamentalna dla mojej wieloletniej lektury Ciorana okazała się strona sto ósma. Sąsiadują na niej dwa aforyzmy, które wyznaczają wektory napięć, wzdłuż których rozciąga się widok z okna na jedno z najpiękniejszych „nic” naszego absurdalnego życia. „Spośród wszystkich naszych zmysłowych doznań najtrudniej znieść wtargnięcie nadludzkiego szczęścia. Dostęp do rajy w każdym momencie...”. A chwilę wcześniej wyrokuję: „Życie to Zmartwychwstanie w Piekło”. I gdzieś pomiędzy musimy zmieścić się z wszystkimi naszymi zgryzotami, które gotuje nam los. Wydaje mi się, że w roku 2020 Cioran brzmi nad wyraz aktualnie. Jestem przekonany, że najnowsza publikacja to jedno z ważniejszych wydarzeń na rynku wydawniczym. A to, co w przekładzie na język polski zrobił Ireneusz Kania, wydaje się nie mieć już miary. Zostaje podziw.

Krzysztof Siwczyk

Emil Cioran, *Okno na Nic*, przełożył Ireneusz Kania, Wydawnictwo Aletheia, Warszawa 2020

Ruiny, popioły i blask

Rozbijał świat na najdrobniejsze cząstki, żeby je uważnie poznawać i badać i jego dzieło w głównej mierze tak właśnie przetrwało – w rozbiciu i napięciu, jakie tworzą duch i myśl, które je scalają i formują. Ułamki, szczątki, okruchy, strzępy, fragmenty, warianty – różnorodne i wspaniale spójne, nie do wyobrażenia i wymyślenia w innej formie i blasku.

Zwiastowanie, Bitwa pod Anghiari, Pokłon Trzech Króli, Wieczera Pańska, Gioconda czy pocięte i dowolnie poskładane rękopisy są tak niezwykłe i cudowne jak świat, który jest idealnie piękny i tajemniczy, skończony i nieskończony. Uczył, że nie ma większej władzy od tej nad samym sobą, a wybór życia samotnego sprawia, że jest się całym swoją własnością – większego daru z siebie być nie może.

Jako pasjonat i arcy mistrz malarstwa występuje w jego obronie, co dla miłośników literatury nie zawsze jest przekonujące: księga z biblijnymi rycinami (*Biblia pauperum*) to jednak nie to samo co tekst. Malarstwo zajmuje się głównie naturą, a literatura to dziedzina myśli i ducha, choć on osłabia to rozróżnienie, twierdząc, że jeśli literatura opisuje działanie ducha, to malarstwo wyraża ducha przez ruchy i mówi, że słowa to są dzieła ludzkie, przechodzące przez język ludzki, jakby nie były od Boga i nie były mocno z Nim związane. Więc raczej na wyrost są efektowne sformułowania jak: „Malarstwo jest poezją, którą się widzi, a nie słyszy, poezja zaś malowidłem, które się słyszy, lecz się go nie widzi”. Ciekawe są zestawienia widzenia z wyobrażeniem we śnie i na jawie oraz działania przedstawianiem z przedstawianiem działania, także opisy znaczenia równoczesności w harmonii, ruchu

w malarstwie, zastosowanego do treści duchowych postaci działających – „Ruch musi odpowiadać treści duchowej postaci”, wyrażać namiętności jej duszy, zapisy o ujmowaniu – „kto za dużo ujmuje, za mało umie i nie jest mistrzem. – Gdyż jeśli o władnął miarami, nie ujmuje, czego nie należy”, o urzędach oka, to jest – ciemności i świetle, ciele i barwie, postaci i miejscu, oddaleniu i bliskości, ruchu i spoczynku, o źródłach malarstwa – „Jako pierwotne malarstwo było tylko linią, która otaczała cień człowieka rzucony przez słońce na mury”, o znaczeniu *perspektywy*, która jest „wędzidłem i sterem malarstwa”, o konieczności samotności – żeby „pomyślność ciała nie psuła pomyślności ducha”, „niech obcuje sam z sobą w rozmyślaniach, bo ostatecznie nie znajdzie pożyteczniejszego towarzystwa”, o kolejności uczenia się – najpierw *perspektywy*, potem miary wszelkich rzeczy i wreszcie z ręki dobrego mistrza, o wpatrywaniu się w mury lub w kamienie – „z podobnymi murami i mieszaninami dzieje się tak, jak z dźwiękiem dzwonów, w których biciu odnajdziesz wszelkie imię i słowo, które sobie wyobrazisz” i podobnie jest z obłokami – „widziałem już w obłokach i na murach plamy, które mnie pobudziły do pięknych wynalazków różnych rzeczy i którym to plamom, choć

były w sobie całkowicie pozbawione doskonałości jakiegokolwiek członka, nie brak doskonałości w ruchach i innych czynnościach”, a także rady dotyczące szczegółów i kształtów, działania krok po kroku, uważności i pilności, nietransponowania swoich wad na tworzone przez siebie postaci, o ocenie dzieł własnych i cudzych, o wyższości dzieła nad sądem o nim, o tym, że uczeń musi przewyższyć swojego mistrza, o doskonałym powietrzu i świetle, o barwach i ich przenikaniu, o cieniach i ich grach, o patrzeniu i widzeniu bezpośrednim i z pamięci, o dwóch rzeczach głównych w malowaniu – człowieku i myśli jego ducha (namiętności). Daje niezwykle opisy drzew, chmur, nocy, morza, burzy, bitwy i potopu i podsuwa inspirujące pomysły – „Opisz okolice z wiatrem i wodą, i z zachodem i wschodem słońca” lub: „Opisz wiatr lądowy i morski, opisz deszcz”.

Ponad pół setki bajek pokazuje, jak w krótkiej i zwartej formie opowiadając o drzewach, krzewach, owocach, kwiatach, murach, kamieniach, ludziach, wodzie, ogniu, rzeczach, zwierzętach, rybach, ptakach i owadach, pożytecznie mówić o rzeczach ważnych – o skutkach litości, złudzeniach i oczekiwaniach, fałszywych blaskach, podszeptach wyobraźni i ich realności, pozorach i ich skutkach, zmienności losu, pysze

i skromności, ćwiczeniach i bezczynności, ochocie i pokucie za nią, przyczynach i wynikających z nich zdarzeń, złudzeniach i stanie faktycznym, zagadkach i niedocieczeniach, przywidzeniach, głupocie i błędach nie do naprawienia, zaspokajaniu swoich zachcianek i łatwowierności, zaplątaniu się we własne sidła, działaniu na krótki dystans i poczuciu bezkarności, winie i karze, zaślepieniu i zacierzewieniu, czynieniu drugim tego, co sobie jest niemiłe, mierzeniu sił na zamiary, pożytkach z pokory, zaśłudze i zapłacie, pożądaniach i szkodach, złym towarzystwie i zniszczeniu, ciernistej drodze do dobrego, dumie i rozzarowaniu.

Zwierzyniec zawiera krótkie dydaktyczno-moralne zapisy o zależnościach i odniesieniach w postępowaniu zwierząt i ludzi. Czytamy o miłości cnoty (skowronek), zawiści (sęp), wesołości (kogut), smutku (kruk), spokoju (bóbr), gniewie (niedźwiedź), wdzięczności (dudki), chciwości (ropucha), niewdzięczności (gołębie), srogości (bazyliszek), szczodrości (orzeł), karze (wilk), pochlebstwie, czyli przymileniu (syrena), przezorności (mrówka), szaleństwie (byk), rozumieniu sprawiedliwości (królowa pszczół), prawdzie (kuropatwy), wierności lub oddaniu (żurawie), fałszu (lis), kłamstwie (kret), sile (lew), strachu, czyli tchórzostwie (zając), wielkoduszności (sokół),

żądzy chwały (paw), stałości (feniks), niestałości (jaskółka), umiarkowaniu (wielbłąd), nieumiarkowaniu (jednorożec), pokorze (owca), pysze (sokół), wstrzeźliwości (dziki osioł), żarłoczności (sęp), czystości (turkawka), chutności (nietoperz), umiarkowaniu (gronostaj), sławie (lumperpa, ptak bajeczny), wielkiej miłości do potomstwa (pelikan), cnocie (salamandra), życiu w jednym (ryba Alep), wyżynach i łasce (kameleon), symbolu bronni (struś), słodkim śpiewie w chwili śmierci (łabędź), śpiewie podczas płomiennych skwarów (świerszcz), symbolu występku (nietoperz), zewie natury (kuropatwa), cudzie natury (jaskółka), umiarkowaniu (gronostaj), okrucieństwie (bazyliszek, żmija), zemście (smok), obłudzie (krokodyl), nieprzyjaźni cnoty (ropucha), cnocie w ogólności (gąsienica), przyczynie i skutku (pająk), tajemnicach ducha (lew), ukąszeniu (tarantula), karze (sowa), zaradności z natury (słoń), jedności (smok), wielkiej odwadze i strachu (lew), kamuflażu (pantera afrykańska), przestrzeganiu prawidła i miary (wielbłąd), podstępnie natury (Ceraste i Amfiesibene), zemście (padalec), samoleczeniu (ibis, jeleń, jaszczurka, dzik, wąż, kruk), desperacji (pantera), ironii losu (kameleon), cenie wolności (szczygieł), miłości, lęku i czci (żuraw), przewidywaniu (kogut, papuga). Są tu scenki jak z teatru absurdu, hiperbole, silne

uczucia i emocje, jasności i niepewności, frapujące rozróżnienia, parbole (patrz: *Kłamstwo*, o krecie), odniesienia wielości do jedności, dwuznaczności i niejasności, paradoksy, puenty i ich brak, tajemnicze zdarzenia i okoliczności, zagadki natury, odwołania i aluzje, fantazje, znaki zapytania i wykrzykniki, morały i amoralne pasáže, horror przypowieści i niemal przypowieści, podobieństwa i przeciwieństwa, sugestie, przemilczenia i milczenie.

W *Proroctwach* jest jeszcze bardziej niejasny i tajemniczy – zespolony z naturą i rozłączony z nią, osobny. Szczególnie fantastyczne są te zapisy z pozoru proste, arcy-realistyczne, choć te nierealistyczne robią nie mniejsze wrażenie, a także te mieszające się ze sobą – o cieniu, śnie czy kościach człowieka. Zaskakujący jest zapis o widzeniu ruin w niebie. *Per analogiam* opowiada o orce, nasionach, siejbie, młótcie, także kotach, mułach, osłach, wołach, owcach, krowach, kozach, pszczołach, mrówkach, muchach, puchaczach i sowach, rybach i ślimakach. Bez umieszczonych w nawiasach tytułów nie pojmiemy takich wspaniałych, bardzo realistycznych fragmentów jak: „Zstąpi z szaleńcem na ziemię ten, który nam da pokarm i światło”. „Umarli wyjdą spod ziemi i dzikimi swymi ruchami wyżeną ze świata niezliczone stworzenia

ludzkie”. „Wielu, których przedtem zniszczył ogień, odbierze wolność mnogim ludziom”. „Widzieć się będzie wysokie mury wielkich miast pod i nad rowami swoimi”. „Ciała bez duszy same przez się będą się poruszać i nieść z sobą niezliczone pokolenia zmarłych, zabierając bogactwa okolicznym żyjącym”. „Będą czczone i poważane i z szacunkiem a z miłością słuchane przepisy tych, których wpięrowano, rozdzielano i dręczono licznymi i różnymi uderzeniami”. „Ruch zmarłych zmusi wielu żywych do ucieczki wśród bólu, płaczu i krzyku”. „Wielu zajętych będzie pracą, by odejmować tej rzeczy, która tem większą będzie, im więcej jej się ujmie”. „Ludzie mówić będą z ludźmi, którzy nie będą słyszeć i którzy będą mieli otwarte oczy, a nie będą widzieć; będą mówić do nich, a nie otrzymają odpowiedzi; będą prosić o łaskę tego, który ma uszy, a nie słyszy; będą świecić temu, co jest ciemny”. I na koniec, z rozszefowaniem: „Pióra wzniosą ludzi, jak ptaki, ku niebu: – to jest przez pisma stworzone piórami”.

Wreszcie – *Aforyzmy*, błyski jego myśli i duszy. W ich zwięzłości i prostocie widzimy, jak w niewielkiej liczbie słów ważne jest każde z nich, każdy znak i każde przemilczenie czy choćby zawieszenie głosu. Jak można je wielorako rozumieć, w zależności na przykład od do-

świadczenia: „Dzieło jest tym, co jako pierwsze powstaje ze związku”. „Jeśli przedmiot kochania jest podły, podły staje się ten, który kocha”. „Dotarłszy do ukochanego, kochający znajduje w nim odpoczynek”. „Każde nasze poznanie zaczyna się od uczuć”. „Każdy człowiek zawsze znajduje się pośrodku świata i pod środkiem jego półkuli i nad światą tego ośrodkiem”. „Zmysły są ziemskie, w chwili kontemplacji rozum jest poza nimi”. „Namiętność ducha odpędza rozpusztę”. Szczególną uwagę zwracają fragmenty o młodości, starości i pokarmie, o śnie, życiu i śmierci czy o mieszkaniu ciała i duszy.

Kto ćwiczy się w lakoniczności, zobaczy, jak cudowna jest zwięzłość i powściągliwość Leonarda. Na przykład – po śmierci ojca zapisuje tylko dwa krótkie zdania, ale ile w nich jest, także o nim, choć o sobie nie mówi prawie nic. I jak wspaniale w tym lapidarium gra to wszystko, co nie jest bezpośrednio powiedziane czy zasugerowane, jak łączy i spaja się ze sobą niczym jawa i sen, dzień i noc, światło i ciemność, wschód i zachód. W czasach internetowego tokowania widzimy, jak trzeba cenić słowo i w jego świetle człowieka – siebie i odbiorcę. Podziwiamy to mistrzostwo, które niemożliwe jest bez talentu, ćwiczeń, siły woli i charakteru. Z różnaitości i różnorodności kształtów, zarysów i możliwości

wybiera się zawsze jeden, najlepszy, to znaczy mistrzowski, zaczynając od szczegółów, a kończąc na „rozważaniu miejsca i okoliczności, światła i cienia”. Są to proste i bardzo skomplikowane sploty, które mogą wprawić w osłupienie – „dodawaj i ujmuj tyle, byś zadowolili siebie [...] i bacz, by w miarach i wielkościach podporządkowanych perspektywie nic nie dostało się do dzieła, co by nie było doradzone przez rozum i efekt natury: i to będzie droga, na której sztuka twa przyniesie ci zaszczyt”.

Krzysztof Myszkowski

Leonardo da Vinci, *O malarstwie; Bajki; Zwierzyńiec; Proroctwa*, wybór i przekład Leopold Staff; *Aforyzmy*, wybór, wstęp i przekład Jarosław Mikołajewski, Wydawnictwo Austeria, Kraków – Budapeszt – Syrakuzy 2019–2020

Kalambury i rozbieranie świata

Piotr Matywiecki to poeta, który konsekwentnie zagląda we własną tożsamość. Uprawia przy tym rodzaj zabawy. Najpierw wiersz przyjmuje różnaitość elementów. Potem pozwala się działać podmiotowi, który każdą z tych rzeczy testuje, a następnie sprawdza się, w jakim kształcie „ja” przetrwało.

Naturalną przestrzenią większości tych utworów jest miasto, które mieni

się barwami i zdarzeniami. Pełno w nim osób, historii, wspomnień. Pośród przedmiotów nietrudno odnaleźć obserwatora i uczestnika, człowieka żadnego wiedzy, a jednocześnie trochę czarownika, który zawsze powraca tam, skąd wyruszył. Ten bohater przegląda się w zastanych sytuacjach i sam je wywołuje. Ale często wybiera je wprost z przeszłości, ze starych doniesień i ogłoszeń, z dawnych stanów emocjonalnych, które się pamięta i nakłada na teraźniejszość. Taki podmiot egzystuje to tu, to tam – a najczęściej zwyczajnie umyka. W tym zbiorze odnajdziemy dużo takiego „umykania”, które jednak, paradoksalnie, można traktować jako próbę zmierzenia się z ważnymi pytaniami o tożsamość i konkret. Poeta ogląda się w aranżowanych rolach i wnętrzach, podsuwając gorzką refleksję o niestabilności podmiotu, jego płynności i – być może – nieautentyczności. Ilu poetów jest w tym jednym tomie? Ilu autorów, właścicieli doświadczeń? „Przerwana granica między mną a mną. / Przechodzą wszyscy inni”. Czytamy tę skargę jak odkrycie – własnej obcości i wielości („wielość” to tutaj słowo-klucz).

Szukanie samego siebie łączy się z dzieleniem rzeczywistości na części, a nawet oddzielaniem rzeczy od ich atrybutów. Jak z „chmurami”, które są czymś innym niż „chmurne miejsce”, tak jak czymś innym są „szary kolor”

i „szarość”. Dzięki takim zabiegom można rzeczy ekstrahować, by potem je łączyć i mieszać, szukając nowych wrażeń, przypadkowych, ale prawdziwych. Bo podmiot Matywieckiego to również wielki eksperymentator, próbujący i wciąż ciekawy efektu. Stąd te zabawy z rozstawianiem luster i poszukiwaniem siebie, a nawet z naiwną, *quasi*-dziecięcą konkluzją: „widzę jak mnie nie ma / wokół mnie”. I wcale nie jest pewne, czy tego kogoś w istocie tam nie ma, skoro istnieje „ja” – lustro, co odbija pytania w odpowiedzi. Obecność lustra budzi niepokój i tęsknotę za stałością. Ale ten proces działa też inaczej, oparty jest na rozpoznawaniu siebie tam, gdzie to nieoczywiste i dlatego zdumiewające: „Jaki jest dzisiaj świat pojedynczego człowieka?” – pada pytanie.

Czyli ciągły proces i niewiedza, błędne koło, ale też radość odkrycia. Szukanie człowieka „między rzeczami”, w centrum i na granicach, w sobie i poza sobą, wszędzie i nigdzie? Nieoczywistość podobnych pytań jest dojmująca. Dotyczy zarówno człowieka, jak i tego, co wokół. Miasto poety to przestrzeń pozorów, gdzie – jak w bajkach – żyje „wielopostaciowy sobowtór”. Owszem, autor stara się ukonkretnić swój przekaz poprzez opisy pory dnia i roku, ale w rzeczywistości za rogiem czai się wszystko inne, zaskakujące i niezmierzone. Jest i nie jest jednocześnie. To konstata-

cje przykre, a równocześnie szalenie uspokajające. Nie są oparte na jakimś przekonaniu, ale wciąż dojrzewają.

Autor wie, że zdarzeniom nie należy ufać. Świat zmienia się zbyt szybko. Zmieniają się słowa – ich kształt staje się inny, niby-koślawy, ułomny. Poeta opracowuje nowy eksperyment. Kolejną próbę odwrócenia biegu rzeczy. Jak u przywołanego w jednym z utworów Chlebnikowa – powstaje język nowy, który przynosi szansę na to, by podejść bliżej, zrozumieć więcej. Poezja Matywieckiego to słownik kalamburów, znaczeń podstępnych i nieoczywistych. Połączenia słowne ulegają tu rozerwaniu w konkretnym celu. Chodzi o to, by zrozumieć. To dość odważne posunięcia, ponieważ takie zrywanie połączeń, bez dawania czegoś w zamian, nierzadko kończy się źle.

Na szczęście otrzymujemy tu wiele prób ponownego urządzania świata i budowania nowych znaczeń. Mówi o tym najbardziej hermetyczna i tajemna część książki, która – by posłużyć się wyjętym z innego kontekstu cytatem – „czarodziejskość przeplata z codziennością”. Zaczyna się to wszystko od usuwania konkretności i realności. Innym etapem jest wprowadzenie zaprzeczeń i paradoksów, również tych, które dotyczą pomiaru czasu (jestem – nie jestem, urodziłem się – nie urodziłem się, umarłem – nie umarłem, „wszędzie jest nasze nigdy”

itp.). W ten sposób oczyszczony teren poddaje się nowej interpretacji, choć nie od razu pełnej i skończony. Wiersze Matywieckiego bywają nadrealistyczne czy pozarozumowe, ale tylko dlatego, aby pozbawić rzeczywistość wytworzonych wcześniej połączeń. To „nadrealizm dla pożytku”, stadium „rozbierania świata” z jego stałych cech i przywilejów. Po tym zabiegu dochodzi do świadomego zagęszczenia obrazów, zonglowania znaczeniami, próbowania. W nowej rzeczywistości rodzi się pytanie: „kto w mojej niepamięci / jest świadkiem moich zapomnień”. Takie dziwne, nieco „obce” konstrukcje pozwalają płynnie poruszać się między zdarzeniami i dla takiego ruchu nie ma drzwi zamkniętych.

Poezję Piotra Matywieckiego cechuje wysoki stopień autoteliczności w tym sensie, że wszystkie sygnalizowane problemy dotyczą podmiotu i wiernie podmiotowi służą. A są one niebagatelne i zawsze znaczą więcej niż mniej. Ciągła konfrontacja z otoczeniem, a zarazem jego głęboka analiza powodują, że „ja” bywa niespokojne. Dopytuje o filozofię percepcji, zasadę przypadkowości i porządku. Tworzy świat wystarczająco bogaty, ale też wciąż się kształtujący, niegotowy. I taki właśnie – tu zataczamy koło – najlepiej autorowi pasuje, ponieważ zbiera wszelkie nowe formy: w języku, obrazach, wykładni.

Co prawda, poeta wiele ryzykuje, kreacja odbywa się na różnych polach, gdzie łatwo o pogubienie sensów. Jednak finalnie okazuje się, że dzięki tym wszystkim próbom i najazdom podmiot nabiera odwagi, nic nie jest mu straszne, potrafi „poruszać się” nawet w najbardziej niesprzyjającym środowisku. Zawsze ciekawy siebie, bezustannie ingeruje w najmocniejsze sploty rzeczywistości i ustala ich nowy kształt. To podmiot aktywny, zaskakujący, drażniący i natarczywy, dla którego każda reakcja jest wyzwaniem.

Jakub Beczek

Piotr Matywiecki, *Wszyscy inni*, Instytut Mikołowski, Mikołów 2019

To, co naprawdę

Ten tytuł *Manual*. Jaki piękny! Jak obiecujący! Dotrzymujący słowa.

Bo w istocie powołaniem i powinnością artysty i „badacza” m ó w i e n i a powinno być dotrzymywanie słowa.

Bliskie to Norwidowskiemu odpowiedniego dawaniu rzeczy słowa, ale nie o efektowne analogie chodzi w tych moich wstępnych westchnieniach nad zbiorem felietonów i szkiców Krzysztofa Siwczyka.

Wielość klawiatur, sugerowana przez *Manual*, pod palcami autora tej fascynującej książki daje współbrzmienia tak radykalnie konieczne,

że niemal natychmiast chwyta się ich tonikę i dominantę.

Wskazując półzartem muzyczną proweniencję, mam jednak w pamięci zdania z końcowych stronic książki, gdzie manualność zostaje skonfrontowana z całkiem innym uzusem, a sam autor mówi o sobie: „Jestem zjadaczem kartofli, mamutem epoki manualnej, reliktem czasów książkowych”.

Autoironia nie jest tutaj kokieteryjnym chwytem. Raczej ustaleniem pozycji – nie tyle obserwatora, ile współuczestnika „przebytu” aktualnie „epistemologicznej” rzeczywistości w latach 2013–2019.

Felietony i szkice zawarte w tej książce są właściwie – niemal wszystkie – diagnozami objawów idiotyzmu i obłądu, nielitościwie władających naszą Rzeczą Pospolitą, czyli nami – bez wyjątku (choćbyśmy nie wiem, jakie emigracje wewnętrzne i zewnętrzne wybierali). Są nimi (tymi diagnozami) przez konfrontację z lekturą prezentowanych przez Krzysztofa Siwczyka książek, a także przez postawienie nas (osobnych i społecznych) niejako twarzą w twarz z admirowanymi przez niego bohaterami uporczywie cierplivej pracy ducha i umysłu w odzyskiwaniu „tego, co naprawdę”.

Mamy w *Manuale* czułe portrety osób widzianych w błysku serdecznego podziwu, wdzięczności i tkliwego szacunku. Tak widzimy, przechodzącą

przez ulice Gliwic, fotograficzkę Zofię Rydet, innego jeszcze fotografika niekłamanej faktyczności Jerzego Lewczyńskiego, bohatera frenetycznej stypy – ciotecznego brata Marka Hłaski – Andrzeja Czyżewskiego, utajonego w swojej intensywnie promieniującej osobności, poetę i wspaniałego tłumacza Andrzeja Szubę, czule radykalnego poetę, prawdziwie niepodległego człowieka, Zdzisława Jaskułę, Pana Henryka na wózku inwalidzkim ze swoim „jako tako”, przedstawionego przez autora jako „mój czytelnik”...

Ale przenikliwy portrecista pokazuje nam też karykaturalne sylwetki prominentów – podobizny uchwycone, jak w japońskiej czy chińskiej sztuce bezbłędnej kaligrafii, przez trafne muśnięcie pędzelkiem. Jak choćby ten konterfekt niegdysiejszej gwiazdy rządzącej partii, jednego z tak zwanych „młodych”, nazywanego „złotoustym Adamem”: „Ot Polak na wakacjach. Zmyślny Polak, po szkodzie budżetu sejmowego, próbujący trzymać pion niczym Giordano Bruno na Campo di Fiori. Postawa lekko kuczna, ale wola pionizacji wielka. Determinacja, z jaką poseł próbuje zwalczyć kompletną banie, to podstawowy przymiot całej jego kariery politycznej. [...] facet w sile wieku, młody byk, atakuje niewidzialnego torreadora, podtrzymywany dyskretnie przez niewiastę”.

Manual niekoniecznie jest książką, która pretenduje do sfery diagnoz i prognoz społeczno-politycznych. Jest przede wszystkim wrażliwą relacją i czułą interpretacją człowieczych rozpoznań literatury (głównie poezji), wtopionej w osobisty los i powinność bycia wśród innych, stanowiących zbiorowość, społeczeństwo, naród... I w tym sensie mogą ją jednak stawiać obok książek, które nazywano niegdyś „mądrościowymi”, traktując jej społeczno-polityczny temperament jako zarazem *differentia specifica* i *genus proximus*.

Czytani przez Siwczyka poeci Nowej Fali: Barańczak, Krynicki, Zagajewski, Kornhauser – to nie „odnowiona” przeszłość, ale żywotna „rówieśniczość” bycia w tym samym żywiole odczuwania dolegliwej tutejszości i erozyjnych żłobień tego samego kołatka etyki.

Podczas mojego pisania niniejszych zwierzeń z „manualowego” koncertu na *theatrum* polityki spełniają się najgorsze prognozy, dające się odczytać z poetyckich prorocत्व. Naczelny inscenizator (bez uprawnień reżyserskich) „stawia” – jak to się kiedyś mawiało po rosyjsku o reżyserowaniu: „postawić *piesę*” – na swoim. Wbrew prawu, wbrew elementarnym zasadom przyzwoitości. Inszenizuje wybory prezydenckie z dezynwolturą prestidigitatora. Bez względu na oczywiste odstępstwa od

wcześniejszych (absurdalnych) deklaracji. W pozorowanych ustępstwach utwierdza swoją niepokonalność.

Wracam na stronę siedemdziesiątą szóstą, do wstrząsających *Egzorcyzmów.pl*, gdzie odnajduję zapamiętane zdania: „Władza nie jest dziś niczym innym niż aparatem urzędniczym. Każda próba dodania sobie sensów jest zwyczajnym infantylizmem. Wiadomo, że dzieci są bezwzględne. Zwłaszcza te stosunkowo już stare, którym trauma zdarzyła się pod koniec życia. Prezes jest przecież rodzajem mściwego dziecka, obrażonego na świat za krzywdy, których ten świat się na nim dopuścił. Ale nie on jest tu w sumie problemem. Problemem są polskie władze. Te obecne i te poprzednie zawsze miały o sobie wygórowane zdanie. Urzędnicy obsadzali się w jakichś innych i niepasujących do nich rolach. Mieliśmy więc prezydenta, który lubił dać w gaz na cmentarzach, był też taki, który gustował w awangardowej polszczyźnie, zaliczyliśmy również miłośnika polowań. Ten obecny z kolei nie bywa na bani, mówi poprawnie, ale i tak plecie komunały”.

Pozwalam sobie na długi cytat, myśląc, że zamiast pisać o książce Krzysztofa Siwczyka, powinienem był rozdawać jej egzemplarze, jak pewna posłanka (europosłanka?) rozdawała biało-czerwone maseczki w dniu pandemicznego święta flagi. Choć

taka analogia mogłaby w pewnym sensie uwłaczać demaskatorskiemu i niemanifestacyjnemu *Manualowi*. Niemanifestacyjnemu, ale będącemu manifestem. Osobistym manifestem obywatelskiej powinności bycia w społecznej zgodzie z tym, co wskazuje detektor sumienia. Jako „to, co naprawdę myślisz”.

Czytając *Manual*, wiele konkluzji z Siwczykowych lektur odnoszę do jego własnej książki. Na przykład, kiedy w *Sztucznym oddychaniu* Stanisława Barańczaka (z 1974 roku) uwydatnia owo przejście w najtrudniejszą perspektywę osobistą. „»Ja«, które dokonuje brutalnej wiwisekcji, okazuje się ściśle demokratyczną etyką odpowiedzialności [...]”. Tym właśnie jest (dla mnie) książka Krzysztofa Siwczyka – uprzytomnieniem osobistego rachunku sumienia w poczuciu ściśle demokratycznej etyki odpowiedzialności.

Bogusław Kierc

Krzysztof Siwczyk, *Manual. Felietony i szkice z lat 2013–2019*, Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury w Poznaniu, Poznań 2020

Théodore Agrippa d'Aubigné (1551–1630), poeta i wojownik, jeden z największych barokowych poetów francuskich, autor *Les Tragiques* – epepei w siedmiu pieśniach; przekładali go także m.in. Leopold Staff, Mieczysław Jastrun, Jerzy Zagórski i Seweryn Pollak.

Jakub Beczek, ur. 1976 w Żyrardowie, literaturoznawca, autor wierszy i recenzji, edytor listów Edwarda Stachury; ostatnio opublikował *Teraz oto jestem. Edward Stachura we wspomnieniach* (2020). Mieszka w Warszawie.

Leopoldo Castilla („Teuco”), ur. 1947 w Salta (Argentyna), poeta, prozaik, eseista, publicysta, aktor teatrów lalkowych; autor około trzydziestu książek, w tym dwóch antologii poezji argentyńskiej; tłumaczony na angielski, francuski, włoski, niemiecki, portugalski, szwedzki, turecki, macedoński, chiński i rosyjski.

Stefan Chwin, ur. 1949 w Gdańsku, prozaik, eseista; profesor Uniwersytetu Gdańskiego; ostatnio ogłosił *Srebrzysko. Powieść dla dorosłych* (2016) i *Opowiadania dla Krystyny* (2018) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2010 nr 3 (67) i 2016 nr 4 (92)]. Mieszka w Gdańsku.

Aleksander Fiut, ur. 1945 w Żywcu, historyk literatury, eseista, krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; ostatnio opublikował *Po kropce* (2016). Mieszka w Krakowie.

Bogusław Kierc, ur. 1943 w Bielsku-Białej, poeta, krytyk literacki, aktor, reżyser; ostatnio opublikował tomiki *O rytmach albo wierszach stałych* (2019) i *Osa* (2019). Mieszka we Wrocławiu.

Samantha Kitsch, rok i miejsce urodzenia – autor/autorka nie podaje, zajęcie – autor/autorka nie podaje; ostatnio opublikowała

zbiór wierszy *siedmiu złodziei* (2019). Miejsce zamieszkania – autor/autorka nie podaje.

Ryszard Krynicki, ur. 1943 w Sankt Valentin (Austria), poeta i wydawca; autor tomów poetyckich, tłumacz poezji niemieckojęzycznej, m.in. Paula Celana, Georga Trakla, Nelly Sachs; edytor tomów wierszy m.in. Zbigniewa Herberta i Wisławy Szymborskiej; ostatnio opublikował przekład wierszy Hansa Magnusa Enzensbergera *Spotkanie innego rodzaju* (2019) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2013 nr 2 (78)]. Mieszka w Krakowie.

Sebastian Kudas, ur. 1978 w Krakowie, rysownik, ilustrator, scenograf „Piwnicy pod Baranami”; redaktor książek Wisławy Szymborskiej, ostatnio – *Najlepiej w życiu ma Twój kot* (2016) i kurator wystaw jej poświęconych: „Szufłada Szymborskiej” w Muzeum Narodowym w Krakowie i „Szymborska – wyklejanki”. Mieszka w Krakowie.

Antoni Libera, ur. 1949 w Warszawie, pisarz, tłumacz, reżyser; ostatnio opublikował *Jeszcze na Ziemi, na to rady nie ma! Dialogi o teatrze Samuela Becketta* (wraz z Januszem Pydą OP) (2015, 2018), nowe przekłady *Tragedii Sofoklesa* (2018) i *Tragedii Racine'a* (2019) oraz *Godot i jego cień* (2019) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2019 nr 1 (101)]. Mieszka w Warszawie.

Anna Matysiak, ur. 1967 w Giżycku, autorka prozy i wierszy, prowadzi Wydawnictwo Convivo; ostatnio opublikowała prozę *Spacja. Notatnik redaktorki* (2019) oraz tomiki wierszy *Tiergarten* (2019) i *Wsobne maszyny* (2020). Mieszka w Warszawie.

Krzysztof Myszkowski, ur. 1952 w Toruniu, pisarz; ostatnio opublikował *Puste miejsce* (2018),

W rozmowie (2018), *Punkt wyjścia* (2019) i *Pułapkę Becketta*, z Markiem Kędzierskim (2020). Mieszka w Toruniu i w Bydgoszczy.

Jean Racine (1639–1699), jeden z największych dramatopisarzy, autor *Fedry*, *Bereniki* i dziesięciu innych tragedii, ostro potępianych przez mistrzów Port-Royal, których był wychowankiem; pod koniec życia, pojednany z nimi, napisał *Estereę* i *Atalię* oraz pieśni żalu i skruchy *Cantiques spirituels*; przekładali go m.in. Juliusz Słowacki, Julian Ursyn Niemcewicz, Tadeusz Żeleński (Boy), Leszek Kołakowski i Antoni Libera.

Krystyna Rodowska, ur. 1937 we Lwowie, poetka, tłumaczka, eseistka, krytyk literacki; ostatnio opublikowała przekład *W poszukiwaniu utraconego czasu* Prousta (tom I – 2018, tom II – 2020) oraz wybór wierszy *Nic oprócz O* (2019). Mieszka w Warszawie.

Krzysztof Siwczyk, ur. 1977 w Knurowie, poeta, eseista; ostatnio opublikował *Mediany* (2018), *Bezduch* (2018) oraz *Manual. Felietony i szkice z lat 2013–2019* (2020). Mieszka w Gliwicach.

Ewa Sonnenberg, ur. 1967 w Ząbkowicach Śląskich, autorka wierszy i prozy; ostatnio opublikowała *Schizofrenia & Company* (2018). Mieszka we Wrocławiu.

Leszek Szaruga, ur. 1946 w Krakowie, autor tomików wierszy, prozaik, eseista, krytyk literacki, tłumacz poezji niemieckojęzycznej i rosyjskiej; profesor Uniwersytetu Warszawskiego; ostatnio opublikował m.in. zbiór aforyzmów *Kanibale lubią ludzi* (2019) i tom

esejów *Przestrzenie dialogu* (2019) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2016 nr 1 (89)]. Mieszka w Warszawie.

Piotr Szewc, ur. 1961 w Zamościu, prozaik, poeta, krytyk literacki, redaktor „Nowych Książek”; ostatnio opublikował tom wierszy *Światelko* (2017) oraz *Tymczasem. Wybór wierszy* (2019). Mieszka w Warszawie.

Artur Szlosarek, ur. 1968 w Krakowie, poeta, tłumacz, eseista; ostatnio opublikował *Późne echo* (2017). Mieszka w Berlinie.

Wisława Szymborska (1923–2012), poetka, laureatka Literackiej Nagrody Nobla (1996) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2009 nr 1 (61), 2004 nr 1 (41)]; po śmierci Wisławy Szymborskiej „Kwartalnik Artystyczny” 2012 nr 1 (73) poświęcony był Noblistce, podobnie jak „Kwartalnik Artystyczny” 2013 nr 1 (77) i 2014 nr 1 (81) w 1. i 2. rocznicę śmierci poetki; w kwietniu 2012 w Wydawnictwie a5 ukazał się pośmiertny tom jej wierszy pt. *Wystarczy*, o którym zamieściliśmy *Głosy* w nr. 2/2012 (74).

Paweł Tański, ur. 1974 w Toruniu, autor wierszy i krytyk literacki; profesor UMK w Toruniu; ostatnio opublikował tomik *Okolicznik północnych pól* (2019). Mieszka w Toruniu.

Théophile de Viau (1590–1625), poeta, najpierw hugenot i libertyn, potem – katolik, ścigany przez jezuitów i skazany na spalenie na stosie, w końcu ułaskawiony; przekładali go także m.in. Leopold Staff i Adam Ważyk.

Wydawca:

Kujawsko-Pomorskie Centrum Kultury w Bydgoszczy
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**



KUJAWSKO-POMORSKIE
CENTRUM KULTURY
W BYDGOSZCZY

Adres redakcji:

85-033 Bydgoszcz, plac Kościeleckich 6
tel. 52 585 15 02, wew. 115
e-mail: kwartalnik@kpck.pl
www.kwartalnik.art.pl

Prenumerata: Barbara Laskowska, tel. 52 585 15 02, wew. 101
Korekta: Hanna Borawska, Barbara Dąbrowa

Projekt okładki: Ewa Bathelier

Warunki prenumeraty:

Cena rocznej prenumeraty „Kwartalnika Artystycznego“:

- krajowej – 40 zł
- zagranicznej – 40 USD / 35 EUR

Cena egzemplarza archiwalnego (wraz z wysyłką):

- krajowa – 12 zł
- zagraniczna – 10 USD / 8 EUR

Wpłaty prosimy kierować na konto:

PKO SA II Oddział Bydgoszcz 68 1240 3493 1111 0000 4305 7874
„Kwartalnik Artystyczny”

*Redakcja „Kwartalnika Artystycznego” serdecznie dziękuje
Urzędowi Marszałkowskiemu Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu
i Urzędowi Miasta Bydgoszczy za pomoc finansową w wydaniu numeru 3/2020*



Województwo
Kujawsko-Pomorskie



Miasto
Bydgoszcz

Realizacja poligraficzna:

Dom Wydawniczy „Margrafen”
ul. Białogardzka 13, 85-808 Bydgoszcz
tel. +48 52 370 38 00, www.margrafen.pl

Instytut Literatury
Wojciech Wencel, *Wierzyński. Sens ponad klęską. Biografia poety*, Biblioteka Pana Cogito, Kraków 2020

Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka
Genowefa Jakubowska-Fijałkowska, *Rośliny mięsożerne*, Biblioteka Arkadii – Pisma katastroficznego, tom 172, Mikołów 2020
Krzysztof Karasek, *Wzgórza anarchii*, Biblioteka Arkadii – Pisma katastroficznego, tom 173, Mikołów 2020

Państwowy Instytut Wydawniczy
Jorge Luis Borges, *Alef*, przekład i przypisy Andrzej Sobol-Jurczykowski, posłowie Piotr Paziński, Warszawa 2020

Stowarzyszenie Centrum Kultury Belle Époque, Wydawnictwo Pejzaż
Wojciech Banach, *Pozdrowienia z dawnej Bydgoszczy*, Bydgoszcz 2020

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich
Zygmunt Ficek, *Kielkujące ziarno piasku*, Biblioteka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, tom 2, Kraków 2020

Lesław Nowara, *Ość wieloryba*, Biblioteka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, tom 4, Kraków 2020

Lesław Ordan, *Przez dzień, przez noc*, Biblioteka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, tom 3, Kraków 2020

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Dom Literatury w Łodzi, Instytut Literatury
Adam Leszkiewicz, *Apokalipsa psa*, Biblioteka Literacka Kwartalnika „Nowy Napis”, Łódź 2020

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”
Thomas Bernhard, *Dramaty*, tom 1, przełożyły Monika Muskała, Danuta Żmij-Zielińska, wyboru dokonała i posłowiem opatrzyła Agata Wittchen-Barełkowska, Warszawa 2020

Towarzystwo Przyjaciół Sopotu
Karol Alichnowicz, *Nieosiągalne? Realizm – wyobraźnia – pamięć (przechadzki krytycznoliterackie)*, Biblioteka Krytyki / Biblioteka „Toposu”, tom 179, Sopot 2020

Robert Gawłowski, *Dotknięcie*, Biblioteka Poezji / Biblioteka „Toposu”, tom 183, Sopot 2020

Jerzy Hajduga, *Uważaj na siebie*, Biblioteka Poezji / Biblioteka „Toposu”, tom 182, Sopot 2020

Janusz Nowak, *Głód nadziei. Eseje i szkice o poezji współczesnej*, Biblioteka Krytyki / Biblioteka „Toposu”, tom 178, Sopot 2020

Wydawnictwo Arcana
Krzysztof Czacharowski, *Śpiewnik z oka*, Kraków 2020

Wydawnictwo Forma
Paol Keing, *Powrót do Bretanii*, seria „szesnaście i pół”, Szczecin – Bezzecze 2020

Andrzej Kopacki, *Sonety, ody, wiersze dla Marianny*, seria Forma 21, Fundacja Literatury im. Henryka Berezyna, Szczecin – Bezzecze 2020
Dariusz Muszer, *Księga ramion deszczu. Haiku*, Szczecin – Bezzecze 2020

Wydawnictwo Literackie
Virginia Woolf, *Nawiedzony dom*, przełożyła Magdalena Heydel, Kraków 2020

Wydawnictwo MD
Piotr Dmochowski, *Zapiski z przedednia apokalipsy*, Warszawa 2020

Wydawnictwo MG
Leopold Tyrmand, *Porachunki osobiste*, Warszawa 2020

Zofia Szymanowska, *Opowieść o naszym domu*, Warszawa 2020

Wydawnictwo Poemat
Michał Zablocki, *Tacierz*, Kraków 2020

etykieta zastępcza



FILHARMONIA
POMORSKA

IM. IGNACEGO JANA RADEREWSKIEGO
W BYDGOSZCZY

Bydgoski Festiwal Muzyczny w koronie nie

18.09 → 9.10.2020

Filharmonia Pomorska jest instytucją kultury Województwa Kujawsko-Pomorskiego, współprowadzoną przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.



Partner Filharmonii Pomorskiej



BILETY

Sprzedaż online na bilety24.pl oraz w kasie biletowej FP
(w lipcu kasa nieczynna)

CENA 11 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 1232-2105



03

INDEKS 36294

9 771232 210000

Detailed description: This block contains a white rectangular area with a barcode. Above the barcode is the text 'ISSN 1232-2105'. To the right of the barcode is the number '03'. Below the barcode is the number '9 771232 210000'. To the right of the barcode, oriented vertically, is the text 'INDEKS 36294'.